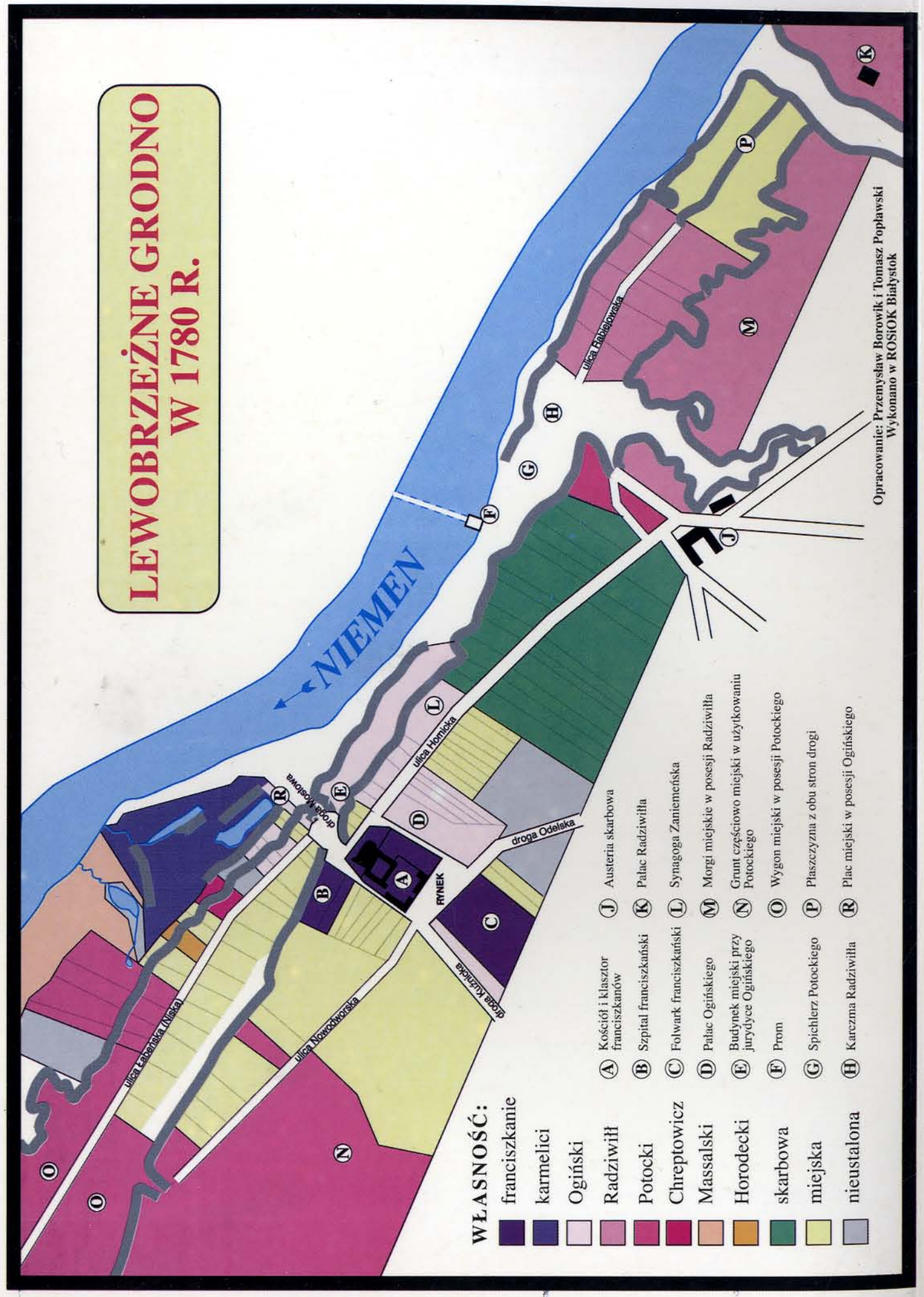

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN HISTORYCZNY 20/21
1999

Gryfita

GRYFITA

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN HISTORYCZNY

REDAKCJA:
Krzysztof Buchowski, Przemysław Czyżewski (z-ca sekretarza redakcji),
Włodzimierz Jarmolik (redaktor naczelny), Maciej Karczewski, Hanna Konopka,
Jan Leończuk, Adam Miodowski, Iwona Pugacewicz, Joanna Sadowska,
Wojciech Śleszyński (sekretarz redakcji)

Wydawca: Instytut Historii Uniwerytetu w Białymstoku, ul. Liniarskiego 4

ISSN 1231-3041

I strona okładki:

Grodzieński kościół pp. bernardynek pw. Narodzenia NMP po przebudowie na cerkiew w drugiej połowie XIX w. (fot. z pocz. XX w.)

Dzieje tej świątyni odzwierciedlają tragiczne losy polskości pod władzą moskiewską. Kościół i klasztor pp. bernardynek zostały wzniesione w latach 1621-1651 naprzeciw wcześniejszego zespołu klasztornego oo. bernardynów. Fundatorami byli Kazimierz Sapieha hetman i podkanclerzy Wlk. Ks. Litewskiego oraz bracia Scipio del Campo: Jan, wojski grodzieński, i Adam. W 1854 r. na polecenie generał-gubernatora wileńskiego I. Bibikowa budynki zostały odebrane katolikom i przekazane prawosławnemu monasterowi pw. św.św. Borysa i Gleba, którego świątynia na Kołoży rok wcześniej ucierpiała na skutek wylewu Niemna. Kościół został przebudowany na cerkiew (m.in. dodano widoczną na zdjęciu kopułę i znajdujący się poniżej kokosznikowy szczyt).
Bez zmian pozostała jednak wieża (por. wizerunek sprzed przebudowy w: J. Jodkowski, *Grodno*, Wilno 1923, s. 22).
Po II wojnie światowej świątynię zamknięto, a w latach sześćdziesiątych rozebrano. W latach 1977-1984 na tym miejscu wzniesiono budynek teatru dramatycznego.

Skład i Druk: OFFSET-PRINT, Białystok, ul. Broniewskiego 14, tel. (085) 651 28 86

Jme

GRYFITA

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN HISTORYCZNY

20-21/1999

SPIS TREŚCI

JUBILEUSZ

Jan TRYNKOWSKI
TRZYDZIEŚCI LAT MINĘŁO... CZYLI JUBILEUSZ 2

NA WSCHODZIE

Bernadetta PUCHALSKA
WSCHÓD W OPINII PODRÓŻNIKÓW ANGIELSKICH II POŁOWY XVIII 3
Przemysław BOROWIK
LEWOBRZEŻNE GRODNO W XIV-XVIII W. STAN WIEDZY I POSTULATY BADAWCZE 7
Tomasz WESOŁOWSKI
KRYPTONIM „CHRYZANTEMA". Niezrealizowany plan samozatopienia sowieckiej Floty Bałtyckiej we wrześniu 1941 14

REGIONALIA

Halina KARWOWSKA
UKRYTE ŚLADY GRÓDECKIEGO ZAMKU 20
Jan TRYNKOWSKI
ABSOLWENCI GIMNAZJUM BIAŁOSTOCKIEGO (4)
Wincenty Tedwen - *a czyjeż to imię rozlega się sławą...* 22
Jan DWORAKOWSKI
ABSOLWENCI GIMNAZJUM BIAŁOSTOCKIEGO
Profesor Czesław Kudzinowski 24
Krzysztof SZEPIEL
BO WOLNOŚĆ KRZYŻAMI SIĘ MIERZY... 26

ROZMAITOŚCI HISTORYCZNE

Agnieszka PISANKO-BOROWIK
ZAWARCIE MAŁŻEŃSTWA SZLACHECKIEGO W XVII-XVIII W. – ZASADA „RÓWNY Z RÓWNYM" 29
Mieczysław WRZOSEK
ŚWIĘTE PRZYMIERZE 33
Marta CYWIŃSKA-DZIEKOŃSKA
DRZWI SALONU UCHYLIĆ... czyli Słów kilka o wpływie kultury francuskiej na XIX-wieczne wnętrze polskiego dworu 36
Andrzej MOĆKO
SZKOLNICTWO WYŻSZE W AFRYCE POŁUDNIOWEJ W ROZWOJU HISTORYCZNYM 38
Wojciech ŚLESZYŃSKI
"W CZELUŚCIACH AFRYKI" Uratować Dr. Emina Paszę – ostatniego gubernatora Sudanu 44

ŹRÓDŁA

Adam Miodowski
SPRAWOZDANIE NA TEMAT STANU ORGANIZACJI KOMUNISTYCZNEJ NA TERENIE WOJEWÓDZTWA BIAŁOSTOCKIEGO W LATACH 1937-1938 54
Michał GNATOWSKI
Z TAJNYCH RADZIECKICH ARCHIWÓW
Niedokończony meldunek kpt. Janusza Szulca, Prawdzica-Szlaskiego do komendy Głównej ZWZ 51

HISTORIA W SZKOLE

Hanna KONOPKA
JAK UCZYĆ HISTORII METODĄ PORTFOLIO 63
Małgorzata MOROZ
UCZYMY HISTORII. PORADNIK. V KLASA. 67
ALINA CZAPIUK, ANNA KOŁOSOWSKA
NIEPORADNY PORADNIK 68
Artur PASKO
CZY WARTO UCZESTNICZYĆ W PROGRAMIE SOCRATES-COMENIUS AKCJA 1? 70
Violetta OLESIUK
ZAGROŻENIA I BŁĘDY W NAUCZANIU O HOLOCAUŚCIE 72
Hanna KONOPKA
AMERYKAŃSKA EDUKACJA O HOLOCAUŚCIE 73

RECENZJE, SPRAWOZDANIA

Wojciech ŚLESZYŃSKI
ADAM SUDOŁ, *POCZĄTKI SOWIETYZACJI KRESÓW WSCHODNICH* 75
Andrzej MOĆKO
JOSEP IGNASI SARANYANA, JOSE LUIS ILLIANES, HISTORIA TEOLOGII 76
Piotr GUZOWSKI
WYKŁAD DR. ANDRZEJA KRZYSZTOFA KUNERTA 78
Marek DAWIDZIUK
MOTYW NIEPODLEGŁOŚCIOWY W MEDALIERSTWIE POLSKIM - sprawozdanie z wystawy 79
Jan MACKIEWICZ
PRUSOWIE W BIAŁYMSTOKU? 79

JUBILEUSZ

Jan TRYNKOWSKI

Trzydzieści lat minęło, czyli... Jubileusz!!!

Na początku października 1998 roku minęło trzydzieści lat od chwili, gdy w budynku przy ul. Świerkowej, miałem swój pierwszy w Białymstoku wykład z historii starożytnej dla studentów pierwszego roku Wydziału Humanistycznego świeżo utworzonej Filii Uniwersytetu Warszawskiego. O czym wtedy myślałem? Po tylu latach trudno na takie pytanie odpowiedzieć - zapewne myśl moja nie odbiegała daleko od tematyki wykładu, czyli od epoki antycznej. O czym marzyłem? Też nie pamiętam, wiem tylko, że były to czasy nie zachęcające do marzeń zbyt śmiałych. Kilka miesięcy wcześniej miały miejsce wydarzenia Marca '68, właśnie zduszono Praską Wiosnę, a Ludowe Wojsko Polskie pośpieszyło do Czechosłowacji z „bratnią pomocą", występując tam w roli okupanta...

Wielu rzeczy nie mogłem wtedy przewidzieć, czy też wyobrazić. Nie wiedziałem w czasie owego pierwszego wykładu, że wśród słuchaczy znajdują się ci, którzy już nie długo staną się moimi kolegami. Kolegami i przyjaciółmi - jak dwaj znakomici białostoccy historycy - Józef Maroszek i Jan Jerzy Milewski.

Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że po iluś latach siedzibą Wydziału będzie budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a samej Partii (wtedy tak się pisało - przez duże P.) w ogóle nie będzie - uznałbym go za chorego maniaka, lub niebezpiecznego prowokatora.

Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że Filia Uniwersytetu Warszawskiego stanie się samodzielnym Uniwersytetem... nie czułbym się zaskoczony, było to jakby od początku (przynajmniej dla mnie) oczywiste. Tyle, że o tym myślało się wtedy jako o czymś niezmiernie odległym, o czymś co stanie się w terminie bliżej nieokreślonym. Data wstąpienia Polski do Unii Europejskiej rysuje się dziś znacznie konkretniej, niż wtedy termin przekształcenia Filii w Uniwersytet.

Nie mogłem sobie wtedy oczywiście wyobrazić, że po latach będę o tym wszystkim pisał do „Gryfity" - tak jak nie mogłem przewidzieć samego faktu istnienia tego znakomitego periodyku.

Ale jak się zastanowić to w tym wszystkim nie ma nic nadzwyczajnego - tak to już zawsze jest w historii - jedne rzeczy się zmieniają (niektórzy to nazywają postępem), a inne trwają (mówi się, że to ciągłość - tradycja). Gdyby w tym momencie ktoś zapytał, co z owych czasów przetrwało - należałoby wymienić przynajmniej dwa takie „stałe fragmenty gry": PKP i bibliotekę. Gdy wsiadam do pociągu relacji Białystok-Warszawa (lub odwrotnie) nigdy nie mam gwarancji co się może przydarzyć - że pociąg się spóźni, to niemal pewne - ale nigdy niewiadomo o ile - i to jest emocjonujące. Mój rekord na wyżej wymienionej trasie wynosi 18 godzin (pośpiesznym!), trzeba przyznać, że dziś pociągi spóźniają się znacznie mniej (i to jest postęp). A ile to innych przygód może w pociągu się zdarzyć: złodzieje kieszonkowi (dwa razy), teraz niewątpliwie liczniejsi niż kiedyś (postęp?), brak ogrzewania (to się niewiele zmieniło - tradycja?) i wiele innych fascynujących zdarzeń. Kiedyś sufit w wc zwalił mi się na głowę (przeżyłem). W czasie owego pierwszego wykładu o którym wspomniałem na wstępie martwiłem się tym, że biblioteka dotychczasowego Studium Nauczycielskiego mieszczącego się przy ulicy Świerkowej, właśnie w ramach „reorganizacji" została zamknięta i studenci będą mieli utrudniony dostęp do książek. Dziś Biblioteka Wydziałowa istnieje i funkcjonuje, ale... nadal przy ulicy Świerkowej, daleko od siedziby Wydziału. Nie trzeba tłumaczyć, że jest to zasadnicze utrudnienie w codziennej pracy i wszyscy to rozumieją, ale... kolejne propozycje nowej lokalizacji stają się kolejno nieaktualne, lata płyną, a kłopoty zostają (tradycja). Chociaż z drugiej strony na kłopoty z biblioteką można spojrzeć optymistycznie - są one świadectwem, że zbliżamy się do Europy, a nawet... Stanów Zjednoczonych. Jeden z moich ulubionych autorów, C.N. Parkinson, w jednej ze swoich książek („Prawo zwłoki"), w rozdziale „Jak napisać pracę doktorską" (gorąco polecam wszystkim), opisując cechy wspólne amerykańskich uniwersytetów stwierdza, że biblioteka „Zawsze przerasta swoje pomieszczenia i właśnie się powiększa albo przenosi gdzie indziej. Oparto ją na złym systemie klasyfikacji, ale teraz już jest za późno, aby to zmienić."...

Minęły lata i przyszła pora na jubileusz - jubileusz trzydziestolecia uniwersyteckiej historii w Białymstoku. Zorganizowaliśmy w połowie października 1998 roku piękną sesję naukową: „Granice i pogranicza. Historia codzienności i doświadczeń". Zainteresowani tematem zjechali licznie uczeni z całej Polski i z zagranicy, by wygłosić i wzajemnie wysłuchać oraz przedyskutować to, co w swych warsztatach badawczych z tej okazji przygotowali. Zjechali też licznie nasi koledzy i przyjaciele, którzy w przeszłości współbudowali dzień dzisiejszy naszego Instytutu Historii, a dziś choć z różnych przyczyn nie mogą być z nami, zawsze jednak obdarzają nas swoją życzliwością i dobrą radą. Były to trzy dni wypełnione nauką, wspomnieniami i nutką nostalgii. Wojewoda białostocki też nas docenił i obsypał prawdziwym deszczem odznaczeń, co nas cieszy i zobowiązuje. Był też uroczysty bankiet... „ i ja tam byłem, miód i wino piłem..."

NA WSCHODZIE

Bernadetta Maria PUCHALSKA

Wschód w opinii podróżników angielskich II połowy XVIII w.

Druga połowa XVIII stulecia to okres, w którym – w odróżnieniu od epok poprzednich – odwiedzali Polskę liczni przybysze z Wysp Brytyjskich.[1] Cennym dokumentem z ich pobytu w naszym kraju są interesujące relacje, przynoszące szczegóły na temat ustroju politycznego Polski, jej położenia czy obyczajów mieszkańców.

Różnorodność celów wizyty w Polsce, jak również statusu społecznego podróżników, wpływała na zawartość treściową zapisu i sposób ujmowania poszczególnych zagadnień. W licznym gronie angielskich gości odnotowujemy m.in. sylwetkę kupca (Joseph Marshall), wysokiego urzędnika państwowego (Nathaniel William Wraxall), historyka i wydawcy (William Coxe), czy dyplomaty (James Harris).[2] Wszyscy oni pozostawili po sobie ciekawe, mniej lub bardziej obszerne zapisy różnorodne pod względem gatunkowym (diariusz, dziennik listowy, pamiętnik) oraz tematycznym.

Przedmiotem naszego szczególnego zainteresowania – zgodnie z formą tytułową – będzie opis Wschodu pozostawiony w relacjach angielskich peregrynantów. Nie mamy tu na myśli jedynie obszaru geograficznego, w analizowanych przypadkach obejmującego ziemie wschodniej Polski czy Litwę, ale również sylwetki monarchów i urzędników państwowych ucieleśniających politykę Wschodu (Rosji) wobec Polski. Takie rozszerzenie zakresu pojęcia „wschód" pozwoli nam na bliższą analizę obecnych w zbadanych przez nas tekstach ciekawych opisów postaci ambasadora Repnina czy carycy Katarzyny II.

Interesujące prezentacje sylwetek polityków odnajdujemy w dzienniku pobytu w Polsce Jamesa Harrisa. Młody dyplomata, późniejszy lord Malmesbury (1746-1820) odwiedził Warszawę w 1767 roku. W latach późniejszych odbywał podróże dyplomatyczne do Berlina i na dwór rosyjski.[3]

Nietrudno zauważyć, iż na zawartość treściową diariusza wpłynął oficjalny charakter pobytu peregrynanta. Niewielka objętościowo relacja z wizyty w naszym kraju koncentruje się głównie na opisie sytuacji politycznej w okresie konfederacji radomskiej, zaś centralną postacią sprawozdania czyni autor postać księcia Repnina – cesarskiego ambasadora w Warszawie. Głównym rysem charakterystyki rosyjskiego arystokraty, znanego Harrisowi z autopsji (autor wspomina o częstych, niemal codziennych kontaktach), jest akcentowana w wielu fragmentach tekstu skłonność do manifestowania wobec innych wyższości i pewności siebie. Tłem, na którym pamiętnikarz kreśli portret Repnina – już w inicjalnych partiach relacji określanego mianem władcy absolutnego – są konkretne zdarzenia, będące okazją do demonstracji omawianych zachowań. „Traktuje wszystkich równie wyniośle – pisze Harris – nawet króla. Byłem niefortunnym pośrednikiem między nimi w kwestii tańca na reducie u księcia Radziwiłła. Jego królewska mość zamierzał czekać z rozpoczęciem tańców aż uprzątną większą salę, w której jedliśmy kolację. Książe Repnin, bardziej niecierpliwy, był za natychmiastowym zaczęciem w innej. Król, kiedy powiedział mu, że tańce mają się zacząć, chciał, żebym powiadomił Repnina, iż woli zaczekać, aż przygotują obszerniejsze pomieszczenie. Repnin w odpowiedzi królowi: *To niemożliwe* – rzekł – *jeśli nie przyjdzie zaczniemy bez niego*. W rezultacie jego królewska mość potulnie przyszedł na tańce."[4] Inną odnotowaną przez angielskiego gościa reakcją była wypowiedź Rosjanina podczas dyskusji na temat dawnych władców Polski. Rozmowa, dotycząca zajęć, jakimi trudnili się monarchowie przebywający na wygnaniu („wymieniono szczególnie jednego, który przez czas pewien był złotnikiem we Florencji"), sprowokowała Repnina do wygłoszenia szyderczej uwagi pod adresem Stanisława Augusta: *„Przepraszam waszą królewską mość* – odezwał się ambasador – *przecież umie wasza królewska mość znakomicie tańczyć*. Cóż byśmy pomyśleli słysząc, jak ambasador mówi naszemu królowi: *Jeśli wszystkie zajęcia zawiodą, wasza królewska mość może zostać nauczycielem tańca?* Te słowa usłyszałem przy obiedzie."[5] Dopełnieniem charakterystyki dyplomaty jest zauważony przez autora relacji brak szacunku dla religii („z jego polecenia odbyło się w Warszawie przedstawienie teatralne w środę popielcową").[6] Nie brak też w nakreślonym portrecie miejsca na wyliczenie cech pozytywnych (uczuciowości, bezinteresowności, zdolności), prezentacja ich stanowi jednak znikomy procent całości charakterystyki (jedynym exemplum obrazującym dodatnie strony charakteru Repnina

jest skrótowo przedstawiona jego postawa w trakcie odbywających się rokowań: „okazał daleko idącą bezinteresowność, a nawet odrzucał nastręczającą się niejednokrotnie sposobność pomnożenia majątku").[7] W opinii Harrisa, nie uchylającego się od odautorskiego komentarza) ujemne cechy charakteru ambasadora tłumaczyć należy posiadaniem ogromnego zakresu władzy: „Władza, która nagle wpadła mu w ręce, zdolna była zawrócić głowę większemu od niego. (...) Gdyby jeszcze swój sposób bycia przepoił rycerskością, którą w tak wysokim stopniu przejawia w sprawowaniu władzy, mógłby zyskać o wiele większe uznanie; lecz on nigdy nie usiłuje przekonać, zawsze rozkazuje."[8] Na zasadzie kontrastowego zestawienia ukazuje autor zachowanie Repnina wobec przyjmowanych misji: wyniosłość okazywana przez niego w momencie wydawania poleceń jest „równie wielka jak pokora, z którą posłowie okazują mu posłuszeństwo."[9] Poczynione obserwacje skłaniają angielskiego przybysza do gorzkiej refleksji nad ówczesną kondycją naszego państwa: „do takiego stanu doprowadzone zostały wolności sławetnej Rzeczypospolitej!"[10]

Nieco inaczej przedstawia angielski peregrynat sylwetkę Katarzyny II. Nie znana mu osobiście (do spotkania doszło w roku 1777), ukazana jest głównie przez pryzmat swych niektórych posunięć politycznych, jak wprowadzenie do Polski oddziałów rosyjskich czy popieranie konfederacji zawiązanej przez księcia Radziwiłła („zjednało to cesarzowej wielu zwolenników spośród zaciętych nieprzyjaciół dworu, którzy żywili nadzieję, że z jej pomocą zrzucą króla z tronu").[11] W opinii Harrisa, caryca to jedyny gwarant osobistego bezpieczeństwa i godności polskiego monarchy, zmuszonego zaistniałą sytuacją do okazywania zależności wobec Rosji. Pośrednio też charakteryzuje władczynię jej zamiar usunięcia z urzędu księcia Czartoryskiego, kanclerza wielkiego litewskiego oraz fakt udzielenia mu, na prośbę Stanisława Augusta, przebaczenia.[12] W tych wypadkach autor powstrzymuje się jednak od oceny monarchini.

14 kwietnia 1770 roku przybył do Polski Joseph Marshall. Bliższych szczegółów jego biografii nie znamy; najprawdopodobniej trudnił się on sprowadzaniem do Anglii produktów i surowców rolnych z Rosji i krajów Północy.[13] Relacja z podróży do Polski zawarta jest w dziale „Travels in the Years 1768, 1769 and 1770", wydanym w Londynie w roku 1773.[14] Opis peregrynacji, zarejestrowany w formie diariusza, pozostaje – jak w przypadku analizowanym wyżej – w ścisłym związku z rodzajem wizyty pamiętnikarza. Głównym przedmiotem zainteresowania angielskiego merkantylisty jest stopień rozwoju handlu w kolejno odwiedzanych większych miastach (Gdańsk, Elbląg, Toruń) oraz warunki produkcji rolnej (rodzaje gleby, najważniejsze uprawy). Nieliczne reprezentowane fragmenty „wschodnie" dziennika Marshalla dotyczą warunków bytowania chłopów na Żmudzi oraz niektórych aspektów polityki Rosji wobec Polski. W pierwszym przypadku uwagę peregrynanta przykuwa wygląd wiejskich chat („Zbudowane w formie stożka, zakończone są u szczytu otworem, przez który wydobywa się dym. Izba jest dostatecznie duża, aby pomieścić mieszkańców domu i bydło, przy czym wszyscy pospołu leżą obok siebie")[15] oraz urządzeń używanych do pracy na roli. Prezentując ich wygląd i zastosowanie, autor dokonuje konfrontacji poznawanej rzeczywistości z treścią znanych sobie lektur: „Czytałem, że rolnicy w tych okolicach nie mają żelaznych pługów, lecz tylko drewniane sochy, gdyż żywią niedorzeczne przekonania, iż żelazny pług niszczy zasiewy. Nie jest to jednak zgodne z prawdą, bo widziałem orzących pod jęczmień i wszystkie pługi miały żelazne lemiesze, aczkolwiek niezdarnego kształtu."[16]

Niestety, nie znamy osobistej opinii angielskiego podróżnika na tematy polityczne. Marshall przytacza je „z drugiej ręki", powołując się na treść listu polecającego od hrabiego Sellierna („umożliwił mi zdobycie (...) niektórych informacji o obecnym stanie Polski")[17] oraz cytowane w pełnym brzmieniu informacje ustne. Dotyczą one m.in. podziału Polski na frakcję katolicką i protestancko-prawosławną, zależności Stanisława Augusta od polityki rosyjskiej, perspektyw zakończenia wojny domowej („Pokój w kraju nie nastanie dopóty, dopóki cesarzowa nie powiększy swych wojsk na tyle, aby zdołały pokonać wszystkich katolików")[18] czy dalszych kroków Katarzyny II wobec Rzeczypospolitej. Spekulacje Marshalla na temat ewentualnego zajęcia ziem polskich przez cesarzową spotkały się z następującą reakcją jego rozmówcy: „Nie sądzę, żeby cesarzowa Rosji myślała o zagarnięciu jakichś polskich województw. (...) Nie wątpię, że zamiary tej monarchini, która jest wytrawnym politykiem, ograniczają się do poparcia własnej partii religijnej i obrony jej przed prześladowaniem, a także do uzyskania takiego posłuchu, aby przy wszelkich posunięciach państwowych większej wagi traktowano jej wolę z należytym szacunkiem".[19] Cytowana uwaga, przypomnijmy, nie pochodzi od angielskiego peregrynanta, jednakże sam fakt włączenia jej do relacji dowodzi zainteresowania przybysza z Albionu sprawami stosunków polsko-rosyjskich.

Niezwykle cennym, obszernym dokumentem prezentującym wizję Polski czasów Stanisława Augusta jest obszerne dzieło Williama Coxe'a „Travels into Poland, Russia, Sweden and Denmark. Interspersed with historical relations and political inquiries", wydane w Londynie w roku 1784. Jego autor, historyk i wydawca pamiętników Horacego Walpolea, odwiedził Polskę w charakterze wychowawcy młodego lorda Pembroke. Pamiętnik Coxe'a, wydany pięciokrotnie po angielsku, cieszyły się wielką popularnością jako źródło informacji o krajach Europy północnej, wschodniej i środkowej.[20]

Coxe'a jako historyka interesują praktycznie wszystkie aspekty życia społeczno-politycznego w Polsce doby stanisławowskiej; prezentuje szczegóły dotyczące elekcji króla, plany rozbioru Polski, ustrój militarny, podział społeczny. Wiele miejsca poświęca autor prezentacji zwiedzanych miejscowości, stanu dróg oraz charakterystyce napotkanych osób. Dominująca w narracji forma trzecioosobowa przeplatana jest niekiedy dialogami, ożywiającymi pamiętnikarski przekaz.

obecna w tekście refleksja dotycząca stosunków Polski z Rosją przypomina – w zakresie doboru tematów – relację wspomnianego Jamesa Harrisa. Również i tu odnajdujemy uwagi na temat zależności posunięć Stanisława Augusta od decyzji Katarzyny II i wpływów Repnina („Całe królestwo jest w zupełności pod protekcją Rosji, która rządzi się w nim (...) jakby było ono jedną z jej własnych prowincji. Król nie jest w rzeczywistości niczym więcej jak w najlepszym wypadku wicekrólem, podczas gdy rzeczywistą władzę sprawuje ambasador rosyjski, kierujący wszystkimi sprawami królestwa zgodnie z rozkazami swego dworu. Carowa utrzymuje wewnątrz kraju około dziesięciu tysięcy żołnierzy (...). Jednym słowem, wojska rosyjskie utrzymują magnatów polskich w karności i na razie nie dopuszczają do wewnętrznych sporów i rozruchów.)[21] Przytoczone w relacji przykłady postępowania Katarzyny wobec Polski – wprowadzenie do Warszawy wojsk rosyjskich, aresztowanie i wywiezienie przywódców stronnictwa katolickiego (biskupów krakowskiego i kijowskiego) – znajdują swe odzwierciedlenie w pamiętniku Harrisa,[22] jakkolwiek potraktowane zostają z mniejszą dbałością o szczegóły (brak np. konkretnych przykładów zachowań ambasadora Repnina). Wyjątek stanowią umieszczone w przypisach teksty listów napisanych przez uwięzionych duchownych.

Okoliczności, które bezpośrednio doprowadziły do rozbiorów Polski, zostają przez autora znacznie rozbudowane, dochodzi tu też do podkreślenia roli carycy jako zręcznego męża stanu: „Dla dokonania rozbioru potrzebne było już tylko przystąpienie do spisku cesarzowej Rosji. Ta wielka władczyni była zbyt bystrym politykiem, by nie spoglądać zazdrosnym okiem na zdobycze obcych mocarstw w Polsce. Posiadając niezaprzeczoną przewagę w królestwie polskim, nie zyskałaby wiele przez formalne nabycie jego części, a to skromne zwiększenie terenu swych posiadłości opłacić by musiała znaczną utratą władzy."[23] Podobnie jak u Harrisa, podstawowym zabiegiem służącym charakterystyce postaci Katarzyny jest umieszczenie jej w kontekście jakiegoś zdarzenia, rzucającego światło na sposób postępowania monarchini. Relacja Coxe'a pozbawiona jest komentarzy na temat powierzchowności czy osobistych cech bohaterki.

„Wschodnia" część diariusza zawiera również interesujące refleksje z podróży na kresy Polski i Litwę. Obok szczegółowych prezentacji historii owych terenów (zainteresowanie dziejami odwiedzanych krain i miejscowości przejawia autor w wielu miejscach swej relacji), angielski przybysz poświęca wiele uwagi warunkom podróżowania, prezentacji miast, handlowi czy obyczajom. Dobór tematyki jest zatem typowy dla ówczesnego podróżopisarza. Niekiedy relacja wzbogacana jest uwagami będącymi rezultatem konfrontacji „Innego" ze zjawiskami znanymi z poprzednich doświadczeń autora. Tu i ówdzie wrażenia spisane z autopsji uzupełniane są – co zostaje zasygnalizowane – faktami uzyskanymi od przygodnych informatorów.

Angielski przybysz odwiedza kolejno Bielsk, Białystok, Grodno, Nowogródek, Mińsk oraz inne pomniejsze miejscowości. W narracji Coxe'a stanowią one „kamienie milowe" podróży, będąc jednocześnie ogniwami łączącymi poszczególne fragmenty tekstu.

Podstawowymi kryteriami, według których autor charakteryzuje odwiedzane miejscowości są: wielkość, charakter zabudowań, liczba mieszkańców, warunki pobytu. Opisom miast nierzadko towarzyszy komentarz odautorski dotyczący estetyki zwiedzanych obiektów. W większości przypadków ocena ta wypada – niestety – zdecydowanie negatywnie:

„(...) Bielsk, miasto wojewódzkie Podlasia, gdzie odbywały się sejmiki. Jest on niewiele lepszy od zwykłej nędznej wioski, ale w geograficznych opisach Polski szczyci się mianem wielkiego miasta."[24]

„Grodno jest wielkim miastem, rozłożonym na znacznej przestrzeni, ale nie zamieszkuje go więcej niż trzy tysiące chrześcijan (...) i tysiąc Żydów. Sądząc po mieszaninie okropnych lepianek, walących się domów i zrujnowanych pałaców ze wspaniałymi bramami, szczątkami dawnej świetności, można by przypuszczać, że jest ono skazane na zagładę, ma bowiem pozór miasta chylącego się do upadku".[25]

„Zatrzymaliśmy się na krótko w Nowogródku, mieścinie zbudowanej w całości z drzewa; wyjątek stanowiły dwa lub trzy zrujnowane domy z cegły, klasztor, który należał do jezuitów i resztki pokrytych mchem i pleśnią murów kamiennych, otaczających niewielkie wzgórze, na którym znajdują się szczątki starej twierdzy."[26]

Na takim tle szczególnie korzystnie prezentuje się Białystok (omówiony przez nas w oddzielnym artykule)[27] oraz Mińsk „(...) wydał nam się siedliskiem najwyższego smaku i luksusu. Rozkoszowaliśmy się komfortem, od którego odwykliśmy już dawno; otrzymaliśmy bowiem czysty, świeży pokój z ceglaną podłogą, bez much i pcheł (...)"

Prezentacje miast uzupełniane są informacjami z różnych dziedzin, świadczącymi o autentycznym zainteresowaniu Coxe'a odwiedzanymi terenami. Niezwykle ciekawe komentarze towarzyszą m.in. opisowi Grodna. Wysoka ranga miasta jako ośrodka działalności społeczno-politycznej zaakcentowana jest poprzez zaprezentowanie go na szerokim tle historycznym, obrazującym dzieje stosunków polsko-litewskich oraz sejmików grodzieńskich. Obrazu dopełniają obserwacje natury; autor zwiedza ogród botaniczny francuskiego przyrodnika Gilliberta oraz dzieli się z czytelnikiem rozległą wiedzą na temat gatunków zwierząt żyjących w lasach litewskich. Najobszerniejsze fragmenty, będące jednocześnie popisem erudycji angielskiego peregrynanta, poświęcone są opisowi lokalnej osobliwości przyrodniczej – żubra. Miejsce refleksji osobistej zajmuje uczony wywód charakteryzujący wygląd i klasyfikację gatunku:

„W Grodnie miałem sposobność widzieć samicę dzikiego bawołu; jest to prawdopodobnie ten sam czworonóg, którego Arystoteles opisuje pod nazwą bonasus, Cezar w swych pamiętnikach nazywa go urus, a niektórzy przyrodnicy nazywają go bizonem. Okaz, który oglądałem, nie był jeszcze zupełnie dorosły, ale wielkością dorównywał już zwykłej angielskiej krowie, a kształtem przypominał bawołu, bez garbu na plecach (...). Samiec – jak nas poinformowano – dochodzi nieraz do sześciu stóp wysokości i jest bardziej dziki i jeszcze bardziej kudłaty niż samica.

Linneusz zaklasyfikował bonasusa, urusa i bizona (prawdopodobnie chodziło o to samo zwierzę występu-

jące pod różnymi nazwami) jako trzy oddzielne gatunki. Buffon zredukował je do dwóch – urusa i bizona, a Pennant zaliczył je wszystkie razem do jednego gatunku. Pogląd jego przyjął niedawno temu Pallas w bardzo ciekawej rozprawie ogłoszonej w Aktach Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu (...)."[28]

Coxe odwiedza również manufaktury Tyzenhauza, obserwując warunki pracy i jej organizację. Z widoczną dbałością o szczegóły przekazuje fakty dotyczące stanu zatrudnienia i stosunki panujące wśród pracowników: („Manufaktury zatrudniają trzy tysiące osób (...) Siedemdziesięciu obcokrajowców kieruje rozmaitymi gałęziami tego przemysłu, reszta to chłopi z królewskich posiadłości. Terminatorami są chłopcy i dziewczęta, dzieci polskich chłopów, które za pracę swą otrzymują ubranie i wikt oraz małe wynagrodzenie w gotówce. Dyrektorowie uskarżają się, że nie ma wśród nich żadnego współzawodnictwa i że chociaż są lepiej ubrani i wyżywieni niż inni wieśniacy, do przemysłu można ich ściągnąć tylko przy pomocy siły.")[29] Zaproszony przez hrabiego Tyzenhauza na obiad, odnotowuje kilka interesujących scen, jak publiczne okazywanie hołdu gospodarzowi przez zgromadzoną szlachtę („witali oni hrabiego z wielkim szacunkiem albo całując kraj jego szaty, albo pochylając się i całując jego nogi.")[30], spełnianie toastów i tańce, ze szczególną uwagą traktując nie znane mu z osobistego doświadczenia formy zachowań towarzyskich.

Innym przykładem konfrontacji „obcego" z zakorzenionymi w świadomości autora wzorami kultury jest próba porównania realiów wsi litewskiej i szwajcarskiej. Przedmiotem opisu staje się wygląd chłopskich chat i obyczajów ich mieszkańców: „Chaty budują z pni drzew rzuconych jeden na drugi, wskutek czego wyglądają one jak pokryte daszkiem sterty budulca w przystani. Jakże niepodobne są do domków szwajcarskich zrobionych z tego samego materiału! (...) Uderzająca różnica pomiędzy szwajcarskimi a polskimi chłopami w samym wyglądzie i zachowaniu jest odbiciem różnic zachodzących między ich rządami. Szwajcarzy są szczerzy, otwarci, szorstcy, ale gotowi do usług. Gdy przechodzą obok kogoś, zawsze albo skiną głową, albo lekko uchylą kapelusza, ale oczekują odwzajemnienia swej grzeczności; oburza ich najmniejszy objaw nieokrzesania i nie pozwalają się bezkarnie obrażać. W przeciwieństwie do nich chłopi polscy płaszczą się i poniżają w swym uszanowaniu dla panów. Zginali się aż do ziemi, zdejmowali czapki lub kapelusze i trzymali je w rękach dopóty, dopóki nie zniknęli im z oczu (...) – jednym słowem, całe ich zachowanie było nacechowane wyraźnymi oznakami nikczemnego poddaństwa, pod którego jarzmem jęczą."[31]

Typowa dla peregrynantów skłonność do rejestrowania zjawisk osobliwych znajduje swe odbicie w opisie kołtuna, tzw. plica polonica. Coxe kreśli obraz choroby na podstawie własnych obserwacji oraz znanego mu opracowania, szczegółowo opisując jej symptomy i następstwa kuracji („jeśli pacjentowi zgoli się głowę, zapada on ponownie na wszystkie te okropne dolegliwości, które poprzedziły wybuch kołtuna i które męczą go dopóty, dopóki odrastające włosy na nowo nie wchłoną cierpkiego humoru").[32] Analiza zjawiska skłania pamiętnikarza do wysnucia własnych wniosków dotyczących przyczyny choroby, co dowodzi jego aktywnego stosunku do opisywanej rzeczywistości („Jednym słowem, plica Polonica jest prawdopodobnie chorobą zakaźną, która jak trąd panuje pomiędzy ludźmi nie znającymi medycyny i nie dbającymi o to, by zahamować postęp choroby, natomiast rzadko spotyka się ją w tych krajach, gdzie zachowuje się odpowiednie środki ostrożności").[33]

Omówione przez nas relacje angielskich podróżników są interesujące zarówno pod względem poznawczym, jak i formalnym. Szeroko w niniejszej pracy pojmowane pojęcie „Wschodu" zyskuje w prezentowanych przekazach różnorodną interpretację, w zależności od charakteru wizyty i statusu społecznego peregrynanta. Zbliżone w formie, a jednocześnie różniące się w zakresie tematyki i doboru środków artystycznych sprawozdania dyplomaty, kupca i historyka stanowią cenne źródło do badań historycznych i literackich.

Przypisy

[1] Zob. *Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców*. opracował i wstępem poprzedził Wacław Zawadzki, Warszawa 1965, t. 1, s. 16-17. Wszystkie cytowane w niniejszym tekście fragmenty pochodzą z tego wydania.
[2] tamże, s. 17
[3] tamże, s. 17. Wrażenia z Polski opublikowane zostały w dziale *Diaires and Correspondence... edit by his grandson*, t. 1 London 1844.
[4] tamże, s. 294
[5] tamże, s. 295
[6] tamże, s. 303
[7] tamże, s. 294
[8] tamże, s. 294-295
[9] tamże, s. 291
[10] tamże, s. 291
[11] tamże, s. 290
[12] tamże, s. 305-306: „Cesarzowa postanowiła doprowadzić do upadku księcia Czartoryskiego, kanclerza wielkiego litewskiego, najstarszego z wujów króla. Powiadomiła go za pośrednictwem swego ambasadora, że jeżeli nie złoży urzędu i nie usunie się a ses terres, zostanie postawiony przed sądem, skazany i stracony. (...) Ocaliła go wielkoduszność króla, gdyż mimo że Czartoryski twardo mu się przeciwstawiał, jego królewska mość przejął się w tych okolicznościach tak bardzo jego losem i tak zabiegał o przebaczenie dla niego, że cesarzowa w końcu je przyrzekła."
[13] tamże, s. 17
[14] tamże, s. 308
[15] tamże, s. 310
[16] tamże, s. 310
[17] tamże, s. 315
[18] tamże, s. 317
[19] tamże, s. 317
[20] tamże, s. 19
[21] tamże, s. 610
[22] tamże, s. 290. „(...) zmuszony przez nią [Rosję – BMP] książe Radziwiłł przedstawił królowi i zgromadzonemu sejmikowi projekt przewidujący przekazanie jego uprawnień w ręce pewnej liczby delegatów, upoważnionych do prowadzenia rokowań z ambasadorem rosyjskim (...). Propozycja ta, mimo że godziła w wolność posłów, spotkała się z nieznacznym sprzeciwem z tej prostej przyczyny, że biskupi kijowski i krakowski, którzy uznawali za właściwe przemawiać przeciwko niej, ujęci zostali tej samej nocy i wysłani, nikt nie wie dokąd."
[23] tamże, s. 578-579
[24] tamże, s. 678
[25] tamże, s. 683
[26] tamże, s. 695
[27] Zob. B. Puchalska, *Brytyjscy goście i rezydenci w Białymstoku Branickich*, [w:] „Białostocczyzna", t. 3, 1994, s. 4-6
[28] *Polska stanisławowska*, ..., t. 1, s. 685-686
[29] tamże, s. 689
[30] tamże, s. 691
[31] tamże, s. 701
[32] tamże, s. 702
[33] tamże, s. 703

Przemysław BOROWIK

Lewobrzeżne Grodno w XIV-XVIII w. Stan wiedzy i postulaty badawcze

Grodno, bez wątpienia jeden z najważniejszych ośrodków miejskich dawnej Rzeczypospolitej, nie doczekało się dotąd opublikowanej monografii. Nieliczne prace poświęcone jego przeszłości wciąż jeszcze oparte są niemal wyłącznie na źródłach drukowanych, opublikowanych jeszcze w XIX wieku. Nadal powtarzają one schemat zaproponowany przez Balińskiego i Lipińskiego w 1846 roku.[1] Wyjaśnienia, czy też prób wyjaśnienia, nie doczekały się nie tylko kwestie szczegółowe, ale i podstawowe.

Jednym z zagadnień, niemal nie poruszanych, jest przeszłość lewobrzeżnej części miasta. Wzmianki o niej w opublikowanych źródłach są rzadkie, archiwalia nie rozpoznane i rozproszone w wielu państwach, stan wiedzy – nikły.

Zasiedlenie lewego brzegu Niemna w okolicach Grodna bez wątpienia nastąpiło jeszcze w Średniowieczu. Pewne podejrzenia w tym względzie wzbudza już list książąt mazowieckich Siemowita i Trojdena do papieża z 25 sierpnia 1325 roku, w którym określono wschodnią granicę Mazowsza. Sięgała ona zaledwie dwie mile od Grodna.[2] Taki przebieg linii granicznej pozwala przypuszczać, że lewy brzeg Niemna w okolicach Grodna był zasiedlony. W przeciwnym bowiem przypadku najprawdopodobniej granicą byłaby rzeka Niemen. Na podstawie badań archeologicznych twierdzi się co prawda, że zespół osadniczy Grodna składał się tylko z grodu na Górze Zamkowej, podgrodzia, osady na Kołoży, osady na wschód od zamku i Podola.[3] Czy jednak przeprowadzono jakieś badania archeologiczne na lewym brzegu Niemna?

Żadnych wątpliwości nie budzi natomiast istnienie na Zaniemniu krzyżackiego zamku Nowe Grodno (Naugarden). Była to budowla drewniana, zbudowana naprzeciw Grodna w 1392 roku i w tymże roku przez Witolda spalona.[4] Baliński i Lipiński lokalizowali ją na lewym brzegu Niemna, naprzeciw zamku dolnego.[5] Tenże bronił jednak przeprawy przez rzekę Horodniczankę, a nie przez Niemen.[6] Właściwą lokalizację podał J. Maroszek. Zamek Nowe Grodno leżał na lewym brzegu Niemna, naprzeciw Starego Grodna, kontrolując ujście Horodniczanki i przeprawę przez Niemen.[7] Jak się wydaje, lokalizację krzyżackiego zamku można uściślić. Sądzę, iż leżał on na terenie późniejszego Zwierzyńca królewskiego, naprzeciw Starego Zamku w bezpośredniej bliskości przeprawy i późniejszej osady rzemieślników zamkowych. Naturalne podwyższenie terenu i cieki wodne czyniły ten teren z natury obronnym (patrz plan – działki karmelitów i Massalskiego). Istnienie Zwierzyńca królewskiego odnotowano w 1560 roku. Wydaje się on jednak być

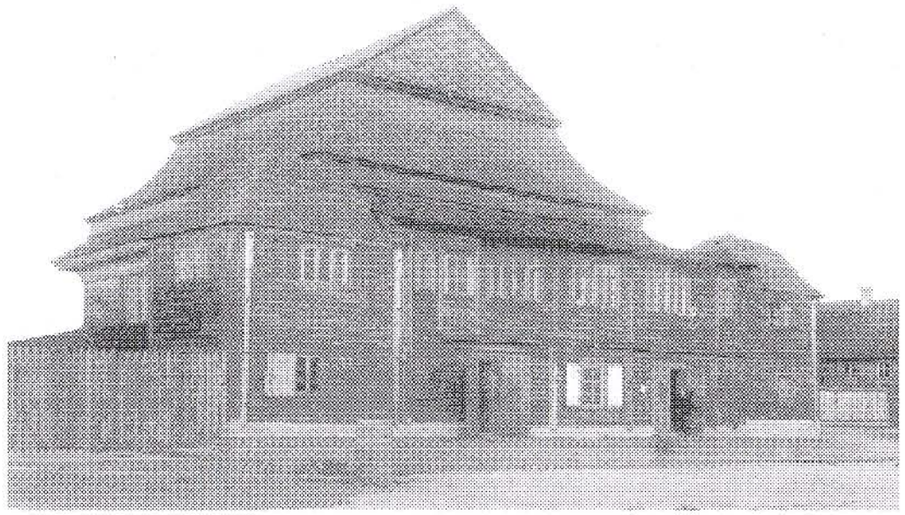

Synagoga zaniemeńska, fot. J. Jodkowski. Ze zbiorów Józefa Maroszka

tworem wcześniejszym, może jeszcze XV wiecznym. Położony był on na północ od ulicy Łabeńskiej. W 1653 roku dzierżawił go Łazarz Mojżeszowicz sekretarz i faktor JKM, posiadacz jurydyki w prawobrzeżnym Grodnie (po Chaleckich). W 1668 roku odnotowano: Zwierzyniec na przedmieściu za Niemnem nie ogrodzony, pusty. Najprawdopodobniej w tymże roku przeszedł on wraz z jurydyką w ręce Massalskich. Natomiast jego wschodnia część, tzw. plac łazarzowski, znalazł się w rękach karmelitów.[8]

Podstawowym źródłem do dziejów nadniemeńskiego grodu jest pomiara włóczna opublikowana w 1882 roku przez S. Szołkowicza.[9] Jednakże, jeśli chodzi o lewobrzeżną część miasta dotąd nie została ona przeanalizowana. Jak się wydaje, pomiarę włóczną pod tym kątem wykorzystywała chyba tylko Kwitnickaja.[10] Analizując układ przestrzenny miasta nie pominęła ona i jego lewobrzeżnej części. Jednakże wynik jej pracy, zamieszczony ostatnio w postaci schematycznej mapki również w Encyklopedii Historii Białorusi[11], jest pozbawiony szczegółów i w niektórych aspektach budzi wątpliwości. Może jednak stanowić podstawę wyjściową dalszych badań. Trzeba również zwrócić uwagę na jakość edycji źródła. Wydawcy zarzuca się bowiem wiele błędów.[12] Koniecznym wydaje się być odszukanie rękopisu i traktowanie z ostrożnością wyników uzyskanych na podstawie XIX-wiecznej edycji.

Jak słusznie zauważył Stanisław Alexandrowicz, pomiara włóczna jako reforma miejska nie jest dotąd doceniana.[13] Stwierdzenie to odnieść można do Przedmieścia Zaniemeńskiego szczególnie. O ile bowiem w Grodnie prawobrzeżnym ograniczono się do wymierzenia placów *nic nie odmieniając, ani placów równając* i jednej nowej ulicy (Mięsnicka), to zmiany po lewej stronie Niemna uznać należy za zasadnicze, za początek funkcjonowania Przedmieścia Zaniemeńskiego jako struktury miejskiej.[14] Pewną rolę odegrał też przywilej Zygmunta Augusta z 3 marca 1562 roku przyłączający do miasta pewne grunty za Niemnem.[15] Nie bez znaczenia były również przywileje ziemskie: Kazimierza Jagiellończyka z roku 1457[16] i Aleksandra z roku 1502.[17] Niewątpliwie bowiem, w momencie rozmierzania Zaniemnia, w 1560 roku istniały tam grunta należące do mieszczan. Włączono je wraz z ziemiami rzemieślników zamkowych i gruntami ziemiańskimi do planty miejskiej.[18]

Status prawny mieszkańców Przedmieścia Zaniemeńskiego w momencie przeprowadzania pomiary nie jest jasny. Wydaje się, że wśród ośmiu starych osadników są wyłącznie rzemieślnicy – poddani zamku grodzieńskiego. Również o nowych osadnikach mówi się jako o rzemieślnikach zamkowych, czy też rzemieślnikach pospolitych zamkowego przysądu, choć odnajdziemy wśród nich i mieszczan magdeburskich, np. pisarza miejskiego Andrzeja Stanisławowicza.[19] Mogłoby to świadczyć, iż początkowo Zaniemnie funkcjonowało jako osada rzemieślników zamkowych, będąc kontynuacją osady z okolic ulicy Łabeńskiej.[20] Być może chodzi jednak tylko o to, że Przedmieście Zaniemeńskie zasiedlono głównie rzemieślnikami zamkowymi.

Dość klarownie przedstawia się natomiast powstałe w 1560 roku rozplanowanie. Wymierzono wtedy kwadratowy rynek i sześć odchodzących od niego ulic i dróg. Z rogów rynku na pn.-zach. wybiegały ulice: Łabeńska (Niska) i Nowodworska. Przebiegając równolegle do Niemna stanowiły one wraz z pn.-zach. pierzeją rynku pozostałość po starszej osadzie rzemieślników zamkowych. Na pd.-wsch. wybiegała z Rynku ulica Hornicka. Ponadto rynek łączyła z Niemnem tzw. droga mostowa, zaś na południe i pd.-zach. wychodziły zeń drogi: Odelska i Kuźnicka. Wszystkie trzy, w odróżnieniu od ulic, bez placów miejskich. Oprócz tego na pd.-wsch. od ulicy Hornickiej wymierzono, ciągnącą się wzdłuż rzeki, krótką ulicę zwaną Rabiejowską. Wcześniej tereny te, jak się zdaje, należały do bojara Rabieja. Znajdował się tam również ogród poddanego cerkwi Znalezienia Krzyża Św., którego jak i Rabieja przeniesiono w inne miejsce.[21]

Przy rynku i 4 ulicach wymierzono, jak czytamy w źródle, 173 place. Dokładniejsza analiza wykazuje ich jednak nieco więcej:

Bóżnica w Grodnie, rys. J. Jodkowski, Grodno, *Wilno 1923, s. 105.*

przy Rynku..... – 30
ul. Łabeńska.....- 49
ul. Nowodworska .- 46
ul. Hornicka.....- 44
ul. Rabiejowska.....- 12
łącznie 181

Pomijając dwa duże place ziemiańskie przy ul. Łabeńskiej, planta Przedmieścia Zaniemeńskiego objęła nieco ponad 1500 prętów powierzchni, stanowiąc ok. 1/3 powierzchni sadzibnej całego miasta. W 1560 roku swego właściciela znalazła większość placów. W posiadaniu szlachty i około 65 osadników było ich wtedy ok. 100. Jednakże powierzchniowo grunta puste, nie zasiedlone przeważały, stanowiąc 55% ogólnej powierzchni planty zaniemeńskiej. Stosunkowo najlepiej zasiedlony został rynek oraz ulice: Hornicka i Łabeńska. Najwięcej gruntów pustych było zaś w ulicy Nowodworskiej.[22]

Plantę miejską od strony ulicy Łabeńskiej i Rabiejowskiej ograniczały morgi i wygony miejskie. Od południa graniczyła ona z siołem rzemieślniczym Zaniemonie, siedzibą jednego z wójtostw należących do dworu królewskiego Horodnicy. Zamieszkiwali w nim wyłącznie rzemieślnicy zamkowi: strycharze, bednarze, miełownicy, mularze, rybołowi, szyndzielnicy, cieśla i dojlid.[23] Później na tym terenie powstał dwór Augustów.[24]

Własność miejska na lewym brzegu Niemna nie ograniczała się jedynie do terenów Przedmieścia Zaniemeńskiego. Miasto posiadało tam liczne wsie-przedmieścia: Małachowicze, Olszankę, Gibulicze, Ćwiklicze, pół sioła Połotkowa, a za Łosośną: Adamowicze, Karlowo alias Mickiewicze i Baranowicze. Charakter wsi miejskiej nosiło też sioło Kołbasin.[25] Różnica w statusie prawnym między mieszkańcami tych wsi – przedmieść a mieszczanami nie jest wyjaśniona. Być może, iż w ogóle jej nie było. Dopatrzono się jej za to w czasach Tyzenhauza. Zamieszkujące przedmieścia grodzieńskie, uważające się za drobną szlachtę, rody: Semplińskich, Juszkiewiczów, Baranowiczów, Szamotułów, Czaszko-Okuliczów, Mickiewiczów, Ciołk-Łaniewskich zmuszono wtedy do odbywania dwudniowej pańszczyzny.[26]

Nasza znajomość dziejów lewobrzeżnego Grodna w XVI wieku, dzięki pomierze włócznej, jest stosunkowo dobra. Natomiast znaczną lukę stanowi okres późniejszy. W zasadzie obszerniejsze źródła posiadamy dopiero z drugiej połowy wieku XVIII. Po części stanowi to odzwierciedlenie znaczących zaniedbań w badaniach całego miasta i w ogóle miast litewskich. Po części zaś jest wynikiem faktu, że podstawowe do dziejów miasta źródła (np. rewizja z 1680 r.) Przedmieście Zaniemeńskie pomijają. Z całą pewnością źródła jednak istnieją. Wciąż nie przebadane pozostają np. przechowywane w Mińsku akta magistratu[27] i ławy[28], czy też grodzieńskie akta grodzkie[29] i ziemskie.[30] Obiecująco przedstawiają się pod tym kątem również zasoby archiwów wileńskich.

W pierwszej połowie XVII stulecia pojawia się na Przedmieściu Zaniemeńskim nowy ważny element – kościół i klasztor franciszkanów. Ufundował go starosta upicki Eustachy (Ostafej) Kurcz z małżonką Zuzanną. 1 lutego 1635 roku nadał on zakonowi franciszkanów konwentualnych kupioną od mieszczan kamienicę Chodajewską (Gudajewską vel Ludajewską) z placami na ulicy Mostowej *mimo uleczki leżącą*.[31] Nadanie opiewało więc na place po prawej stronie Niemna. Przybyli w rok później zakonnicy, zapewne początkowo osiedli właśnie tam.[32]

Po lewej stronie Niemna zakonnicy pojawili się od 1639 r., kiedy to Władysław IV swym przywilejem wydanym na prośbę starosty upickiego *miejsce na kościół i klasztor w tymże mieście Grodnie za rzeką Niemnem na przedmieściu do Tykocina idącym, naznaczył i skupić dozwolił*. Ponadto do gruntów kupionych Gedeon Michał Tryzna administrator ekonomii grodzieńskiej na mocy reskryptu królewskiego przydał franciszkanom plac we wsi – przedmieściu Rylowcach (Rykowcach) (?)[33] Oprócz tego

Kościół Franciszkanów w Grodnie, Pamjatniki iskusstva Sovetskogo Sojuza: Belorussija, Latvija, Estonija. Spravočnik-Putevoditel', wyd. 2, Moskva 1986, nr 21.

do uposażenia klasztoru należały: 1) folwark Poniemonie i włóki w dobrach Łososna nadane w 1635 roku przez Eustachego Kurcza; 2) dwie i pół włóki w Baranowiczach nadane przed rokiem 1680; 3) liczne place na Przedmieściu Zaniemeńskim oraz grunta w Adamowiczach, Mączynie, Olszance, Małachowiczach, Grandziczach i Tarusowiczach kupione, zastawione lub darowane przez mieszczan, przedmieszczan i szlachtę w latach 1640- 1750.[34]

O powstaniu zabudowań franciszkańskich niewiele wiadomo. Kościół powstał gdzieś między 1639 a 1662 r., kiedy to po raz pierwszy wymienia go J. A. Chrapowicki.[35] W połowie wieku XVIII gruntownie go przebudowano. Zdjęto wtedy kopułę, podwyższono wieżę, umieszczono na niej zegar, zbudowano wieżę z dzwonnicą, wzbogacono wnętrze o organy. Opisy stanu zachowania i wyposażenia wnętrza kościoła z początku XX wieku zamieścili Orłowski i Jodkowski.[36] Opublikowano takiż również ostatnio.[37] Według planu z 1780 roku, kościół i przyległe doń zabudowania klasztorne wybudowano na rynku zaniemeńskim. Tworzyły one dwa dziedzińce, przy których znajdował się ogród. Całość otoczono murem. Ponadto w pn.-zach. pierzei rynku znajdował się szpital franciszkański, a pd. -zach. pierzeję zajmował klasztorny folwark.[38]

Interesującym problemem badawczym wydaje się być pewna odrębność Przedmieścia Zaniemeńskiego od prawobrzeżnej części miasta. Wyrazem jej było nie tylko oddzielenie przedmieścia od centralnej części Grodna rzeką Niemen, inna geneza i różniąca się początkowo sytuacja prawna, ale również skład narodowościowy mieszkańców, o czym powiemy jeszcze niżej. Jednym z elementów owej odrębności jest fakt powstania na Zaniemniu odrębnej, drugiej w mieście, parafii. Utworzono ją w 1761 roku w klasztorze franciszkańskim.[39] Wydaje się jednak, że i wcześniej, już w XVII wieku, kościół franciszkański pełnił de facto taką rolę, czemu sprzyjały trudności w przeprawie przez Niemen.[40] Dzieje klasztoru franciszkańskiego i istniejącej tam parafii wymagają odrębnych, gruntownych badań. Na odnalezienie i zbadanie zasługuje bogata biblioteka klasztorna. Przy klasztorze jeszcze przed II wojną światową istniało archiwum zawierające akta z XVII-XVIII wieku.[41] Warto by również przeanalizować księgi metryczne parafii zaniemeńskiej zachowane w grodzieńskim archiwum.[42]

Dla Grodna, miasta położonego po obu stronach Niemna, duże znaczenie miały mosty. Ostatnio nieco uwagi poświęciła im E. Dubas-Urwanowicz.[43] Niestety, żadne z jej stwierdzeń na ich temat nie jest prawdziwe. Nie jest prawdą, że pierwszy most na Niemnie zbudowano w Grodnie za panowania Aleksandra Jagiellończyka. Powstał on bowiem jeszcze za czasów jego ojca.[44] Wątpliwe jest również, że oparty był on na dwóch filarach. Most ten wielokrotnie wspominają dokumenty z lat 1539-40.[45] Jako budowlę od dawna już istniejącą wymienia go również list królewski z 1561 roku.[46] Wizerunek budowli znany jest nam ze sztychu Zündta i Adelhauzera przedstawiającego wjazd do Grodna poselstwa moskiewskiego w 1567 roku. Nietrudno na nim dostrzec, że drewniany most miał więcej niż dwa filary.[47] Nieprawdą jest również stwierdzenie o powstaniu za Batorego nowego mostu, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Most zbudowany w Grodnie za panowania tegoż króla wspomina co prawda literatura przedmiotu, jednakże przerzucono go przez rów okalający zamek królewski, a nie przez Niemen.[48] Autorka nie ma również racji twierdząc: „Most drewniany na Niemnie stanął także podczas panowania Zygmunta III, szybko chyba jednak uległ zniszczeniu, ponieważ źródła z 1650 r. wskazują, iż go już nie było". Bez trudu można wykazać, że nie istniał on „już" w 1639 roku.[49] Nie w tym jednak rzecz, iż most „już" nie istniał, ale w tym, że w ogóle nie istniał. Źródło z 1627 roku, wspominając most grodzieński, mówi o chęci jego zbudowania, nie zaś o tym, iż istotnie go zbudowano.[50] Podobnie rzecz się ma z mostem, który jakoby miał powstać za czasów Augusta III Sasa (1744 r.). Źródłowe potwierdzenie podjęcia budowy mamy dopiero z 1755 roku, a i tak bez pewności, że nie idzie o most w Grandziczach – Mączynie.[51] Wzniesiono za to, o czym autorka nie wspomniała, inne mosty. Pierwszym z nich, w czasie wojny północnej, wycofała się oblężona przez Szwedów armia moskiewska.[52] Wydatki na budowę drugiego odnajdziemy w rachunkach ekonomii grodzieńskiej z lat 1788-90. Został on zniszczony w 1794 roku przez wojska rosyjskie na wieść o wybuchu w Warszawie powstania.[53] Wkrótce też zaczęto myśleć o zbudowaniu kolejnego.[54]

Interesujący obraz lewobrzeżnej części Grodna przedstawia plan miasta z 1780 roku znany nam z kopii z 1783 roku.[55] Jego autorem jest Józef Markiewicz.[56] Wraz z dołączonym doń opisem stanowi on znakomite i nie wykorzystywane dotąd szerzej źródło do dziejów miasta (patrz plan).

W rozplanowaniu Przedmieścia Zaniemeńskiego przede wszystkim zwracają uwagę zmiany jakie zaszły od momentu jego rozmierzenia. Niemal całkowicie zabudowany został rynek zajęty przez franciszkanów i Ogińskiego. Nadana mu przez pomiarę włóczną kwadratowa forma jest już niemal niewidoczna. Ponadto całkowicie zanikła ulica Nowodworska. Pod koniec XVIII wieku stanowi ona już właściwie tylko drogę między polami uprawnymi należącymi do miasta i do Potockiego. Zwraca uwagę również zabudowa. Wbrew twierdzeniom J. Urwanowicza i A. Woltanowskiego, kościół i klasztor franciszkanów nie były jedynymi monumentalnymi budowlami po lewej stronie Niemna. Istotnie jednak, w porównaniu z Grodnem prawobrzeżnym zabudowa przedmieścia nie wyglądała okazale. Były tam jednak dwa pałace: Ogińskiego przy rynku i Radziwiłła.[57] Ten ostatni położony już poza obszarem właściwego przedmieścia na terenie folwarku Hnojnica.[58] Większość placów była zabudowana, wciąż jednak wiele z nich, szczególnie przy ulicy Hornickiej i Nowodworskiej, było pustych. Zabudowa powstała za to poza terenem dawnej planty, na terenie dawnego zwierzyńca królewskiego oraz nad samym Niemnem, gdzie powstały zabudowania gospodarcze należące do właścicieli największych jurydyk – Potockiego i Radziwiłła.[59] W 1794 roku na terenie Przedmieścia Zaniemeńskiego znajdowało się ok. 19% wszystkich zabudowanych posesji Grodna. Zamieszkiwała je wszakże głównie ludność najuboższa.[60]

Niezwykle interesująco na Przedmieściu Zaniemeńskim przedstawia się struktura własnościowa placów i gruntów. Niemal całe przedmieście zostało zmajoryzowane przez właścicieli szlacheckich i duchownych. Przy rynku skupiały się posiadłości franciszkanów oraz Ogińskich. Wschodnią część Zaniemnia, przyległą do folwarku Hnojnica, zdominował Radziwiłł. Zachodnia znajdowała się w 1780 roku niemal wyłącznie w rękach Potockich. Ponadto znaczne tereny posiadali Massalscy i zakon karmelitów. Wśród drobniejszych właścicieli źródło odnotowuje pojedyncze place Chreptowicza i Horodeckiego. Grunta miejskie były nieliczne, przeważnie nie były to place, a pola uprawne. Częściowo użytkowane zresztą przez właścicieli jurydyk.[61] Genezy takiego stanu rzeczy doszukiwać się należy w drugiej połowie wieku XVII kiedy to Grodno stało się miastem sejmowym. Znaczącą różnicę między prawym i lewym brzegiem Niemna stanowił fakt, że choć obie części miasta zostały zdominowane przez szlachtę, to lewy brzeg nie stanowił miejsca osiedlania się, lecz tworzył zaplecze gospodarcze siedzib szlacheckich położonych po prawej stronie rzeki.

Ważną rolę w rozwoju Przedmieścia Zaniemeńskiego odegrali Żydzi. W 1560 roku odnajdujemy tam tylko Abrama Tudzica, który *dawno zasiadł*. Zamieszkiwał on dom zamkowy przy ul. Łabeńskiej, który zapewne identyfikować należy jako karczmę. Wspomniano ją już w 1540 roku. Na Zaniemniu znacząca była natomiast obecność żydowska w pobliskim Kołbasinie. W posiadaniu Żydów z prawego brzegu Niemna była większość włók tego sioła.[62] Później jednak sytuacja ulega zasadniczej zmianie. Tak dalece, że Przedmieście Zaniemeńskie określane było nawet jako Ulice zaniemeńskie samych Żydów.[63] W 1794 roku zabudowane posesje na przedmieściu w 2/3 zamieszkiwała ludność żydowska.[64] Przy czym Żydzi mieszkali zarówno na placach miejskich, jak też skarbowych oraz na terenie prywatnych jurydyk.[65]

Tak znacząca obecność Żydów na Przedmieściu Zaniemeńskim pod koniec XVIII w. związana była, jak się wydaje, z ograniczeniami dotyczącymi kupna placów na prawym brzegu rzeki. Zygmunt III w swym przywileju z 15 lutego 1619 roku zezwalając Żydom zbudować murowaną synagogę zaznaczył jednak, by więcej domów i placów nie kupowali i nie nabywali *nad to, co przed pogorzeniem, które się w roku 1617 stało*. Wolno było jednakże odbudowywać domy na starych miejscach. Potwierdzali to kolejni władcy.[66] Zawężono więc możliwość osiadania się Żydów do terenów getta ograniczonego Starym Zamkiem, rowem Horodnicy, Rynkiem Niemieckim i ulicą Zamkową oraz do nielicznych, jak się wydaje, działek w pozostałych częściach miasta, kupionych jeszcze przed pożarem. Możliwości osadnicze istniały jednak na licznych jurydykach szlacheckich i duchownych. Analiza planu miasta z 1780 roku wykazuje, że domu żydowskie niemal z reguły stały na cudzych placach.[67] Podobnie było również w Wilnie.[68]

Być może ograniczenia w mniejszym stopniu dotyczyły terenów peryferyjnych, takich jak Przedmieście Zaniemeńskie. Z drugiej jednak strony możliwym jest, że całość osadnictwa żydowskiego na Zaniemniu związana jest tylko i wyłącznie z terenami należącymi do jurydyk prywatnych i duchownych. Grunta wykazane na planie z 1780 roku jako miejskie, czy skarbowe, przed procesami magistratu z właścicielami jurydyk (1754 r.) mogły należeć właśnie do nich, szczególnie do klasztoru franciszkańskiego.[69]

Żydzi osiedlający się na lewym brzegu rzeki wybudowali drewnianą barokową bożnicę. Jej rysunek zamieścił Józef Jodkowski i wydatował na wiek XVII.[70] Natomiast Maria i Kazimierz Piechotkowie analizując jej konstrukcję określili datę powstania świątyni zgodnie, z odczytanymi na bimie datami: 1749, 1754, na połowę wieku XVIII, dodając wszakże słowo prawdopodobnie.[71] Porównanie planów miasta z 1780 i 1824 roku pozwala na dokładne zlokalizowanie świątyni. Znajdowała się ona przy ulicy Hornickiej na placu należącym do jurydyki Ogińskich, określonym przez legendę do planu jako plac Mendela Leyzorowicza.[72] Najprawdopodobniej przy niej, za pozwoleniem biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego, powstał w 1789 roku cmentarz żydowski.[73]

Bożnice o podobnej konstrukcji, ze zrębowymi ścianami i wielokondygnacyjnymi mansardowymi dachami tworzą tzw. grupę białostocką-grodzieńską. Należą do niej między innymi bożnice w Suchowoli, Janowie, Wołpie, Zabłudowie, Sopoćkiniach, Jeziorach, Sidrze, czy też

Wasilkowie.[74] Mimo pewnych różnic konstrukcyjnych mają one wiele cech wspólnych w ukształtowaniu bryły i rozwiązaniach przestrzennych wnętrz stanowiąc najbardziej jednolitą grupę drewnianych bożnic na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Jak podejrzewają Maria i Kazimierz Piechotkowie musiała na tym terenie „na tle rozwiązań dziewięciopolowych i miejscowych tradycji budowlanych" powstać bożnica stanowiąca pierwowzór następnych obiektów. Według nich mogła to być bożnica w Wołpie.[75] Wydaje się to jednak wciąż stanowić kwestię otwartą. Najbardziej bowiem prawdopodobne jest, ze względu na wielkość i znaczenie kahału grodzieńskiego, że była to właśnie synagoga zaniemeńska.

Powstanie znaczącej społeczności żydowskiej w lewobrzeżnym Grodnie, z własną świątynią, cmentarzem i zapewne łaźnią, zaowocowało próbą oddzielenia się Żydów zaniemeńskich od kahału grodzieńskiego. 11 marca 1790 r. kahał grodzieński skarżył się Komisji Skarbowej Litewskiej, że Żydzi zaniemeńscy, którzy według postanowienia tejże powinni wnosić podatki do tego kahału, nie chcą płacić: *Cherym najsurowszy i najcięższy podług religii naszej jest wydany, ale i wiernicy pod ciężką przysięgą tego poboru pilnować są ustanowieni, a przez dekret Najjaśn[iejszej] Komisji Żydzi przedmieszczanie zaniemeńscy są p[rzy]łączonemi do wszystkich ogólnie podatków do kahału, którzy teraz bez żadnej prawnej konwikcyi pod władzę kahału podlegać nie chcą, nawet do krobki osobnie składać się i wierników swoich ustanowić żądają. Takowy zaś Cherym podług religii jest nieważnym i nikogo nie obowiązującym.*[76] Czy ostatecznie doszło do wydzielenia się kahału zaniemeńskiego – nie wiemy. Kwestia ta, podobnie jak i inne powyższe, wymaga jeszcze gruntownego zbadania.

Przypisy

1 *Starożytna Polska pod względem historycznym, jeograficznym i statystycznym opisana przez Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego,* t. 3, Warszawa 1846, s.356-380.
2 *Codex diplomaticus Prussicus*, wyd. J. Voigt, t. 3, Königsberg 1848, nr 134, s.182.
3 A. Kraŭcewicz, *Garady i Zamki Bielaruskago Poniemanija XIV-XVIII st.*, Minsk 1991, s.60.
4 *Puścizna po Janie Długoszu dziejopisie polskim to jest: Kronika Wiganda z Marburga rycerza i kapłana Zakonu Krzyżackiego na wezwanie Długosza z rymowanej kroniki niemieckiej na język laciński przetlumaczona*, wyd. J. Voigt, E. Raczyński, Poznań 1842, s.339,343.
5 *Starożytna Polska...*, t.3, s.472.
6 *Piscovaja Kniga Grodnenskoj Ékonomii s" pribavlenijami, izdannaja Vilenskoju Komissieju dlja Razbora Drevnich" Aktov"*, č. 2, Vil'na 1882, s.13-17(dalej: PKGE).
7 J. Maroszek, *Dolina Biebrzy w przeszłości – do końca XVIII wieku*, „Białostocczyzna", 1995, nr 1, s.4-5; idem, *Między Niemnem a Narwią. Pogranicze polsko-litewskie w planach Zygmunta Augusta* (w druku)
8 PKGE, č. 2, s.23,62,259,295-296.
9 Tamże, s.25-64.
10 E. D. Kvitnickaja, *Planirovka Grodno v XVI-XVIII w.* , „Architekturnoe Nasledstvo", t.17, 1966.
11 Éncyklapedyja Gistoryi Belarusi, t. 3, Minsk 1996, s.148.
12 J. Gordiejew, *Losy archiwaliów grodzieńskich z XVI-XVIII w.*, „Białostocczyzna", 1998, nr 2, s.79-80.
13 S. Alexandrowicz, *Gospodarcze, prawne i etniczne osobliwości sieci miejskiej ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego w XVI-XVII w.*, [w:] *Miasto i kultura ludowa w dziejach Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy*, pod red. J. Wyrozumskiego, Kraków 1996, s.64.
14 Patrz przypis 9.
15 *Akty izdavaemye Vilenskoju Archeografičeskoju Kommissieju*, t. 7, Vil'na 1874, s.83-84 (dalej: AiVAK).
16 *Zbiór praw litewskich od roku 1389 do roku 1529 tudzież rozprawy sejmowe o tychże prawach od roku 1544 do roku 1563*, wyd. T. Działyński, Poznań 1841, s.31; Zob. też J. Gordiejew, recenzja książki pt. *Grodno w XVIII wieku. Miasto i ludność (na tle trendów rozwojowych od Średniowiecza do 1939 roku)*, p. red. A. Woltanowskiego i J. Urwanowicza, Białystok 1997, „Białostocczyzna" 1998, nr 2, s.167.
17 AiVAK, t.7, s.61-62.
18 PKGE, č.2, s.64.
19 Tamże, s.56-57,61-64.
20 J. N. Maraš, *Grodno – feodal'nyj belorusskij gorod (XII-XVIII vv.)*, [w:] *Grodno Istoričeskij očerk*, pod red. Z. J. Kopysskogo i B. M. Ficha, izd. 2, Minsk 1964, s.14. Twierdzi, że w lewobrzeżnej części miasta mieszkała szlachta i rzemieślnicy zależni od zamku – jednakże bez dowodu.
21 PKGE, č.2, s.56-64.
22 Tamże.
23 Tamże, s.92-93,106-109.
24 AGAD, Zbiór kartograficzny, 67-1(fotokopia w zbiorach ROSiOŚK w Białymstoku).
25 PKGE, č.2, s.77-93,197.
26 S. Kościałkowski, *Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski,* t.1, Londyn 1970, p.345 s.495.
27 NAHB w Mińsku, F.1761, op.1, nr 1-25.
28 NAHB w Mińsku, F.1800, op.1, nr 1-2.
29 NAHB w Mińsku, F.1711, op.1, nr 1-216.
30 NAHB w Mińsku, F.1755, op.1, nr 1-205.
31 PKGE, č.2, s.260-261,309.
32 *Słownik Polskich pisarzy franciszkańskich (Bernardyni, franciszkanie śląscy, franciszkanie konwentualni, klaryski oraz zgromadzenie III reguły)*, pod red. H. E. Wyczawskiego, Warszawa 1981,s.21.
33 PKGE, č.2, s.309-310.
34 J. Jodkowski, *Grodno*, Wilno 1923, s.110; PKGE, č.2, s.198, 302-309.
35 J. A. Chrapowicki, *Diariusz. Część pierwsza: lata 1656-1664*, oprac. T. Wasilewski, Warszawa 1978, s.341.
36 Orlovskij, *Grodnenskaja starina*, č.1 Grodno, Grodno 1910, s.101; J. Jodkowski, op. cit., s.100-102.
37 Grodno, *Énciklopedičeskij Spravočnik*, Minsk 1989, s.272-273.
38 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1 (kserokopia w zbiorach ROSiOŚK w Białymstoku).
39 Orlovskij, op. cit., s.101
40 J. A. Chrapowicki, *op. cit.*, s.358-360; *część druga; lata 1665-1669*, opr. T. Wasilewski, A. Rachuba, Warszawa 1988, s.51,53,55,67-68,71,76, 326-327, 331, 339, 408, 410, 449, 523.

41 J. Jodkowski,op. cit., s.102.
42 K. P. Batrakova, *Dakumenty Kul'tawych Chryscijanskich Ustanoŭ u CDGA Respubliki Belarus' u g. Grodna, [w:] Naš Radavod*, kn.4, č.1, Grodna 1992, s.170.
43 E. Dubas Urwanowicz, *Grodno do XVIII wieku. Miasto i ludność.* [w:] *Grodno w XVIII wieku. Miasto i ludność (na tle trendów rozwojowych od średniowiecza do 1939 roku)*, pod red. A. Woltanowskiego i J. Urwanowicza, Białystok 1997, s.20-21.
44 *Akty Litovskoj Metriki*, t. 1, v.1 1413-1498, izd. F. I. Leontovič, Varšava 1896, nr 137, s.54.
45 AiVAK, t. 17, Vil'na 1890, nr 58, 192, 352, 663,688.
46 AiVAK, t.7, s.82-83.
47 Patrz fragmenty opublikowane w: Éncyklapedyja Gistoryi Belarusi, t. 3, s.150.
48 Orlovskij, *op. cit.*, s.87.
49 A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2 1637-1646, opr. A. Przyboś i R. Żelewski, Warszawa 1980, s.142.
50 AiVAK, t. 7, s.109.
51 LPAH w Wilnie, F. 1215, op. 1, nr 305, k. 1-6; PKGE, č.2, s.272-273.
52 Orlovskij, *op. cit.*, s.133.
53 AGAD, *Zbiór Popielów*, 307, k.8v; 308, k.9; Orlovskij, *op. cit*, s.198.
54 NAHB w Mińsku, F. 1761, op. 1, nr. 25.
55 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1.
56 M. Moroz, *Działalność Józefa Markiewicza w Ekonomii Grodzieńskiej za rządów Antoniego Tyzenhauza*, „Białostocczyzna" 1998, nr 1, s.21.
57 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1; J. Urwanowicz, A. Woltanowski, *Grodno w 1794 r.: Miasto i ludność*, [w:] *Miasto, region, społeczeństwo. Studia ofiarowane Profesorowi Andrzejowi Wyrobiszowi w sześćdziesiąta rocznicę Jego urodzin*, Białystok 1992, s.112.
58 T. Zielińska, *Szlacheccy właściciele nieruchomości w miastach XVIII w.*, Warszawa-Łódź 1987, s.34.
59 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1; Zob. również fragment planu z 1795 r. opublikowany przez: J. Čanturyja, *Garady i čas*, [w:] *Stračanaja Spadčyna*, Minsk 1998, s.316.
60 Zob. przypis 57.
61 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1.
62 PKGE,č.2, s.58,81-82; AiVAK, t. 17, s.247.
63 [Spis mieszkańców Grodna z 1794 r.], opr. J. Urwanowicz, [w:] *Grodno w XVIII wieku...*, p.2 s.65, p.228, s.137.
64 Zob. przypis 57.
65 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1.
66 AIVAK, t. 1, Vil'na 1865, s.217-233.
67 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1. Tego zdania jest również I. Trusov, *Nekatorye istočniki, kak zerkala social'nych, kul'turnych i nacional'nych peremen v Grodno XVI-XVIII v.*, [w:] *Naš Radavod*, kn.7, Grodna 1996, s.225.
68 J. Maroszek, *Ulice Wilna w XIV-XVIII w.*, KHKM, 1999 (w druku).
69 PKGE, č.2, s.302-313.
70 J. Jodkowski, *op. cit.*, s.104-105.
71 M. i K Piechotkowie, *Bramy Nieba. Bożnice drewniane na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1996, s.199-205.
72 CGV-I AR w Moskwie, F.847, op.16, nr 21872, k.1; F.1293,op. 162, nr 3, k.1.
73 *Grodno* [autor i wydawca] *Kółko Historyczne przy I-em Społecznem Gimnazjum Koedukacyjnem*, Grodno 1934, s.37.
74 Zob.: Z. Gloger, *Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce*, t.1, Warszawa 1907, s.11; T. Wiśniewski, *Bożnice Białostocczyzny. Żydzi w Europie Wschodniej do roku 1939*, Białystok 1992, s.156-158, 184-185,191-193, 201-207; przypisy: 71 i 75.
75 M. i K Piechotkowie, *Bożnice drewniane*, Warszawa 1957, s.42-43.
76 LPAH w Wilnie, F. 11, op. 2, nr 286.

Tomasz WESOŁOWSKI

Kryptonim „Chryzantema". Niezrealizowany plan samozatopienia sowieckiej Floty Bałtyckiej we wrześniu 1941 r.

Zagadnieniom udziału sowieckiej Floty Bałtyckiej w wojnie z Niemcami oraz obronie Leningradu poświęcono w Związku Sowieckim niezwykle dużo publikacji. Również polscy autorzy chętnie podejmowali ten ciekawy temat. Niestety styl publikacji, jak również ich wymowa ideologiczna wykluczały wówczas możliwość obiektywnego spojrzenia na działalność sowieckiej marynarki wojennej na Bałtyku, ograniczając ramy większości publikacji do propagandowych form eksponowania bohaterstwa sowieckich marynarzy. Przemilczano w nich wszelkie wątpliwe lub niewygodne wydarzenia – defetyzm, panikarstwo, nieudolność dowodzenia, zaś obrońców przedstawiano jako pewnych zwycięstwa bohaterów, z pełnym zaufaniem realizujących wytyczne nieomylnego Naczelnego Dowództwa.

Jedną z białych plam w historii sowieckiej marynistyki pozostawały wydarzenia, jakie rozegrały się we wrześniu 1941 r. w oblężonym Leningradzie. Omal nie doprowadziły one, na skutek ingerencji i nacisków Naczelnego Dowództwa, do samozatopienia Floty Bałtyckiej. Skąpe i mocno ocenzurowane informacje o tych wydarzeniach można odnaleźć we wspomnieniach ówczesnego Ludowego Komisarza Marynarki Wojennej admirała N.G.Kuzniecowa[1], byłego dowódcy Floty Bałtyckiej, w owym czasie wiceadmirała W.F.Tribuca[2], a także byłego szefa oddziału operacyjnego sztabu floty, wówczas kapitana 1 rangi, J.A.Pantieliejewa[3]. Jednak podawane przez nich informacje nie dają pełnego obrazu sytuacji floty w krytycznych dniach września 1941 r. Dopiero opublikowanie w 1992 r. pełnego tekstu projektu planu zatopienia floty[4], a następnie w 1996 r. jego ostatecznej wersji zatwierdzonej przez Naczelne Dowództwo[5] pozwala na właściwą ocenę tamtych wydarzeń.

Do pełnego zrozumienia przyczyn porażki sowieckiej floty na Morzu Bałtyckim w 1941 r. niezbędne jest nakreślenie ogólnych ram strategii morskiej przyjętych przez sowieckie dowództwo. Istnienie aż czterech flot: Północnej, Bałtyckiej, Czarnomorskiej oraz Oceanu Spokojnego zmuszało Związek Sowiecki do przyjęcia planu ich forsownej rozbudowy, umożliwiającej samodzielne działania każdej z nich w warunkach wzajemnej izolacji i przy odmiennych założeniach operacyjnych. Jedynie floty: Północna oraz Oceanu Spokojnego działały w otwartych akwenach, a ich głównym zadaniem miało być, oprócz zwalczania jednostek floty przeciwnika, zabezpieczenie i ochrona szlaków komunikacyjnych. Natomiast podstawowym zadaniem eskadr nawodnych flot: Bałtyckiej i Czarnomorskiej było współdziałanie z wojskami lądowymi, wspieranie ich skrzydeł morskich oraz prowadzenie operacji desantowych. Działania przeciwko liniom komunikacyjnym przeciwnika prowadzić miały przede wszystkim zespoły okrętów podwodnych, ścigaczy torpedowych i lotnictwo morskie.

Szczególną rolę w koncepcjach operacyjnych Związku Sowieckiego odgrywała Flota Bałtycka. Jej zasadniczymi zadaniami było: współdziałanie z wojskami lądowymi w obronie wybrzeży, obrona swych baz, odpieranie desantów morskich nieprzyjaciela, niedopuszczenie do przedostania się okrętów przeciwnika na wody Zatoki Ryskiej i Zatoki Fińskiej oraz ochrona morskich linii komunikacyjnych w rejonie wschodnich wybrzeży bałtyckich. Główną bazą floty był Tallin, bazą sił lekkich Ust-Dwinsk, zaś okrętów podwodnych Lipawa. Jako bazy tyłowe wykorzystywano również Kronsztad, Leningrad oraz budowaną bazę Hanko. Bezpośrednio przed atakiem wojsk niemieckich na Związek Sowiecki Flota Bałtycka liczyła: 2 pancerniki („Marat" i „Oktiabrskaja Riewolucija"), 2 krążowniki („Maksim Gorkij" i „Kirow"), 27 liderów i niszczycieli, 6 stawiaczy min, 48 kutrów torpedowych, 7 dozorowców, 33 trałowce, 1 kanonierkę, 33 małe ścigacze i kutry dozorowe, 65 okrętów podwodnych oraz liczne jednostki pomocnicze i specjalne. Organizacyjnie siły te tworzyły: eskadrę liniową, eskadrę sił lekkich, trzy brygady okrętów podwodnych oraz siły baz morskich, obrony brzegowej i tyłów floty. Łączny stan osobowy floty wynosił w czerwcu 1941 r. około 118 500 oficerów i marynarzy[6]. Ponadto, w związku z przyjętym w 1938 r. dziesięcioletnim planem rozbudowy marynarki wojennej, w stoczniach Leningradu budowano szereg nowych okrętów różnych klas. Na pochylni Stoczni Bałtyckiej im. S.Ordżonikidze znajdował się m.in. niemal ukończony kadłub nowoczesnego pancernika projektu 23 – „Sowietskij Sojuz". Z kolei w stoczni Nr 194 im. A.Marti znajdował budowano krążownik ciężki[7] projektu 69 – „Kronsztadt". Podobnie jak w przypadku „Sowietskogo Sojuza", kadłub „Kronsztadta" był już niemal ukończony i gotowy do zwodowania. Stocznie leningradzkie budowały ponadto serię krążowników projektu 68 – przy trzech okrętach tego typu: „Czapajew", „Żelezniakow" i „Czkałow" prace po wybuchu wojny jednak przerwano. Ostatnim z budowanych dużych okrętów był krążownik „Pietropawłowsk" – zakupiony w 1940 r. w Niemczech okręt klasy „Admiral Hipper". Wznoszone były również całe serie okrętów mniejszych klas m.in. niszczycieli projektu 30, dozorowców projektu 29 oraz stawiaczy min, trałowców i okrętów podwodnych. Wiązało się to ze zmianą koncepcji rozbudowy sowieckiej floty, kładącej odtąd nacisk na rozbudowę sił lekkich. Pomimo liczebnej przewagi nad siłami niemieckimi skierowanymi na Bałtyk, Flota Bałtycka znajdowała się w dużo gorszej sytuacji od Kriegsmarine. Niemcy mieli możliwość swobodnego przerzucania sił z Morza Północnego, zaś flota sowiecka, ze względu na zamknięty obszar operacyjny wschodniej części Bałtyku była z góry skazana na izolację. Dowództwo floty nie mogło liczyć na zbudowany na początku lat trzydziestych Kanał Białomorski, łączący Morze Białe, poprzez jeziora Oniega, Ładoga i rzekę Newę z Zatoką Fińską. Zbyt wąski i płytki kanał nie pozwalał na ruch okrętów wojennych, za wyjątkiem niewielkich jednostek.

Już od pierwszych dni wojny sowiecko-niemieckiej Flota Bałtycka została zepchnięta do defensywy. W krótkim czasie utracono bazy w Lipawie, Windawie i Rydze. Działania sowieckie ograniczyły się do defensywnych akcji minowania podejść do Zatoki Fińskiej, zaś próba działań ofensywnych za pomocą okrętów podwodnych zakończyła się porażką i znacznymi stratami. Najdotkliwiej jednak flota odczuła utratę głównej bazy i kotwicowiska w Tallinie. Ewakuacja bazy i garnizonu drogą morską miała tragiczny finał. Z konwoju liczącego 67 jednostek transportowych do Kronsztadu lub Leningradu dotarło zaledwie 30, ponadto utracono 16 okrętów wojennych różnych klas, a kilkanaście kolejnych zostało uszkodzonych. Pierwsze dwa miesiące walk zakończyły się więc klęską Floty Bałtyckiej. Pozbawiona większości baz została zepchnięta do Zatoki Fińskiej, a skuteczne działania blokadowe przeciwnika oznaczały w praktyce, przynajmniej tymczasowe, wyeliminowanie sowieckich okrętów z działań na Bałtyku. Do 1 września 1941 r. Flota Bałtycka utraciła bezpowrotnie: 12 niszczycieli, 2 dozorowce, 1 stawiacz min, 16 trałowców oraz 17 okrętów podwodnych oraz kilkadziesiąt mniejszych jednostek[8]. Wiele spośród uratowanych okrętów wymagało natychmiastowych remontów, trudnych do przeprowadzenia w przeciążonych i bombardowanych stoczniach.

Niemcy po ewakuacji Tallina natychmiast przeprowadzili operacje minowe we wschodnich akwenach Zatoki Fińskiej i rozpoczęli stałe działania blokadowe za pomocą eskadr sił lekkich i lotnictwa. Działania te ułatwiały warunki geograficzne Zatoki Fińskiej, mającej zaledwie 15 do 120 km szerokości. Taki obszar mógł być skutecznie patrolowany nawet przez pojedyńcze niemieckie samoloty rozpoznawcze, startujące z lotnisk, które udostępniała jednostkom Luftwaffe Finlandia. Także okręty Kriegsmarine już od sierpnia 1941 r. korzystały z fińskich baz położonych na północnym wybrzeżu zatoki – w Helsinkach, Turku i Kotce.

Wkrótce dla Floty Bałtyckiej pojawiło się nowe zagrożenie – z lądu. Leningrad był jednym z głównych celów operacyjnych niemieckiego planu „Barbarossa". Już 10 lipca 1941 r. wojska niemieckiej Grupy Armii „Nord" uderzyły z rejonu Pskowa w kierunku północno-zachodnim na Ługę, zamierzając tą najkrótszą drogą dotrzeć od południa do Leningradu. 31 lipca 1941 r. do natarcia ruszyła armia fińska na Przesmyku Karelskim. Mając przewagę liczebną Finowie zepchnęli w kierunku południowym sowiecką 23 Armię. Już 1 września padł Wyborg, a część jednostek sowieckich została odcięta w rejonie Koivisto. Spychane w kierunku Zatoki Fińskiej dywizje ewakuowane zostały przez okręty Floty Bałtyckiej. W połowie września 1941 r. wojska fińskie dotarły do starej granicy sowiecko-fińskiej z 1939 r. Impet natarcia fińskiego stopniowo się wyczerpał i walki przybrały charakter pozycyjny. Stabilizacja frontu nie oznaczała jednak zlikwidowania zagrożenia, gdyż linia frontu przebiegała w odległości zaledwie 30 km od Leningradu. W tym czasie wojska niemieckie parły na Leningrad jednocześnie z kilku kierunków. Niemiecka 18 Armia rozwijała natarcie z Estonii w kierunku na Narwę i 13 sierpnia sforsowała rzekę, spychając na wschód jednostki sowieckiej 8 Armii. Cofająca się 8 Armia zdołała jednak przejściowo ustabilizować front na linii Zatoka Koporska – Ropsza, m.in. dzięki wsparciu artylerii nadbrzeżnej i okrętowej. Jednocześnie związki niemieckiej 16 Armii nacierały na Leningrad od południa, docierając 21 sierpnia do oddalonego o 30 km od Leningradu Krasnogwardiejska. Krytycznym momentem był dzień 30 sierpnia, kiedy to wojska niemieckie dotarły do Mgi, spychając na zachód rozbite jednostki 55 Armii. Dowództwo Frontu Leningradzkiego pośpiesznie rzuciło w wyłom ostatnie odwody: oddziały pospolitego ruszenia, jednostki NKWD i słuchaczy szkół wojskowych. 8 września oddziały niemieckie dotarły do południowego brzegu jeziora Ładoga i zdobyły miasto Szlisselburg, odcinając tym samym Leningrad. Utrzymanie łączności z miastem możliwe odtąd było jedynie drogą powietrzną i drogą wodną przez Ładogę. Niekorzystna sytuacja operacyjna, jaka wytworzyła się w rejonie Leningradu w znacznej mierze była wynikiem błędów popełnionych przez dowództwo Frontu Leningradzkiego. Nieudolność dowodzącego wojskami frontu marsz. K.J.Woroszyłowa została przez Naczelne Dowództwo dostrzeżona jednak zbyt późno i dopiero 11 września jego obowiązki przejął przysłany z Moskwy gen.armii G.K.Zukow. W tym czasie oblężony Leningrad przygotowywał się do obrony. Powołano komitet obrony miasta, którym kierował przewodniczący miejskiego komitetu WKP(b) A.A.Żdanow. Na przedpolach miasta, a także w poszczególnych jego dzielnicach szykowano stanowiska obronne, barykady, zapory przeciwczołgowe i przez cały czas formowano oddziały pospolitego ruszenia. Wszystkie ważniejsze obiekty miasta: zakłady przemysłowe, magazyny, dworce przygotowywano do wysadzenia na wypadek konieczności oddania ich przeciwnikowi.

Pogarszająca się sytuacja operacyjna na akwenach Bałtyku niepokoiła sowieckie Naczelne Dowództwo. Już w sierpniu 1941 r. do Leningradu został skierowany zastępca Ludowego Komisarza Marynarki Wojennej adm. I.S.Isakow. Jego zadaniem było koordynowanie działań Floty Bałtyckiej oraz nadzór nad jej dowództwem. W ostatnich dniach sierpnia do Leningradu przybył na inspekcję Ludowy Komisarz Marynarki Wojennej adm. N.G.Kuzniecow. Skontrolował on przebieg przygotowań obronnych w rejonie Krasnej Gorki, następnie inspekcjonował bazę w Kronsztadzie, wizytując m.in. remontowany krążownik „Maksim Gorkij". Natychmiast po powrocie z Leningradu do Moskwy adm. Kuzniecow został wezwany przez Stalina, któremu zreferował sytuację operacyjną we wschodnich akwenach Bałtyku oraz stan i możliwości działania Floty Bałtyckiej. W trakcie rozmowy Stalin poinformował Kuzniecowa, iż uważa położenie Leningradu za wyjątkowo poważne i zdaje sobie sprawę z możliwości załamania się obrony i zajęcia miasta przez przeciwnika. Kuzniecowa niewątpliwie zaskoczył brak optymizmu Stalina, zazwyczaj niezwykle ostrożnego w wypowiadaniu podobnych sądów. Następnie Stalin zażądał, by w razie utraty Leningradu żaden z okrętów Floty Bałtyckiej nie dostał się w ręce Niemców, dodając z naciskiem, iż winni niewykonania tego rozkazu zostaną pociągnięci do surowej odpowiedzialności. Osłupiałemu Kuzniecowowi polecił następnie przygotować odpowiedni telegram do dowódcy Floty Bałtyckiej wiceadm.

W.F.Tribuca z rozkazem opracowania planu unicestwienia floty. Ochłonąwszy Kuzniecow zdał sobie sprawę, iż telegramem tym weźmie na siebie odpowiedzialność za kontrowersyjną decyzję Stalina i odważył się na odmowę podpisania tego rozkazu. Zirytowanemu Stalinowi wytłumaczył się podległością służbową floty dowództwu Frontu Leningradzkiego i koniecznością podparcia tak kontrowersyjnego polecenia odpowiednim autorytetem. Stalin, nadal usiłując odsunąć od siebie odpowiedzialność za rozkaz, nakazał dodatkowo podpisanie go szefowi Sztabu Generalnego marsz. B.M.Szaposznikowowi. Obu oficerom w końcu udało się przekonać Stalina do podpisania telegramu, który wysłano do rady wojennej Frontu Leningradzkiego[9]. Tam z rąk członka rady A.A.Żdanowa otrzymał go dowódca Floty Bałtyckiej wiceadm. Tribuc. O zaskakującej decyzji Naczelnego Dowództwa natychmiast poinformował on szefa sztabu floty kontradm. J.A.Pantieliejewa i zastępcę szefa zarządu politycznego floty komisarza brygadowego Ł.W.Sieriebriennikowa[10]. Szczegółowy „Plan przedsięwzięć z sprawie okrętów i statków na wypadek odwrotu z Leningradu", noszący datę 6 września 1941 r., został opracowany przez zastępcę Ludowego Komisarza Floty Wojennej adm. Isakowa, nadal przebywającego w Leningradzie w charakterze wysłannika Naczelnego Dowództwa[11]. 8 września plan został wstępnie zatwierdzony przez radę wojenną Frontu Leningradzkiego i przesłany do Moskwy. 13 września plan zatwierdził osobiście Stalin, nakazując niezwłoczne przystąpienie do jego realizacji[12]. 14 września adm.Kuzniecow w dyrektywie nr 570/sz zażądał od adm.Isakowa potwierdzenia otrzymania zatwierdzonego przez Naczelne Dowództwo planu, zaznaczając jednocześnie, iż jego realizację można rozpocząć tylko w przypadku wyjątkowego zagrożenia[13].

W międzyczasie 11 września dowódca floty wiceadm.Tribuc wraz z członkami rady wojennej frontu Werbickim i Smirnowem wypłynął do Kronsztadu, gdzie odbyła się narada z udziałem szefa sztabu floty kontradm. J.A.Pantieliejewa, szefa oddziału operacyjnego sztabu floty kapitana 1 rangi G.J.Pilipowskiego oraz szefa tyłów floty gen.mjr. M.I.Moskalenki. Omówiono założenia i szczegóły planu zatopienia floty, opracowując stosowne wytyczne do jego realizacji. Całej operacji nadano klauzulę najwyższej tajności, a wszystkie dokumenty wykonywano jedynie w pojedyńczych egzemplarzach[14].

Plan zakładał, iż w razie konieczności odwrotu z Leningradu, zatopione zostaną wszystkie okręty Floty Bałtyckiej, jak również statki transportowe, barki i kutry floty handlowej. Zniszczenia miały na celu uniemożliwienie Niemcom przejęcia okrętów i statków w stanie pozwalającym na ich eksploatację, jak również uniemożliwienie przeciwnikowi żeglugi w rejonie Kronsztad-Leningrad możliwie na jak najdłuższy czas[15].

Zniszczenie całości floty miało nastąpić równocześnie, jednak rozpatrywano możliwość zatapiania kolejnych grup okrętów w poszczególnych rejonach, w miarę rozwoju sytuacji operacyjnej i wzrostu bezpośredniego zagrożenia zajęciem ich przez przeciwnika. W tym celu akwen Zatoki Fińskiej podzielono na następujące rejony:

* 1 rejon – Kronsztadzki (Kronsztad, port wojenny, Oranienbaum, farwater północny, Kanał Morski do boi peterhofskiej włącznie);

* 2 rejon – Leningradzki Port Handlowy (Kanał Morski od boi peterhofskiej, akwen Stoczni im. A.Żdanowa, Port Handlowy, wyspy: Gutujewska i Kanonierska do ujścia Newy);

* 3 rejon – ujście rzeki Newy (włączając farwater jełagiński, farwater pietrowski, farwater korabelny, Wielką i Małą Newę oraz Wielką, Średnią i Małą Newkę);

* 4 rejon – zakłady stoczniowe (nr 190, 189, 196, 194, 5, 205, 273 i 270)[16].

Rozmieszczenie przygotowanych do zatopienia okrętów w poszczególnych rejonach miało być następujące:

* 1 rejon – pancernik „Oktiabrskaja Rewolucija", krążownik „Kirow", krążownik „Aurora", lidery: „Leningrad" i „Minsk", niszczyciele: „Stieriegusczcij", „Smietliwyj", „Gordyj", „Grozjaszczij", „Surowyj", „Silnyj", „Sławnyj", „Storożewoj", „Stojkij", „Swiriepyj", kanonierka „Krasnoje Znamia", okręty podwodne, okręt ratowniczy „Kommuna", oraz doki remontowe z 2 okrętami podwodnymi;

* 2 rejon – pancernik „Marat", krążownik „Maksim Gorkij", kadłub krążownika „Pietropawłowsk", kadłub krążownika „Czapajew", niszczyciel „Opytnyj", okręt szkolny „Komsomolec", lodołamacz „Jermak", statki handlowe i transportowe oraz – w stoczni im. A.Żdanowa: budowane niszczyciele projektu 30, dozorowce projektu 29, dozorowiec „Tajfun" oraz niszczyciel „Strasznyj" w doku pływającym;

* 3 rejon – kadłub krążownika „Żelezniakow", niszczyciele „Strogij" i „Strojnyj", okręt szkolny „Switiaz", lodołamacz „Mołotow", okręty podwodne, okręty-bazy okrętów podwodnych: „Oka", „Polarnaja Zwiezda", „Smolnyj", „Irtysz" oraz okręty i statki EON[17];

* 4 rejon – kadłub pancernika „Sowietskij Sojuz", kadłub krążownika ciężkiego „Kronsztadt", kadłub krążownika „Czkałow", 2 okręty podwodne w dokach, pochylnie oraz dźwigi.

Ponadto Wielka, Średnia i Mała Newka wraz z wychodzącymi z nich farwaterami miały zostać zagrodzone zatopionymi barkami, wypełnionymi kamieniami i cementem[18]. Rozstawianie okrętów wojennych, statków oraz barek na pozycjach wyznaczonych do zatopienia rozpoczęto natychmiast po przystąpieniu do realizacji planu.

Całością operacji kierował sztab Floty Bałtyckiej, współpracujący ze sztabem Morskiej Obrony Leningradu. Za przebieg operacji odpowiedzialny był osobiście dowódca Floty Bałtyckiej wiceadm. Tribuc. Za przygotowania do zatopienia okrętów, wysadzenia urządzeń stoczniowych oraz zagrodzenie kanałów i farwaterów w poszczególnych rejonach odpowiedzialni byli następujący oficerowie:

* 1 rejon – szef sztabu Floty Bałtyckiej kontradm. J.A.Pantielejew oraz zastępca szefa zarządu politycznego Floty Bałtyckiej komisarz brygadowy Ł.W.Sieriebriennikow;

* 2 rejon – dowódca eskadry kontradm. W.P.Drozd, szef sztabu eskadry kapitan 1 rangi P.A.Jewdokimow, komisarz wojskowy eskadry komisarz brygadowy F.G.Masałow, dowódca EON kapitan 2 rangi Ł.F.Janson, komisarz wojskowy EON komisarz batalionowy G.K.Czepik oraz zastępca Ludowego Komisarza Marynarki Wojennej A.I.Kiriczenko;

* 3 rejon – dowódca Leningradzkiej Bazy Morskiej kontradm. F.I.Czełpanow oraz szef zarządu politycznego Floty Bałtyckiej komisarz dywizyjny W.A.Lebiediew;

* 4 rejon – pomocnik d/s technicznych zarządu budownictwa okrętowego Floty Bałtyckiej kontradm. inżynier A.A.Żukow, szef wydziału technicznego zarządu kapitan 1 rangi inżynier A.A.Jakimow, oficerowie zarządu: kapitan 2 rangi inżynier Kamienskij, inżynier wojskowy 2 rangi Puszkin oraz zastępca Ludowego Komisarza Przemysłu Stoczniowego A.M.Samarin[19].

Wyznaczeni oficerowie kierowali ustawianiem okrętów i statków na pozycjach wyznaczonych do zatopienia, nadzorowali transport, instalowanie i uzbrajanie ładunków wybuchowych. Załogi okrętów miały zejść na ląd, i po sformowaniu z nich batalionów piechoty morskiej, wziąć udział w obronie Leningradu. Na okrętach miały pozostać jedynie dowodzone przez zaufanych oficerów grupy minerskie, oczekujące na sygnał zniszczenia obiektów. W pogotowiu oczekiwało kilkadziesiąt kutrów i motorówek, których zadaniem było zdjęcie grup minerskich z okrętów lub ich wraków.

Zatopienie okrętów i statków miało nastąpić przez wysadzenie kadłuba, otwarcie zaworów dennych lub podpalenie. Na każdym z obiektów przed zatopieniem musiały być zniszczone za pomocą materiałów wybuchowych kotły, maszynownie oraz aparatura sterująca. Okręty znajdujące się na pochylniach lub w dokach miały być wysadzone wraz z urządzeniami stoczniowymi.

Rozkaz zniszczenia floty miał być wydany przez Naczelne Dowództwo na wniosek rady wojennej Frontu Leningradzkiego. Polecenia zatopienia okrętów miały być przekazywane drogą telefoniczną przy użyciu zestawu specjalnych kodów sygnałowych, a następnie zdublowane za pomocą radio, telegrafu i wysłanych łączników. W tym celu opracowano odpowiednią tabelę kodów, obejmującą zarówno sygnały dla całej floty, jak i poszczególnych rejonów:

- sygnały ogólne dla wszystkich rejonów
  - „Dmuchawiec" - otworzyć pakiet Nr ...,
  - „Rezeda" - rozpocząć rozmieszczenie obiektów,
  - „Chryzantema" - rozpocząć zniszczenie i zatopienie obiektów.
- sygnały dla poszczególnych rejonów
  - „Róża" - 1 rejon – rozpocząć zniszczenie i zatopienie obiektów,
  - „Chaber" - 2 rejon – rozpocząć zniszczenie i zatopienie obiektów,
  - „Orchidea" - 3 rejon – rozpocząć zniszczenie i zatopienie obiektów,
  - „Lewkonia" - 4 rejon – rozpocząć zniszczenie i zatopienie obiektów.
- sygnał ogólny dla wszystkich rejonów
  - „Tulipan" - odwołujący zniszczenie obiektów.
- sygnały dla poszczególnych rejonów
  - „Lilak" - 1 rejon – odwołujący zniszczenie obiektów,
  - „Niezapominajka"- 2 rejon – odwołujący zniszczenie obiektów,
  - „Fiołek" - 3 rejon – odwołujący zniszczenie obiektów,
  - „Mak" - 4 rejon – odwołujący zniszczenie obiektów[20].

Tak skonstruowany zestaw kodów sygnałowych miał zapewnić, zdaniem jego autorów, możliwość sprawnego kierowania zatopieniem floty, jak również miał stanowić swoisty system bezpieczeństwa, zapobiegający omyłkowemu lub przedwczesnemu zniszczeniu okrętów. O tym, jak niedoskonałe to było rozwiązanie, dowództwo Floty Bałtyckiej miało się przekonać już w przeciągu kilku dni.

20 września 1941 r. szef wydziału politycznego sztabu Floty Bałtyckiej komisarz dywizyjny W.A.Lebiediew zameldował nowemu dowódcy Frontu Leningradzkiego gen. armii G.K.Żukowowi o zaistniałych niedociągnięciach w przygotowaniach do zniszczenia okrętów floty. Liebiediew zwracał uwagę przede wszystkim na niedoskonałość systemu sygnalizacji, grożącą nieporozumieniami w operacji. Okazało się, iż w dniu 18 września flota otrzymała sygnał „Tulipan" nakazujący, według tabeli kodów sygnałowych, przerwanie przygotowań do unicestwienia okrętów. Prace tymczasowo przerwano, usiłując wyjaśnić przyczyny emisji takiego sygnału. Dochodzenie wyjaśniło, iż sygnał „Tulipan" przekazano poprzez linie łączności artylerii, a oznaczał on, zgodnie z tabelami artyleryjskich kodów sygnałowych, przerwanie ognia[21]. Zachodziła więc konieczność zmiany kodów sygnałowych, a także zaostrzenie kontroli nad systemem łączności floty.

Komisarz Lebiediew w swym raporcie poruszał jeszcze jeden istotny problem, jakim były niebezpieczne nastroje oraz gwałtowny spadek morale i dyscypliny wśród oficerów i marynarzy. Dotyczyło to nie tylko załóg przygotowywanych do zatopienia okrętów, ale także oficerów sztabowych, w tym również z dowództwa floty. W raporcie cytowano wypowiedź kapitana 2 rangi Masłowa, który przebywając na niszczycielu „Strogij" miał się w dniu 19 września wyrazić następującymi słowy: „Tak, przywożę wam niedobre wiadomości. Leningrad przygotowują do oddania faszyzmowi. Na niszczycielach 'Strogij' i 'Strojnyj' już położono krzyżyk. Wyższe dowództwo ucieka z Leningradu samolotami". Według Lebiediewa inny z oficerów, kapitan 2 rangi Zozulia pełniący funkcję zastępcy szefa sztabu Floty Bałtyckiej, wyraził się pesymistycznie: „Nie ma na co czekać, pozostaje strzelić sobie w łeb"[22]. Słowa te znakomicie ilustrowały stan ducha marynarzy, wśród których na bazie ogólnej niepewności i przygnębienia, zaczęły się szerzyć nastroje panikarskie. Reakcja dowódcy frontu gen.armii G.K. Żukowa była łatwa do przewidzenia – adm. Isakow otrzymał rozkaz „natychmiastowego wyśledzenia i aresztowania prowokatorów"[23]. Rada wojenna floty otrzymała rozkaz przeprowadzenia śledztwa i przykładnego ukarania winnych rozpowszechniania demoralizujących pogłosek i opinii.

Problem utrzymania należytej karności załóg okrętów był o tyle poważny, iż od samego początku wojny we Flocie Bałtyckiej pojawiały się liczne przypadki upadku

morale, dezercji i tchórzostwa. Już 9 lipca 1941 r. adm. Kuzniecow w dyrektywie Nr 316/sz, skierowanej do rady wojennej Floty Bałtyckiej, dowódcy bazy w Kronsztadzie i dowódcy Morskiej Obrony Leningradu, zwracał uwagę na niebezpieczne zachowania marynarzy i oficerów floty. Wymieniał przypadki samowolnych „ewakuacji" z frontu i strefy przyfrontowej pojedynczych oficerów i całych grup marynarzy, którzy po przyjeździe do Leningradu rozpowszechniali pesymistyczne, wręcz panikarskie wiadomości. Liczni oficerowie przebierali się przy tym w mundury szeregowych marynarzy, niszcząc swe osobiste dokumenty[24]. 14 lipca 1941 r. adm. Kuzniecow skierował do dowódców flot i flotylli, a w szczególności do dowodzącego Morską Obroną Leningradu kontradm. F.I.Czełpanowa dyrektywę Nr 335/sz nakazującą natychmiastowe zaostrzenie dyscypliny. Wskazywał na mnożące się przypadki upadku autorytetu oficerów, którzy przestawali zwracać należytą uwagę na utrzymanie dyscypliny, dopuszczając do familizacji stosunków z marynarzami. Informował również o wzrastającej liczbie przypadków dezercji oficerów, porzucających podległe im oddziały i uciekających w panice na tyły[25]. Wprowadzone ostre środki dyscyplinarne umożliwiły podniesienie karności i stopniowe polepszenie nastrojów i morale. Jednak w takiej sytuacji, wobec rysującej się wizji samozniszczenia floty, mogło na przygotowywanych do zatopienia okrętach łatwo dojść do wybuchu paniki, niesubordynacji, a nawet buntów.

Założenia planu zniszczenia floty zostały zrealizowane tylko częściowo. Nie doszło do precyzyjnego rozstawienia wszystkich okrętów na planowanych miejscach zatopienia. Niektóre jednostki brały udział w ostrzale celów lądowych, wspierając własne oddziały walczące w rejonie Peterhofu. Okręty te przez cały czas manewrowały na Kanale Morskim pomiędzy Kronsztadem a Leningradem, część jednostek zajęła pozycje ogniowe na Newie. W pojedynkach artyleryjskich okręty sowieckie odniosły szereg sukcesów, jednak ostrzał artyleryjski i bombardowania lotnicze przeciwnika spowodowały dalsze straty – zatonęły lub osiadły na dnie m.in. pancernik „Marat", krążownik „Pietropawłowsk", lider „Minsk" i niszczyciel „Stieriegusczij", zaś wiele okrętów zostało uszkodzonych. Do końca 1941 roku straty powiększyły się o kolejnych kilkanaście jednostek[26].

Dziś można więc stwierdzić, iż sowiecka Flota Bałtycka w 1941 r. doznała nie tylko porażki, ale wręcz pogromu. Została zablokowana w Zatoce Fińskiej, gdzie w całkowitej defensywie oczekiwała na rozkaz samozatopienia. Straty przewyższały ilość jednostek budowanych w stoczniach, w dodatku prace stoczniowe w warunkach ostrzału artyleryjskiego i bombardowań lotniczych postępowały niezwykle powoli. Zrezygnowano z kontynuacji prac przy pancerniku „Sowietskij Sojuz" oraz krążowniku ciężkim „Kronsztadt", których kadłuby posłużyły za źródło stali pancernej dla rozbudowywanego wokół Leningradu systemu fortyfikacji. Prace kontynuowano stopniowo jedynie przy jednostkach lekkich, poniżej klasy niszczyciela, mających w przyszłości przejąć na siebie główny ciężar działań na Bałtyku. Kolejnym utrudnieniem były szybko zamarzające wody Zatoki Fińskiej, które uniemożliwiały swobodny ruch, szczególnie mniejszych jednostek morskich. Pomoc coraz bardziej wysłużonych lodołamaczy i trałowców mogła ograniczyć się jedynie do obszaru pomiędzy Leningradem a Kronsztadem. Natomiast wobec niemieckich działań minowych na wschodnich akwenach zatoki, wysyłanie okrętów na nieprzetrałowane z min wody kończyło się znacznymi stratami. Dotyczyło to przede wszystkim jedynej broni zdolnej jeszcze do działań ofensywnych – okrętów podwodnych, których rosnące straty doprowadziły wkrótce do zaprzestania wysyłania ich na patrole bojowe. Jedynym środkiem ratunku dla floty była więc kontrofensywa własnych wojsk lądowych, która doprowadziłaby do odblokowania Leningradu i odbicia zajętych przez przeciwnika południowych wybrzeży Zatoki Fińskiej. Jednak wobec bezpośredniego zagrożenia Moskwy sowieckie Naczelne Dowództwo nie mogło wesprzeć Frontu Leningradzkiego jakimikolwiek poważniejszymi posiłkami, co skazywało front na prowadzenie działań zaczepnych własnymi siłami.

Działania ofensywne rozpoczęte w październiku 1941 r. przez sowiecką 42 Armię nacierającą z przedpola Leningradu i 8 Armię, uderzającą z rejonu Peterhofu nie doprowadziły do odblokowania przyczółka oranienbaumskiego, odsunęły jednak bezpośrednie zagrożenie od samego Leningradu. Zasadnicze znaczenie miało natarcie 54 Armii, której udało się odepchnąć wojska niemieckie z rejonu Wołchowa i tym samym utrzymać południowy brzeg jeziora Ładoga. Całkowite odsunięcie zagrożenia dla Leningradu nastąpiło dopiero ponad rok później, kiedy wspólne natarcie sowieckiej 8 Armii z rejonu Wołchowa i 67 Armii z rejonu Szlisselburga doprowadziło w styczniu 1943 r. do przerwania lądowej blokady miasta. Sprawa zniszczenia Floty Bałtyckiej stała się tym samym nieaktualna i ostatecznie zrezygnowano z minowania okrętów.

Miało wtedy miejsce dość charakterystyczne zdarzenie. Do Naczelnego dowództwa wpłynął telegraficzny donos, którego autor oskarżył dowodzącego Flotą Bałtycką wiceadm. Tribuca o panikarstwo i przedwczesne przygotowanie okrętów floty do zatopienia[27]. Wobec wieloznacznego zachowania Stalina, dowództwu Floty Bałtyckiej, jak również kierownictwu Ludowego Komisariatu Marynarki Wojennej groziło postawienie przed trybunałem wojskowym. Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, czy Stalin nie pamiętał lub nie chciał pamiętać o swoim udziale w podjęciu decyzji o przygotowaniu floty do zatopienia, jak również, czy planowana była wówczas czystka wśród kadry admiralskiej. Kryzys udało się zażegnać adm. Kuzniecowowi, który w porę otrzymał kopię donosu na wiceadm. Tribuca. Kuzniecow odnalazł i przedstawił Stalinowi kopię telegramu do dowództwa floty z jego własnoręcznym podpisem[28], dzięki czemu nie doszło do śledztwa i ewentualnych aresztowań.

Dziś wiadomo, że o planowanym zniszczeniu Floty Bałtyckiej poinformowany był również rząd brytyjski. W memorandum, wręczonym 12 września 1941 r. Stalinowi przez ambasadora Wielkiej Brytanii w Moskwie Stafforda Crippsa, znalazła się propozycja ewentualnej rekompensaty, jaką rząd brytyjski miałby po wojnie wypłacić ZSRS w zamian za zniszczone jednostki morskie w Leningradzie. 15 września w telegramie do premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla Stalin podziękował za tą niezwykłą propozycję, wskazując jednak, że odpowiedzialność za ewentualne zniszczenie Floty Bałtyckiej spadnie na Niemców, w związku z czym to właśnie oni powinni wynagrodzić po wojnie wszelkie szkody. 17 września w depeszy do Stalina Churchill całkowicie poparł punkt widzenia strony sowieckiej, sygnalizując gotowość przekazania flocie sowieckiej zdobycznych włoskich i niemieckich jednostek morskich, jako rekompensatę spodziewanych strat[29]. Niewątpliwie Anglikom zależało na zniszczeniu okrętów Floty Bałtyckiej w przypadku opuszczenia Leningradu. Po zdobyciu miasta i trwałym odepchnięciu wojsk sowieckich od wybrzeża Bałtyku, zdobyte przez Niemców okręty mogły zostać użyte przeciw żegludze Wielkiej Brytanii.

Z dzisiejszej perspektywy decyzja o przygotowaniu Floty Bałtyckiej do samozatopienia wydaje się słuszna. Wskazuje ona, iż we wrześniu 1941 r. sowieckie Naczelne Dowództwo realnie oceniało szanse obrony Leningradu, kierując się raczej ostrożnością i pragmatyzmem, a nie jak we wcześniejszych tygodniach – chaotycznym pośpiechem i emocjami. Poważniejsze błędy można dostrzec za to w działaniach podjętych przez dowództwo Floty Bałtyckiej. Nie otrząsnąwszy się w porę z szoku po tragicznej ewakuacji Tallina, przeoczyło ostatni dogodny moment do przebazowania sił lekkich floty, w tym wszystkich sprawnych okrętów podwodnych, przez Newę na jeziora Ładoga i Oniega. W razie upadku Leningradu możliwe byłoby wtedy przeprowadzenie uratowanych okrętów na Morze Białe, gdzie weszłyby w skład Floty Północnej. W Kronsztadzie i Leningradzie zniszczono by jedynie duże i średnie jednostki, których gabaryty uniemożliwiałyby poruszanie się Kanałem Białomorskim. Decyzja skoncentrowania i pozostawienia całej floty w Zatoce Fińskiej skazywała więc, w przypadku odwrotu z Leningradu, wszystkie okręty na zatopienie. Ewakuacja przez Newę nie była bowiem możliwa już po 8 września, kiedy Niemcy opanowali jej południowy brzeg na odcinku Kołpino-Szlisselburg. Pozytywnie należy natomiast ocenić działania jednostek floty już po rozpoczęciu przygotowań do jej samozatopienia. Dowództwo floty swobodnie przesuwało okręty w rejony wzmożonych działań zaczepnych przeciwnika, wspierając w ten sposób własne wojska lądowe ogniem artylerii okrętowej. W kilku przypadkach to właśnie ostrzał prowadzony przez okręty zadecydował o załamaniu się natarcia przeciwnika i trwałości własnej obrony. Stąd też wniosek, że nawet osaczona i oczekująca na samozatopienie flota była w stanie wnieść swój wkład w obronę Leningradu.

Przypisy:

[1] N. Kuznecov, *Kursom k pobede*, Moskva 1975, s. 128-130.

[2] V. Tribuc, *Baltijcy sražajutsja*, Moskva 1985, s. 90-91.

[3] J. Panteleev, *Morskoj front*, Moskva 1965, s. 203-205.

[4] *Plan meroprijatij na slučaj otchoda iz Leningrada po korabljam i sudam, 6 sentjabrja 1941 g.*, [w:] *Skrytaja pravda vojny*: 1941 god. Neizvestnye dokumenty, Moskva 1992.

[5] *Doklad zamestitelja Narodnogo komissara VMF Verchovnomu glavkomandujuščemu plana meroprijatij na slučaj vynuždennogo otchoda iz Leningrada (po korabljam i sudam)*, [w:] Stavka VGK. Dokumenty i materialy 1941 god, Russkij Archiv, t.16, Moskva 1996.

[6] V. Ačkov, B. Vajner, *Krasnoznamennyj Baltijskij Flot v Velikoj Otečestvennoj vojne*, Moskva 1957, s. 46-51.

[7] Okrętowi temu, ze względu na jego wyporność (standardowa 32.870 t) oraz ubrojenie (9x305 mm), odpowiadał raczej termin „krążownik liniowy", jednak w tekscie użyto tłumaczenia sowieckiego terminu „tjażołyj kriejsier" – „krążownik ciężki".

[8] V. Ačkov, B. Vajner, op. cit., s. 70-75; *Grif sekretnosti snjat. Poteri vooruženych sil SSSR v vojnach, boevych dejstvijach i voennych konfliktach. Statističeskoe issledovanie*, Moskva 1993, s. 375-384.

[9] N. Kuznecov, op. cit., s.128-130.

[10] V. Tribuc, op. cit., s. 91, J. Panteleev, op. cit., s. 203-204.

[11] Plan meroprijatij na slučaj otchoda..., s. 140-143.

[12] *Oborona Leningrada – dokumenty i komenntarii*, [w:] „Voenno-Istoričeskij Žurnal", 1992, nr 6-7, s. 12; Doklad zamestitelja Narodnogo komissara VMF..., s. 378.

[13] Direktiva tov. Isakovu I. S. (lično) o plane dejstvij v slučae ostavlenija Leningrada, 14 sentjabrja 1941 g., [w:] *Prikazy i direktivy Narodnogo komissara VMF v gody Velikoj Otečestvennoj vojny 1941-1945*, Russkij Archiv, t. 21, Moskva 1996, s. 56.

[14] V. Tribuc, op. cit., s. 91.

[15] Plan meroprijatij na slučaj otchoda..., s. 140-141; *Doklad zamestitelja Narodnogo komissara VMF...*, s. 378.

[16] Plan meroprijatij na slučaj otchoda..., s. 141; *Doklad zamestitelja Narodnogo komissara VMF...*, s. 378-379.

[17] EON – Ekspedicija Osobogo Nazanaczenija (Ekspedycja Specjalnego Przeznaczenia)s oznaczenie kodowe zakładów budowy okrętów podwodnych dla Floty Północnej.

[18] *Plan meroprijatij na slučaj otchoda...*, s. 143-144.

[19] Ibidem, s. 142; *Doklad zamestitelja Narodnogo komissara VMF...*, s. 379.

[20] *Plan meroprijatij na slučaj otchoda...*, s. 144-145.

[21] *Donesenie načalnika 3-go otdela Krasnoznamennogo Baltijskogo Flota o chode podgotovki operacii po uničtoženiju boevych korablej i sudov, 20 sentjabrja 1941 g.*, [w:] Skrytaja pravda vojny..., s. 145.

[22] Ibidem, s. 146.

[23] Ibidem.

[24] Direktiva voennomu sovetu KBF, komandujuščemu Kronštadtskoj VMB, komandujuščemu silami Morskoj Oborony Leningrada i Ozernogo Rajona o neobchodimosti usilenija borby s faktami projavlenij trusosti i panikerstva, 9 ijulja 1941 g., [w:] *Prikazy i direktivy Narodnogo komissara VMF...*, s. 29.

[25] Direktiva voennym sovetam flotov i flotilij, komandujuščemu Morskoj Oboronoj Leningrada tov. Čelpanovu F.I. o neobchodimosti ukrepelenija discipliny i organizacii služby, 14 ijulja 1941 g., [w:] *Prikazy i direktivy Narodnogo Komissara VMF...*, s. 33.

[26] I. Kozlov, A. Šlomin, *Krasnoznemennyj Baltijskij Flot v geroičeskoj oborone Leningrada*, Leningrad 1976, s. 234-239.

[27] N. Kuznecov, op. cit., s.130.

[28] Ibidem.

[29] *Korespondencja przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR z prezydentem Stanów Zjednoczonych i premierem Wielkiej Brytanii w okresie Wielkiej Wojny Narodowej 1941-1945*, t.1, Warszawa 1960, s. 21; W. Churchill, Druga wojna światowa, t. III., ks. 2, Gdańsk 1995, s.84-86.

REGIONALIA

Halina KARWOWSKA

Ukryte ślady gródeckiego zamku

Góra Zamkowa w Gródku to niewielkie kemowe wyniesienie w zakolu rzeki Supraśl średnicy około 200 m. Dziś porośnięta trawą, częściowo zabudowana (w latach 50. XX wieku) w niczym nie przypomina tego ongiś tak tętniącego życiem miejsca.

To tu, na przełomie XV i XVI wieku Aleksander Chodkiewicz rozpoczął budowę zamku. To stąd w 1500 roku, po dwóch latach pobytu w gwarnym i ruchliwym miejscu wyruszyli na Suchy Hrud mnisi dając początek późniejszej perle prawosławia – Ławrze Supraskiej.[1]

Jak wyglądał ów zamek wiemy niewiele. Obronność zapewniała mu od strony południowej i zachodniej fosa (zasypana, jej ślady są jednak czytelne w niektórych partiach do dziś), od wschodniej i północnej rzeka Supraśl.[2]

Znacznie zniwelowane i przekształcone wschodnie, południowo-wschodnie i centralne partie obiektu utrudniają rekonstrukcję wielkości założenia.

Podstawową trudnością jest jednak brak źródeł historycznych dotyczących zamku. Jedyny zachowany opis znajdujemy w „Inwentarzu majętności Gródka z folwarkami Mieleszki i Nowa Wola" z 1677 roku.[3]

Zabudowa zamkowa w drugiej połowie XVII wieku składała się z dwóch części. W skład pierwszej – reprezentacyjnej wchodziły trzy budynki mieszkalne (w tym jeden „opadły restawracji potrzebuje"), cerkiew oraz skarbiec. W skład drugiej – gospodarczej: browar, słodownia, trzy chlewy, stajnia oraz „wedle tej stajni gumno do złożenia zboża i młócenia, dranicami kryte". Opis wymienia także „świronek niewielki do sypania zboża, ze drzwiami na biegunach". Jedynym obiektem murowanym był podpiwniczony skarbiec zlokalizowany„za cerkwią". W obrębie wałów znajdowało się też kilka ogrodów m.in. włoski i warzywny. Całość zabudowy otaczał wał ziemny zwieńczony drewnianą palisadą („Koło tego zamku wał niebardzo wysoki dokoła. Na którym dokoła dylem ogrodzono. Woda dokoła koło niego idzie.").

Szczyt świetności zamku przypadał na czasy Aleksandra i Grzegorza Chodkiewiczów. Zapewne więc tylko niektóre budynki wymienione w opisie inwentarzowym z 1677 r. można odnieść do tego okresu.

Spadkobiercy Grzegorza nie przejawiali większego zainteresowania zamkiem jako rezydencją. Ów brak zainteresowania, a co się z tym wiąże częste zmiany właścicieli miały istotny wpływ na stan degradacji obiektu. Zamek zaczął podupadać.

W 1957 roku Góra Zamkowa została wpisana do Rejestru Zbytków woj. białostockiego i weszła jako jeden z elementów układu urbanistycznego w strefę ochrony konserwatorskiej Gródka.[4]

Pierwsze archeologiczne badania wykopaliskowe na jej terenie przeprowadzono w latach 1983-84. Wznowiono je jesienią 1994 r. i kontynuowano do roku 1998. pracami ziemnymi objęto głównie część zachodnią, centralną i południową stanowiska.

W wykopie zlokalizowanym w północnej części, obejmującym najlepiej zachowany fragment wału obronnego odsłonięto belkę drewnianą ze śladami obróbki leżącą równolegle do jego przebiegu. Od strony rzeki podtrzymywał ją skośnie wbity słup o czworokątnym przekroju i zaostrzonym końcu. Oba elementy drewniane to fragmenty konstrukcji zabezpieczającej zewnętrzną stronę wału przed rozsuwaniem się ziemi.

Prace eksploracyjne w centralnej części obiektu doprowadziły do odsłonięcia dwóch grobów. Pierwszy, to grób dziecka w wieku Infans II (18-22 miesiące). Pochówek zorientowany na osi północ-południe z nieznacznym odchyleniem na zachód. Wzdłuż osi szkieletu odkryto fragmenty drewna będącego pozostałością trumny. Do jednego z nich przywierał fragment tkaniny w kolorze zielonym.

Drugi to pochówek w krypcie. Jej górna część została zniszczona zapewne podczas prac niwelacyjnych prowadzonych w tej części stanowiska w okresie międzywojennym. Znajdował się w niej pochówek w trumnie drewnianej. Szkielet w układzie anatomicznym na osi wschód-zachód z głową na zachód. badania antropologiczne[5] wykazały, iż jest to szkielet kobiety w wieku maturus. budowa miednicy wskazuje na przebyty poród (porody?). prawdopodobna wysokość ciała (wyliczona na podstawie nomogramu Lee-Persona) – 156 cm pod kośćmi czaszki znaleziono fragmenty tkaniny jedwabnej zdobionej koronką klockową. Jest ona importem z terenów Francji lub Włoch. Wstępne opracowanie pozwala ustalić jej chronologię na koniec XVI – początek XVII wieku. Oba groby znajdowały się zapewne w pobliżu cerkwi (wzmiankowanej w inwentarzu z 1677 r., a wystawionej niewątpliwie przez Aleksandra Chodkiewicza).

Wynikiem prac ziemnych prowadzonych w zachodniej części stanowiska jest odkrycie zarysów budynku o orientacji narożników wg stron świata. Ten drewniany dom w przyziemiu zbudowany był na planie prostokąta o orientacyjnych wymiarach 34 m x 11 m (czyli miał w przyziemiu 374 mkw. powierzchni). Suma danych zebranych w trakcie eksploatacji wskazuje, iż posiadał on dach kryty dachówką zaś okna szklone szkłem taflowym oprawianym w ołowiane teowniki. Obecność okien poświadczają również żelazne okucia i zawiasy.

W zachodniej części omawianego budynku odkryto fragment (część północno-zachodnia zniszczona przez wkop współczesny) konstrukcji ceglanej, będącej podstawą pieca. Jej czytelne wymiary wynosiły 3,20 m x 1,10 m. Zewnętrzny zarys konstrukcji tworzyły cegły ułożone jedna na drugiej licami do góry. Natomiast rząd cegieł ułożonych wozówkami do góry dzielił podstawę pieca na dwie komory. Od wewnątrz wylepiała je glina grubości 0,5-0,7 cm nosząca ślady mocnego okopcenia.

W trakcie prac eksploracyjnych prowadzonych głównie w obrębie zarysów ścian tak zewnętrznych jak i wewnętrznych natrafiono na stosunkowo dużą liczbę przedmiotów żelaznych. Ich sposób wykonania oraz kształt świadczą o tym, że wykorzystywano je do mocowania tkanin na drewnianych ścianach. Zapewne więc ściany pomieszczeń obijano materią. Omawiany budynek spłonął około połowy XVIII wieku.

Brak danych o nim w inwentarzu z 1677 roku pozwala przypuszczać, iż czas jego funkcjonowania to okres między latami 80. XVII w. a połową wieku XVIII. Być może chronologia ta zostanie nieco skorygowana po dokładnym opracowaniu materiału zabytkowego. Na pewno jednak określenie funkcji budynku w całości należy podporządkować wynikom tychże analiz. Ogląd materiału ceramicznego pozwala zaliczyć go wyłącznie do tzw. „ceramiki stołowej". Można więc przypuszczać, iż dom nie posiadał części kuchennej. Pożywienie przygotowywano w małym budynku zlokalizowanym na południowy zachód od omawianego powyżej.

Z obiektów odkrytych w południowej części stanowiska na uwagę zasługują relikty kolejnego budynku drewnianego. Efektem archeologicznych prac wykopaliskowych było odsłonięcie podpiwniczonego pomieszczenia o wymiarach 5 m x 6 m. Ogrzewano je piecem wykonanym z kafli garnkowych. Zapewne na skutek pożaru rumowisko owego pieca częściowo wypełniło piwniczkę. Analiza pozyskanego materiału zabytkowego pozwala datować dom na wiek XVI. Oznacza to, iż był on elementem zabudowy zamku w czasach Chodkiewiczowskich.

Zaprezentowane pokrótce wyniki archeologicznych badań wykopaliskowych[6] to zapewne tylko część „ukrytych śladów gródeckiego zamku". Ich zestawienie z dostępnymi źródłami historycznymi, poddane dogłębnej analizie, będzie istotnym przyczynkiem do poznania etapów zabudowy Góry Zamkowej. A tym samym, być może da nam odpowiedź na pytanie, które z budynków wymienionych w „Inwentarzu ..." pamiętają czasy Aleksandra i Grzegorza Chodkiewiczów.

Przypisy:

1 *Gródek. Przewodnik turystyczno-informacyjny po gminie*, Gródek 1997, s. 3.

2 Karwowska H., *Wstępne wyniki archeologicznych badań wykopaliskowych Góry Zamkowej w Gródku*, „Biuletyn Konserwatorski", Białystok 1996, s. 114.

3 AGAD, Archiwum Radziwiłłów, Dz. XXV, syg. 1085.

4 wpisana do Rejestru pismem z dnia 28.04.1973 r. (l.dz. 640/1-13/73, nr rej. 184/1-1/A.

5 Piasecki K., *Analiza antropologiczna szkieletu z gródka, st. 1, woj. białostockie*, s. 1-3 (maszynopis w Archiwum KZA).

6 Efektem archeologicznych badań wykopaliskowych jest również zgromadzenie dużego zbioru zabytków ruchomych będących obrazem życia gródeckiego zamku, jednak ze względu na obszerność tematu ich omówienie zostanie przedstawione w innym opracowaniu.

Jan TRYNKOWSKI

Absolwenci gimnazjum białostockiego (4)

Wincenty Tedwen - *a czyjeż to imię rozlega się sławą...*

W jednym z poprzednich zeszytów „Gryfity" mówiliśmy o Michale Rukiewiczu, który w 1812 r., gdy Wielka Armia Napoleona w swym marszu na Rosję wkroczyła na teren Białostocczyzny, zaciągnął się (wraz z licznymi kolegami z gimnazjum) do 3 (litewskiego) pułku szwoleżerow gwardii, by wziąć udział w tym niemal ostatnim akcie epopei napoleońskiej. Ale przecież już wcześniej młodzież z naszych ziem (jak zresztą i z całej Polski) zbiegała się pod sztandary różnych formacji walczących pod wodzą „małego kaprala". Szczególne ożywienie związane było z momentem utworzenia Księstwa Warszawskiego. Franciszek Biłgorajski uczeń gimnazjum białostockiego w czasach pruskich, notując ze zgorszeniem fakt, iż byli w szkole tacy młodzi ludzie którzy zaciągali się do wojska pruskiego czy rosyjskiego, przytoczył w swych wspomnieniach, słowa Franciszka Narkiewicza znanego z patriotycznej postawy profesora gimnazjum, który tak to postępowanie ocenił: *„zbłaźnili się wchodząc w szeregi tych nacji, co ojczyznę rozszarpały i hańbę nam wszystkim wyrządzili. Jeżeli nie chcieli uczyć się i czekać, mogli iść w służbę zaszczytną i dostać się do legionów, znaleźliby się tacy, coby im drogę wskazali i opatrzyli"*. Biłgorajski do tych słów Narkiewicza, dodał od siebie: *„jakoż istotnie byli w Białostockiem jenerał Karwowski i pułkownik Downarowicz, co nie jednemu ułatwili podróż i fundusz dali, a rząd pruski ani wiedział, ani śledził, gdzie się kto wyniósł."* Była więc i odpowiednia atmosfera i kanały przerzutu i środki materialne (rola gen. Andrzeja Karwowskiego i płk. Andrzeja Downarowicza zasługuje na szczegółowe zbadanie). Trudno tu pisać o wszystkim i o wszystkich - ograniczmy się do sprawy udziału białostocczan w jednym z najsłynniejszych epizodów w dziejach polskiej wojskowości - jakim niewątpliwie jest szarża na przełęcz Somosierry. Szarża ta (30 XI 1808) zajęła trwałe miejsce w naszej narodowej tradycji i legendzie - zainspirowała poetów, pisarzy, malarzy i filmowców. Była przedmiotem wielu studiów historycznych, z których szczególnie gorąco polecamy czytelnikom „Gryfity", prace (niedawno niestety zmarłego) Roberta Bieleckiego.

W szarży, o której mowa, wzięło udział wielu białostocczan - urodzeni w Białymstoku Jan Sierakowski, Michał Sudnik, Józef Tymiński - Wincenty Moniuszko z Wrocimia, Stanisław Wojtkowski z Zawad, Grzegorz Woronkiewicz z Wasilkowa, Jan Żarczyński z Zabłudowa, urodzony w Wiskitkach Jan Babicki, który za swą dzielną postawę w tej bitwie otrzymał wysokie odznaczenie - Legię Honorową. Było wielu innych - nie potrafimy jednak wskazać, którzy z nich byli uczniami czy absolwentami gimnazjum białostockiego. W sprawie tej jest jednak jeden wyjątek, jeden człowiek, o którym wiemy, że brał udział w wspomnianej szarży i że uczył się w gimnazjum białostockim - był nim Wincenty Tedwen. Pochodził on z rodziny osiadłej od dość dawna na Podlasiu - jeden z Tedwenów (nazwisko to pochodzenia niemieckiego, poprawnie pisze się - Tödwen), Jan - był w latach 1752 -1778 starostą bielskim. Zamieszkiwali Tedwenowie w Jaświłkach, a zwłaszcza w Dzięciołowie, wsiach należących do parafii Dolistowskiej (gm. Jaświły).

Wincenty urodził się w 1788 r. w rodzinnym Dzięciołowie jako syn Franciszka i Magdaleny z Korowskich. Uczył się początkowo w szkole tykocińskiej, o czym wspomina Biłgorajski: *„na jednej stancji ze mną zamieszczonym był mój brat cioteczny Wincenty Todwen, o kilka lat starszy ode mnie. Temu łacina przychodziła z trudnością, a kiedy Bielecki* (starszy uczeń mający pod swą opieką młodzież mieszkającą na jednej stancji) *brał się do dyscypliny, ja wszelkimi środkami błagałem, płakałem, żeby go nie karał i nieraz uprosiłem, że nie był karanym. Stąd między nami oprócz związków krwi, trwała dozgonna przyjaźń i koleżeństwo, tak w wojsku, jak i w życiu familijnym i obywatelskim"*. Następnie jak to wynika z pamiętnika Biłgorajskiego, trafił nasz Toedwen do Gimnazjum w Białymstoku. Nic nie wiemy o tym jak się uczył, podejrzewać jednak można, że nie najlepiej (oj, ta łacina!). Opuścił zapewne szkołę, przedarł się przez kordon i 7 września 1807 zaciągnął się do formującego się w Warszawie 1 pułku szwoleżerów gwardii, w którym już 1 grudnia tegoż roku zostaje wachmistrzem najbardziej zasłużonej i najtragiczniej doświadczonej w szarży na Somosierrę 3 kompanii. O jego życiu, choć nie znamy zbyt wielu szczegółów, można by opowiadać wiele. Był napewno dobrym żołnierzem - stale awansując doszedł do stopnia kapitana (w 1812). Na przestrzeni lat 1808 - 1814 odbył ze swym pułkiem wszystkie kampanie, uczestnicząc w bitwach pod Wagram, Możajskiem, nad Berezyną, pod Lützen, Budziszynem, Dreznem, Lipskiem, Hanau, Brienne, Montmirail, Laon, Chateau - Thierry, Arcis - sur - Aube.... Ci, którzy interesują się dziejami epopei napoleońskiej wiedzą, co te nazwy znaczą.... Przeżył i słodycz zwycięstwa i gorycz klęski. Dzielność jego znalazła nagrodę: w 1811 r otrzymał Legię Honorową, a w 1814 r., w ostatnim już akcie napoleońskiej epopei otrzymał krzyż oficerski Legii Honorowej. Najważniejszą jednak bitwą jego życia była szarża na przełęcz Somosierry.

W 45 lat po szarży na przełęcz Somosierry, w grudniu 1853 r. Wincenty Tedwen będąc w Warszawie *„opowiadał ciekawe szczegóły dotyczące tej bitwy, które jeden z obecnych skreślił do swych notat i nawet odczytał je w pewnym literackim gronie"* W 1855 r. krakowski „Czas" (nr 88 s. 1 -2), skorzystał z tych notatek, drukując ich obszerne wyjątki:

Było to dnia 30 listopada 1808 roku. Poranek był mglisty, a nawet dość chłodny; stanęliśmy pod załomem góry Somosierra z naszym trzecim szwadronem pułku szwoleżerów gwardii Cesarza, gdyż dnia tego otrzymaliśmy przeznaczenie na służbę przy jego osobie, jako obznajmieni już z tego rodzajem obowiązków, zwłaszcza gdyśmy ją pełnili przy Napoleonie, w czasie pobytu jego w Bajonnie.

Kule hiszpańskie już świstały w powietrzu, już i armaty wciąż grały, ale strzały do nas nie dochodziły, bo nas wyłom góry osłaniał. Stałem przy wachmistrzu Kiełkiewiczu, sam będąc także wachmistrzem i gawędziliśmy o naszych wypadkach w Hiszpanii.

Jedyną zawadą na drodze do Madrytu, był wąwóz pod Somosierrą. Wąwóz ten od miejsca gdzie stały wojska francuskie, ciągnął się w górę przeszło na pół wiorsty. Na górze ustawił nieprzyjaciel kilkanaście armat, a po kilka tychże, miejscami na drodze wąwozu. Po jednej stronie tegoż wąwozu wznosiła się góra, ale tak stroma i prostopadła, że niepodobna było wdrapać się na nią; po drugiej, również góra poprzedzona z boku niejaką płaszczyzną i nieco już pochylsza. Po obu zaś stronach na szczytach tych gór i na końcu wąwozu, ze wzgórza którego szedł ogień działowy, rozłożyło się przeszło 13.000 Hiszpanów, czyniąc przystęp niepodobnym.

Na próżno Cesarz kusił się o zdobycie tej fatalnej zapory, na próżno nieustraszona piechota francuska pod okiem swego wielkiego wodza starała się przebić przez wąwóz. Kto wie nawet, czy jeden dzień spóźniony, w którymby Hiszpanie zdążyli oszańcować to przejście, nie byłby je uczynił niezdobytym na zawsze; ale szczęście chciało, żeśmy ich wyprzedzili, a przygotowane do obrony deski, koły i wańtuchy, które użyte umiejętnie w wąwozie stałyby się dla nas murem, leżały bezużytecznie po bokach tegoż, pod górą.

Kiedy tak wszelkie usiłowania Francuzów o zdobycie tej pozycji, pełzły na niczym, Napoleon przyzywa marszałka Berthier i wydaje mu rozkaz, aby dla wzięcia armat, na wzgórza wysłał będący na służbie przy Cesarzu szwadron polskich ułanów. Po raz pierwszy może jak Napoleon Napoleonem, a marszałek marszałkiem, ten ostatni ośmielił się zwrócić uwagę Cesarza, że to było niepodobnem. Sam mi to później opowiadał marszałek Berthier kiedym go eskortował z Valladolid do Francji. Cesarz spojrzał na mnie, mówił marszałek, zmierzył mnie swym przenikającym wszystko wzrokiem i odrzekł: „zostaw to Polakom i rób swoje".

Wtedy to marszałek przybiegł do naszego szwadronu i rzekł: „Cesarz wam powierza zdobycie tej pozycji, pewny, że ją weźmiecie, a ja znając waszego ducha, wiem, że to będzie dla was drobnostką". Oto mi piękna drobnostka!, ale rozkaz dany i dosyć na tym. Wnet też Kozietulski, który był niesłychanie odważnego serca i przepadał za niepodobnymi do prawdy zwycięstwami, wystąpił naprzód jako szef szwadronu i krzyknął : „formuj się w czwórki !" Wysuwamy się tedy z poza załomu góry, gdzieśmy dotąd jak w twierdzy mimo kul hiszpańskich bezpiecznie stali. Lecz zaledwie zdążyliśmy się rozwinąć w połowie, gdy grad kul kartaczy spotyka nasz szwadron, a pierwszym z oficerów, który pada ofiarą był Rudowski.

Muszę wam się przyznać, że to fatalne powitanie ze strony Hiszpanów, diablo nas zmieszało, już sądziliśmy nawet, że się nie zdołamy sformować raz drugi, gdy znów się odezwał głos Kozietulskiego. Oprócz niego ośmiu oficerów w tym szatańskim spotkaniu przyjmowało udział, to jest: Rudowski, który jak powiedziałem zabity najpierwej, dalej Rowicki, kapitan Dziewanowski, Piotr Krasiński, Krzyżanowski, Niegolewski, Zielonka i Dobiecki. Co zaś do żołnierzy było ich w szwadronie 125 ludzi. Lecz jeżeli słuchacie mnie dlatego, aby spisać i kiedyś ogłosić, pamiętajcie, że wszystkie te imiona które wymieniłem, należałoby złotymi w dziejach naszych drukować zgłoskami. Tu zatrzymał Tedwen swe opowiadanie, podkręcił wąsa i zadumał się, jakby dla uczczenia pamięci poległych bohatersko pod obcym niebem i za obcą sprawę rodaków, a po chwili tej uroczystej i głębokiej zadumki, tak dalej mówił:

Owa tedy ilość jak powiedziałem, miała zdaniem Napoleona rozstrzygnąć los wojny. Jako wachmistrz musiałem być z tyłu szwadronu, ale lat 18, a nade wszystko ta jedna myśl, że Cesarz tak blisko, że spogląda na nas i ocenia odwagę naszą, przemogła wszelkie w tym względzie formy; przy drugiej więc komendzie Kozietulskiego, wysunąłem się naprzód i w miejsce poległych towarzyszów, w pierwszej czwórce stanąłem.

Sformowawszy się na nowo, nowy przypuściliśmy atak, samym środkiem wąwozu w górę. Pędząc jak na oślep, uniosłem tylko pałasz tak, aby zasłaniać oczy od postrzału, nic nie widziałem prócz ognia i dymu, nic nie słyszałem prócz huku armat i świstu kulek karabinowych. Aż do tej chwili miałem zupełnie słabe wyobrażenie o tym gradzie kul, o jakim nieraz przy ognisku w polu, opowiadali starzy wojacy, ale od wejścia w ten piekielny wąwóz przekonałem się o tym. Nie był to bowiem plac boju, ale rzeczywiste piekło, zdawało się, że ziemia zapadnie się wraz z nami. Kiedym w połowie drogi, rzucił okiem dokoła siebie, nie widziałem nikogo, czułem tylko, że koń mnie unosił i dlatego domyśliłem się tylko, że musiałem współtowarzyszów wyprzedzić. Nie wstrzymywałem go jednak, a nawet w duszy cieszyłem się z tego, gdyż nasi oficerowie zwykli byli z otyłości jego żartować, mówiąc, że go karmię na mięso. Później dopiero dowiedziałem się, że w czasie tej szarży, pod Kozietulskim zabito konia na połowie drogi, inni zaś dzielni oficerowie albo zabici jak Rowicki i Krzyżanowski, albo ranieni jak Piotr Krasiński zostali.

Dostawszy się na wzgórze i stanąwszy tuż przy samych hiszpańskich działach, ujrzałem resztę porozsypywanych współtowarzyszów, a gdy działa nieprzyjacielskie już grać przestały, albowiem szarża nasza tak była gwałtowna, że nie zdążyli po raz drugi wystrzelić, sypnęła się poza nami i reszta jazdy, a wdzierając się na wzgórza i łamiąc wszystko co tylko jej opór stawiało, stanowczo losy bitwy rozstrzygła.

Świetny to i pełen sławy był dzień dla naszego pułku, ale ciężki i bolesny dla szwadronu. Ze 125 żołnierzy pozostało przy życiu tylko 25, stu zaś po bohatersku, co się zowie poległo i to w jednej szarży. Kozietulski wyszedł szczęśliwie z tej bitwy i umarł dopiero w 1821 w Warszawie, zawsze wskutek ran ciężkich, w stopniu pułkownika 4 pułku ułanów. Rudowski, Rowicki i Krzyżanowski, jak to wspomniałem zginęli. Dziewanowski stracił nogę, a do tego strzaskano mu ramię, to też i umarł wkrótce w Madrycie. Piotr Krasiński lubo ciężko ranny, dotąd żyje jeszcze. Niegolewski odebrał 32 ran od bagnetów, żyje

w Poznańskiem, podobnież Zielonka i Dobiecki, ustrzeżeni od kul zostali. Co do mnie otrzymałem ranę w nogę i stopień oficera, a mój koń ... siedm kul. Moje suknie i wszystkie przybory, tak były nabite kulami jak gwoździmi. Z płaszcza, który zwykle zawieszamy na sobie w kształcie chustki złożonej na krzyż na piersiach i związanej w tyle, nie można było jednej pary rękawic wykroić, a kontrola szwadronu, którą miałem w kaszkiecie, tak była posiekana kulami, że nie można jej było użyć do apelu. Nie był on też i potrzebnym dnia tego, chyba dla przypomnienia o stu braciach naszych. Mój towarzysz Kiełkiewicz wachmistrz, należał także do owej małej liczby szczęśliwych, którzy z tego gorącego piekła życie unieśli.

Straciliśmy dużo, to prawda, ale niesłychanie zyskaliśmy na wewnętrznej wartości i gdy pułk nasz po tej rozprawie przeciągał koło starej gwardii Napoleona, patrzącej na nas zawsze z ukosa i nazywającej na młokosami, wówczas sami wykrzyknęli do nas: „Niech żyje stara gwardia!", a Cesarz przywoławszy do siebie pułkownika naszego hr. Wincentego Krasińskiego, oświadczył mu wobec wszystkich, żeśmy godni tej nazwy. Później znowu kiedy Napoleon objeżdżał pole bitwy, widząc tu i ówdzie leżących zabitych ułanów naszych, to pod działami, to obok tychże, lub na nich, zapytał świadków tej sceny wskazując na trupów: „ nie sąż oni waleczni?".

I nie mylił się zaprawdę, szli oni zawsze naprzód i zawsze ginęli, a ginęli mężni. Na własne oczy widziałem żołnierza z naszego szwadronu nazwiskiem Izabelewicz, który dostawszy odłomem granata w sam brzuch, usiadł na ziemi i prawie konając, z najzimniejszą krwią wysnuwał z siebie wnętrzności.

W ogóle pamiętna ta w dziejach jazdy potyczka, bo tak ją nazwał Berthier, mówiąc do mnie w kilka dni o niej, to także sprawiła, że o ile z jednej strony wzbudziła w Napoleonie zaufanie do nas, tak nawzajem też żołnierzowi naszemu utorowała drogę do osoby Cesarza i wyrodziła w każdym z nich pewną śmiałość do niego. Dowodem tego był jeden z naszych Mazurów, który skończywszy służbę i wracając znużony z placówki, chciał sobie fajkę zapalić. Ujrzawszy więc z daleka ognisko, szedł prosto do niego z nabitą lulką, a gdy Francuzi wstrzymywali go, ostrzegając go, że przy tym ognisku jest Cesarz, zaczął ich rozpychać, mówiąc obojętnie: „alboż to my nie znamy się z sobą?". Napoleon posłyszawszy spór, spytał o co idzie, a dowiedziawszy się o przyczynie, kazał puścić żołnierza. Mazur przystąpił wprost do ogniska i wziąwszy w rękę zapaloną głownię, zapalił lulkę. Nie mówił on po francusku, ale słysząc ciągle o gwardii Cesarza, słowa : garde imperiale utkwiły mu w głowie. Pufnąwszy tedy kilka razy z lulki, przyłożył rękę do kaszkieta, wyciągnął się jak struna i rzekł z całą powagą: merci garde imperiale i odszedł. Długo Napoleon śmiał się z tej żołnierskiej naiwności Mazura i nieraz powtarzał o niej w gronie swych marszałków.

W takie to mniej więcej słowa opowiedział Tedwen tę bitwę, należało tedy i to wydać na jaw, a nie przechowywać w notatkach; takie opowiadania rycerskie więcej daleko zajmują, niż najlepiej pisane karty romansu.

Ta interesująca, poruszająca wyobraźnię i mało znana relacja ucznia gimnazjum białostockiego, uczestnika szarży na przełęcz Somosierry - zasługiwałaby na krytyczne omówienie, wskazanie błędów, nieścisłości, niezgodności z faktami - a jest ich trochę. W tej sprawie odsyłamy czytelników do prac szczegółowo traktujących o tej sławnej bitwie. Musimy uwzględnić, że relacja ta powstała w 45 lat po opisywanym wydarzeniu, gdy 65-letniego wtedy Wincentego Tedwena miała prawo zawodzić pamięć. Pamiętajmy, że i ów anonimowy świadek tej opowieści, który ją ze słuchu spisywał, z pewnością to czy owo przekręcił. Przekręcił chociażby nazwisko szwoleżera z szwadronu Tedwena, który zginął w czasie szarży - nie nazywał się on Izabelewicz, lecz Zabellewicz. Bartłomiej Zabellewicz ur. w 1786 r. w Dołkach w pow. bielskim, to brat Ignacego Adama Z. (1784 -1831), absolwenta gimnazjum białostockiego i profesora filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Dodajmy, że kilkakrotnie wspomniany w relacji wachmistrz Kiełkiewicz to Dominik Kiełkiewicz ur. w 1781 r. w Połominie (parafia Suchowola) - a więc także syn ziemi białostockiej .Walczył on później w powstaniu listopadowym w korpusie gen. Dwernickiego.

Relacja nasza może być nie najbardziej wartościowym źródłem dla rekonstrukcji samej szarży, ma jednak poza swoją wartością sentymentalną (zwłaszcza dla białostocczan), ten niewątpliwy walor, że pokazuje nam jak budowała się legenda bitwy. Warto być może zwrócić uwagę na to, że Wincenty Tedwen z samej szarży zapamiętał właściwie bardzo mało. Wygląda na to, że znajdował się wtedy w pewnym szczególnym stanie euforii bitewnej, z którego się otrząsnął dopiero na samym szczycie przełęczy. Może tak właśnie było?

Jan DWORAKOWSKI

Absolwenci białostockiego gimnazjum

Profesor Czesław Kudzinowski

Patriotyczne tradycje XIX-wiecznego białostockiego gimnazjum męskiego kontynuowało w XX wieku Polskie Gimnazjum Realne (lata 1915-1919) a następnie od 1919 roku Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Zygmunta Augusta. W ciągu 20 lat działalności tego gimnazjum maturę zdobyło 563 uczniów.

Wśród wielu barwnych postaci szczególne miejsce zajmuje Czesław Kudzinowski – absolwent z 1927 roku.

Urodził się 8 października 1908 roku we wsi Wodziłówka koło Knyszyna. Wychował się w niezamożnej rodzinie. W domu, wraz z kilkoma kolegami, odbywał

naukę elementarną i przygotowywał się do egzaminu w białostockim gimnazjum.

Gimnazjalne lata Czesława przypadały na okres intensywnego rozwoju szkoły kierowanej przez dyrektora ks. dr Stanisława Hałko. Był on absolwentem Wyższego Seminarium Duchownego w Wilnie, doktorem nauk filozoficznych w zakresie historii na uniwersytecie we Fryburgu (Szwajcaria). Jako wikariusz parafii farnej był organizatorem polskiej szkoły średniej w Białymstoku w 1915 r., a następnie dyrektorem gimnazjum. W 1919 r. został wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego z okręgu nr 33 (pow. białostocki, bielski, sokólski). W latach 20. rozbudował i unowocześnił gmach szkoły, powstało nowe skrzydło od ulicy Kościelnej. Założył filię w budynku przy ul. Warszawskiej 63 – późniejsze Gimnazjum im. J. Piłsudskiego. W 1927 r. ufundowano tablicę pamiątkową ku czci uczniów i nauczycieli – ofiar wielkiej wojny światowej i wojny bolszewickiej.

Ks. St. Hałko był wybitnym nauczycielem historii okresu starożytności i średniowiecza. niewątpliwie jego osobowość, zajęcia szkolne wpłynęły na rozwój zainteresowań humanistycznych ucznia Czesława Kudzinowskiego, który jako 122 maturzysta otrzymał świadectwo dojrzałości z datą 21 czerwca 1927 roku.

Dalszą edukację rozpoczął w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. W ciągu dwóch lat studiował teologię, a następnie przeszedł na indoeuropeistykę. Jego wielką pasją stało się językoznawstwo. W 1935 r. uzyskał stopień magisterski. Następnie jako stypendysta przebywał w Helsinkach i w Budapeszcie. W 1939 r. uzyskał doktorat na podstawie rozprawy pt. „Harmonia wokaliczna w języku fińskim". Po powrocie do kraju podjął pracę na USB w Wilnie jako lektor języka węgierskiego i fińskiego.

Po wybuchu II wojny światowej i przemianach politycznych na Wileńszczyźnie, nowe władze uniwersyteckie w grudniu 1939 r. zwolniły pracowników Polaków. Dr Czesław Kudzinowski kontynuując pracę nauczycielską, prowadził kurs języka litewskiego, jako języka urzędowego, dla lekarzy i farmaceutów. W czasie okupacji niemieckiej związał się z polskim podziemiem. Na tajnym uniwersytecie prowadził wykłady na polonistyce, a w Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego pracował w dziale legalizacji. W tym okresie stracił swoją bardzo cenną bibliotekę naukową.

W grudniu 1944 r. został zatrzymany przez NKWD i wywieziony do łagru Holszanki koło Saratowa. Znany był w obozie jako zesłaniec, który mówi „wszystkimi językami świata".

W 1945 r. polskie władze zwróciły się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR w sprawie zwolnienia dr Czesława Kudzinowskiego, jako wybitnego specjalisty w dziedzinie językoznawstwa, do pracy w szkolnictwie wyższym w odbudowującej się Polsce. W listopadzie tegoż roku powrócił wycieńczony i schorowany. Przebywał w szpitalu w Łodzi. Tam też w 1946 roku rozpoczął pracę na Uniwersytecie Łódzkim.

Po dwóch latach, w 1948 r. podjął pracę naukową w Uniwersytecie Poznańskim. Z ośrodkiem tym związał się na okres 40 lat, aż do końca życia.

„Ogrom jego erudycji i niezwykła aktywność dydaktyczna sprawiły tu rolę arki przymierza między przeszłością a teraźniejszością" – tak ocenił go profesor Jerzy Bańczewski, dyrektor Instytutu Językoznawstwa Uniwersytetu Poznańskiego.

Cz. Kudzinowski do roku 1960 pracował jako adiunkt i docent w Katedrze Języków Germańskich. Po zmianach organizacyjnych w UAM przeszedł do Instytutu Językoznawstwa. W roku 1973 otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. Pełnił też funkcję prodziekana Wydziału Filologicznego. W 1974 r. objął kierownictwo Zakładu Językoznawstwa Porównawczego tego Instytutu.

Wielką pasją jego życia i szczególnym przedmiotem zainteresowań była indoeuropeistyka. Jeszcze jako doktor rozpoczął pracę nad opublikowaniem reprodukcji dzieła Samuela Chylińskiego, które pozostawało w rękopisie przez prawie 300 lat. W 1956 r. prowadził badania w British Museum w Londynie, wykonał fotokopię, aby porównać ją z rękopisem. Fotokopia, którą posiadał w USB w Wilnie, w czasie wojny uległa zniszczeniu. Nad dziełem tym pracował około 30 lat.

Drugim wielkim przedsięwzięciem było opracowanie indeksu do słownika Mikołaja Daukszy. Obok „Biblii" B.S. Chylińskiego, publikacja indeksu-słownika do „Dauksos Postile" (632 strony) zajęła mu wiele lat. Należy podkreślić, że aby opracować dwutomowy indeks, dr Kudzinowski wcześniej własnoręcznie przepisał tekst „Postylli Mniejszej" Jakuba Wujka. Pośrednim powodem tej pracy była 350 rocznica śmierci tego wielkiego jezuity.

Podziwiając benedyktyńską pracowitość i naukową dociekliwość należy pamiętać o jego związku z dorobkiem Oskara Kolberga. Tom 53 „Dzieł Wszystkich" Oskara Kolberga pt. „Litwa" przygotował Cz. Kudzinowski wspólnie z Danutą Pawlak, wydano go w 1968 r. Przygotowując tom do druku prof. Kudzinowski prowadził wnikliwe badania w Wilnie, Petersburgu, m.in. przejrzał wszystkie pisma kancelarii Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Do wielkich dokonań profesora należy zaliczyć prace związane z językiem fińskim. Jest to opracowanie podręcznikowe „gramatyka języka fińskiego" – podręcznik dla Polaków, w tym studentów filologii fińskiej, „Rozmówki polsko-fińskie" – dla turystów, oraz wielki, dwutomowy słownik polsko-fiński i fińsko-polski zawierający 90 tysięcy haseł. W 1989 r. podczas wizyty prezydenta Finlandii Mauno Koivisto w Polsce wręczono gościowi słownik jako upominek.

Szczególnym miejscem naukowych dokonań profesora była jego wiejska drewniana chata w rodzinnej wsi Wodziłówka. Przebywał tutaj w każde wakacje. Największą izbę zamieniał na zakład naukowy. Pracował w samotności, a niewielkie przerwy przeznaczał na spacer w lesie sosnowym Puszczy Knyszyńskiej. Tutaj rodziły się także badania regionalne. Nie zostały one w pełni opublikowane. Pamiętać należy o pracach nad słownikiem gwary knyszyńskiej, świadczącym o jej bałtyckim pochodzeniu. To słownictwo posłużyło profesorowi Kudzinowskiemu do rozważań nad językiem jaćwieskim. Nadal aktualna jest teza: „Relikty językowe okolic Kny-

szyna, Goniądza, Jasionówki itd. a więc południe Jaćwieży – wskazują z całą pewnością na pokrewieństwo litewskie a nie pruskie." Cząstkę swoich rozważań na ten temat opublikował w Acta Baltico-Slavika", 1964 rok, numer 1.

Jego badania nad językiem są nieocenione. Oprócz naukowych dokonań, prowadził szereg zajęć dydaktycznych. Wymienić należy następujące przedmioty: gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich, języków bałtyckich i germańskich, gramatyka historyczna języka litewskiego, łaciny i greki, a także język staropruski, starolitewski, starocerkiewnosłowiański, sanskryt (staroindyjski), hebrajski, systematyczne wykłady z języka litewskiego, węgierskiego i fińskiego.

Prof. Cz. Kudzinowski w wielkim zakresie przyczynił się do rozwoju w Poznaniu ośrodka badań nad dziejami i kulturą Wielkiego Księstwa Litewskiego i Litwy. Był członkiem wielu towarzystw naukowych, w tym Białostockiego Towarzystwa Naukowego. Wspierał badania naukowe młodych środowisk. Był fundatorem prywatnego stypendium studenckiego zwanego „stypendium ziemi knyszyńskiej".

Zmarł 2 marca 1988 r., pochowany został na cmentarzu w Poznaniu. Na tablicy nagrobkowej pod imieniem i nazwiskiem umieszczono napis: „Non omnis moriar".

Pamięć o Profesorze, znanym w kręgach naukowych, została utrwalona w naszym środowisku. Dzięki inicjatywie dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Knyszynie pana Edmunda Chodorowskiego popartej przez młodzież, nauczycieli, rodziców – w dniu 12 października 1990 roku szkoła ta otrzymała imię Profesora Czesława Kudzinowskiego. Młodzież otrzymała sztandar z wyhaftowanym złotą nicią nazwiskiem uczonego, odsłonięto i poświęcono pamiątkową tablicę. Urządzono trwałą ekspozycję pamiątek, prac naukowych profesora. Można z całą pewnością stwierdzić, że dyr. E. Chodorowski wskrzesił i utrwalił pamięć o wybitnym absolwencie białostockiego gimnazjum. To on napisał o patronie swego liceum: „Był wybitnym uczonym, nauczycielem, człowiekiem niezwykle życzliwym, wspomagającym młodych, bez reszty miłującym swą ziemię rodzinną".

Literatura:

1. E. Chodorowski, *Knyszyńskie szkice historyczne*, Knyszyn 1997.
2. *Dwudziestolecie istnienia Państwowego Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku. Jednodniówka*, Białystok 1935.
3. *Księga matur Państwowego Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku 1919-1939*, Muzeum Szkolne VI LO im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku.

Krzysztof Szepiel

Bo wolność krzyżami się mierzy...

Zgodnie z zapowiedzią oddaję Państwu do rąk drugi artykuł z cyklu „Bo wolność krzyżami się mierzy..." Ten będzie dotyczył wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. i jej pamiątek na Białostocczyźnie. Po zmianie systemu politycznego w Polsce zaczęto znów głośno mówić o tamtych wydarzeniach. Pojawiły się tablice, pomniki ich dotyczące. Starałem się wybrać te najbardziej godne uwagi.

24 IV 1920 r. rozpoczęła się wielka ofensywa na Kijów uwieńczona zdobyciem miasta w dniu 7 maja. Mimo, iż uderzenie polskie zaczęło się załamywać, bolszewicy potrzebowali wytchnienia. Obawiali się również, iż umocniwszy się w Kijowie, Polacy przerzucą część wojsk na Białoruś, gdzie trwała mobilizacja armii czerwonej. Nie pomylili się. Rozkaz Piłsudskiego wyznaczał tę akcję na dzień 17 maja. Dlatego też do Smoleńska został wysłany młody Michał Tuchaczewski. Zorganizował on front i zmusił Polaków do odwrotu. Po zażartych walkach o Grodno, Polacy wycofali się w kierunku na Białystok. Do miasta bolszewicy weszli jednak bez walki 28 lipca, gdyż najważniejszą sprawą była obrona linii rzek Bug i Narew. Tu obrona polska nieco okrzepła, co zaskoczyło nieprzyjaciela przeświadczonego o jej złamaniu. Z bliżej nieokreślonych przyczyn załoga opuściła twierdzę Osowiec, którą jazda nieprzyjacielska zajęła bez walki. Gen. Żeligowski określił to zdarzenie jako „fatalne nieporozumienie". Na linii Narwi rozgorzały walki o mosty w Łapach i Żółtkach. Rosjanie zaczęli forsować rzekę. Wykorzystali to Polacy, skutecznie opóźniając ofensywę. Obrona Narwi skupiła się na Łomży i trwała do 2 sierpnia. Nad Bugiem przygotowywano kontruderzenie licząc na to, iż twierdza Brześć będzie bronić się około pięciu dni. Twierdzę wzięli Rosjanie w ciągu jednego dnia i manewru nie udało się wykonać. Polacy musieli wycofać się. Znów stawili czoła najeźdźcy dopiero nad Wisłą. Mimo to, sam Tuchaczewski przyznał, iż było to pierwsze poważne zatrzymanie jego ofensywy. Główne siły radzieckie straciły tam od pięciu do sześciu dni. 16 Armia forsowała ten odcinek jeszcze cztery dni dłużej. Front przesunął się na zachód. Już za parę dni miał jednak wrócić na Białostocczyznę.

Zaraz po zwycięstwie nad Wisłą Piłsudski zarządził pościg, który miał uniemożliwić bolszewikom obronę na linii Bugu. Wyznaczono do tego 2 Armię dowodzoną przez gen. Śmigłego-Rydza. Miała ona też jak najspieszniej zająć Białystok, aby osaczyć główne siły wroga cofające się w tym kierunku. Do tego zadania wyznaczono 1 Pułk Piechoty Legionów. 18 sierpnia zajął on most pod Drohiczynem. Zdobycie miasta przyszło łatwo. Podczas pogoni dochodziło do potyczek, ale górą byli zawsze Polacy. 20 sierpnia, po bezładnej obronie Rosjan, odbity został Bielsk. Następnym, ważnym strategicznie punktem była przeprawa przez Narew pod Ploskami. Mimo, że

nieprzyjaciel podpalił most, oddziałowi sierż. Zawojczyka udało się przedostać na drugi brzeg i odepchnąć wroga. Most ugaszono. Na drodze do Białegostoku nie było już naturalnych przeszkód. Ryboły wzięto bez walki. Zabłudów zdobył bez walki oddział zwiadowców konnych pod dowództwem ppor. Chmury 21 sierpnia. Tego samego dnia pułk dotarł do Zwierek, gdzie spędził noc. Następnego dnia przystąpiono do walki o Białystok. Przeciwnik wycofywał się walcząc zażarcie. Zdobyto dworzec towarowy z którego odjechał właśnie kolejny transport z żołnierzami radzieckimi. Do 7.00 rano zajęto dworzec osobowy. Rosjanie próbowali go odbić przy pomocy pociągu pancernego, jednak bez powodzenia. O godzinie 8.00 rano Białystok był wolny i zabezpieczony przez 1 Pułk Piechoty Legionów. Rosjanie przystąpili jednak do kontrataku. Udało im się przerwać obronę i wedrzeć się do miasta. Walkę na ulicach prowadzoną przez ppor. Chmurę wspomogli cywilni ochotnicy. Rosjanie złożyli broń. Chcąc osaczyć wycofujące się na północ od miasta niedobitki wykonano manewr na Grajewo, był on jednak spóźniony i nie przyniósł rezultatów. 28 sierpnia wieczorem wojska polskie wkroczyły do Augustowa. 20 września rozpoczęła się ostatnia faza wojny 1920 roku. Wojska polskie zgrupowane na linii Suwałki – Sokółka – Brześć rozpoczęły ofensywę niemeńską. Białostocczyzna mogła odetchnąć. Nie zapomniała jednak o ludziach, którzy tu polegli. Upamiętniają ich chociażby wspomniane w tytule krzyże.

ŁAPY (1)

Na cmentarzu rzymsko-katolickim w Łapach spoczywa kilka osób poległych podczas wojny polsko-bolszewickiej. Nad grobami góruje pomnik z figurą Chrystusa niosącego krzyż. Na tablicy czytamy: „Dom poległym w obronie wiary i ojczyzny w 1920 r."

BIAŁYSTOK – Szosa Północno-Obwodowa (2)

20 VIII 1920 r. bolszewicy zamordowali 16 osób. W miejscu tego mordu, niedaleko skrzyżowania Szosy Północno-Obwodowej i ul. Dziesięciny, w 1930 r. postawiono pomnik. Tablica głosiła:

„ŚP. podczas najazdu bolszewickiego na tem miejscu zostali zamordowani w dniu 20 VIII 1920 r.:

1. ks. R. Knobelsdorf
2. K. Beret
3. M. Falkowski
4. J. Grabowski
5. B. Jarosławski
6. J. Karpowicz
7. Z. Olejnik
8. J. Oponowicz
9. H. Ostrowski
10 F. Ostrowski
11. A. Podolski
12. S. Russ
13. J. Zarzecki
14. major, nazwisko nieznane
15. porucznik, nazwisko nieznane
16. I. Firer

Cześć ich pamięci

Pomnik ten w dziesięcioletnią rocznicę mordu ofiarność całego społeczeństwa Białostockiego ufundowała."

Pomnik został zniszczony po ostatniej wojnie, jako „niewygodny". W 1990 r. postanowiono go odbudować i wtedy okazało się, iż któryś z mieszkańców Białegostoku uratował tablicę cytowaną wyżej. 20 VIII 1990 r. odsłonięto więc nowy pomnik, wierną kopię dawnego z wmurowaną 60-letnią tablicą.

BIAŁYSTOK, ul Zwycięstwa (3)

Prawie w centrum Białegostoku, przy ul. Zwycięstwa stoi miedziany krzyż. Jest to mogiła żołnierzy z 1920 r. Przez długi czas tablica na krzyżu głosiła tylko:

„ŚP.

tu spoczywają nieznani żołnierze"

Dopiero w 63 rocznicę odzyskania niepodległości, w 1981 r. dodano na ogrodzeniu jeszcze dwie tablice. Duża na furtce głosi:

Grób nieznanych żołnierzy poległych za ojczyznę w 1920 r."

Natomiast niewielka tabliczka na uboczu informuje, iż obie ufundowała KZ NSZZ „Solidarność" przy BZPT „Unitra-Biazet".

MOGIŁKA (4)

Niedaleko Czarnej Białostockiej w kierunku północnym jest mogiła. Nikt nie pamięta imienia i nazwiska żołnierza, który tam spoczywa. Wiadomo tylko, że zginął w 1920 r. Miejscowi zwą to miejsce poprostu „mogiłką". Zaniedbaną do niedawna mogiłę odnowiono w 1994 r. Od tego czasu odbywają się tu uroczystości związane z odzyskaniem niepodległości. Skromna, drewniana tablica z orłem w koronie głosi:

„Mogiłka"
grób nieznanego żołnierza 1920 – 1994

BIAŁYSTOK – Park Zwierzyniecki (5)

Pomnik 42 Pułku Piechoty stanął w parku zwierzynieckim w 1930 r. Podczas okupacji sowieckiej pomnik został zdemontowany i zakopany. Od kilku lat trwały poszukiwania, jednak nie przyniosły rezultatu. Wtedy rada miejska uchwaliła, iż na dawnym miejscu postawiona zostanie wierna kopia pomnika. Odsłonięcie nastąpiło 3 V 1997 r. Napis na cokole pozostał również bez zmian:

OFICEROM I ŻOŁNIERZOM
42 PUŁKU PIECHOTY
POLEGŁYM W WOJNIE
POLSKO – BOLSZEWICKIEJ 1920 R.

42 Pułk Piechoty im. Jana Henryka Dąbrowskiego stacjonował do 1939 r. w Białymstoku. Po dawnych koszarach pozostał kościół garnizonowy przy obecnej ulicy Traugutta oraz tablica upamiętniająca miejsce ich lokalizacji.

ŻÓŁTKI (6)

W Żółtkach, niedaleko Choroszczy stoi kapliczka. Jest ona jednak pomnikiem odzyskania niepodległości i walk września 1939 r. Mała tabliczka na cokole głosi:

POLEGŁYM ZA
OJCZYZNĘ
W LATACH
1918 – 1920

Dolna dotyczy II wojny światowej.

Ciekawe jest, iż kapliczka stała niegdyś po drugiej stronie mostu i upamiętniała żołnierzy rosyjskiej Lejb gwardii poległych w bitwie pod Złotorią wraz z porucznikiem Karolem Krodigierem. Dopiero po odzyskaniu niepodległości zmieniono położenie i tablicę na pomniku, upamiętniając w ten sposób obronę mostu w Żółtkach w lipcu 1920 r.

SUPRAŚL (7)

Naprzeciw urzędu miasta w Supraślu, w parku, stoi pomnik postawiony w 1930 r., dla uczczenia pamięci 11 mieszkańców Supraśla poległych w wojnie 1920 r. Po 1945 r. pomnik poświęcono utrwalaczom władzy ludowej, a starą tablicę zniszczono. Zrekonstruowano ją w 1989 r., a napis głosi:

NA PAMIĄTKĘ
OBCHODÓW X LECIA ZWYCIĘSTWA
POLSKI NAD ROSJĄ SOWIECKĄ
I DLA UCZCZENIA PAMIĘCI
POLEGŁYCH W WOJNIE 1920 R.
SYNÓW M. SUPRAŚLA

S. KISIELEWSKIEGO
H. SZCZERBIŃSKIEGO
R. JANKOWSKIEGO
F. CHABOCKIEGO
E. ŚWIERZYŃSKIEGO
J. KORECKIEGO
J. ROSZKOWSKIEGO
R. SADKOWSKIEGO
R. RADZISZEWSKIEGO
G. KAMIŃSKIEGO
A. ZALEWSKIEGO

KORYCIN (8)

Społeczeństwo gminy Korycin również nie zapomniało o poległych za ojczyznę. Niewielki medalion na pomniku przedstawia płaskorzeźbę twarzy marszałka J. Piłsudskiego. Tablica poniżej głosi:

CHWAŁA POLEGŁYM
W 70 ROCZNICĘ
ODZYSKANIA I OBRONY
NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

SOKÓŁKA (9)

W Sokółce stoi jedyny w swoim rodzaju pomnik na Białostocczyźnie, upamiętnia bowiem ostatnią ofensywę wojny 1920 r. Na marmurowym cokole widnieje rzeźba głowy marszałka J. Piłsudskiego, a poniżej napis:

JÓZEF
PIŁSUDSKI
1867
1935

PIERWSZY
MARSZAŁEK
POLSKI

Przy ziemi, na stylizowanej tablicy przeczytać możemy:

BOHATEROM
ZWYCIĘSKIEJ
BITWY
NAD NIEMNEM
Z ROSJĄ
BOLSZEWICKĄ
W 1920 R.

SPOŁECZEŃSTWO
SOKÓŁKI
WRZESIEŃ 1996

SUCHOWOLA (10)

Niedaleko za Suchowolą, przy szosie do Augustowa stoi pomnik w miejscu, gdzie 9 VIII 1920 r. bolszewicy zamordowali 5 osób. Tablica głosi:

MIEJSCE UŚWIĘCONE KRWIĄ
BESTIALSKO ZAMORDOWANYCH
PRZEZ BOLSZEWIKÓW 9 VIII 1920 R.
MILTKO FABIAN
NAUMOWICZ WŁADYSŁAW
RUDAKOWSKI PIOTR
ZANIEWSKI FELIKS
ZIMNOCH FRANCISZEK

ZGINĘLI ZA POLSKĘ
PAMIĘTAMY

SURAŻ (11)

4 VII 1920 r. w bitwie pod Pogostem zginął Wacław Chomicki. Rodzina, dla uczczenia jego pamięci wmurowała tablicę pamiątkową w kościele parafialnym w Surażu.

ŚP.
WACŁAW CHOMICKI
P.PORUCZNIK 13 P.P. UR. 28 II 1899 R.
ZGINĄŁ W BITWIE
Z BOLSZEWIKAMI
POD POGOSTEM 4 VII 1920 R.
CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI. RODZINA

ROZMAITOŚCI HISTORYCZNE

Agnieszka PISANKO-BOROWIK

Zawarcie małżeństwa szlacheckiego w XVII-XVIII w. – zasada „równy z równym"

Pisząc o okolicznościach, warunkach i powodach, które miały wpływ na zawarcie związku małżeńskiego wśród najwyżej postawionej warstwy nowożytnej Rzeczypospolitej, musimy wziąć po uwagę:

1. obyczajowe, kulturowe i ekonomiczne przyczyny zawierania małżeństw
2. zgodę rodziców
3. małżeństwo jako transakcję majątkową
4. zasadę „równy z równym" w kojarzeniu małżeństw i odstępstwa od niej.

Wymienione uwarunkowania miały ogromny wpływ, bezpośredni czy to pośredni, na powstawanie nowej rodziny. Wszystkie wymienione wyżej okoliczności wydają się być równie ważne. W tym miejscu szczegółowo chciałabym zająć się tylko ostatnią z nich.

Przy kojarzeniu małżeństw obowiązywała zasada „równy z równym". Zalecali jej stosowanie Jan Mrowiński Płoczywłos, Mikołaj Rej czy też Krzysztof Opaliński.

O równe się ty zawsze staraj ożenienie...
„Jeśli szlachcic, szlachciankę niech pojmuje, jeśli
Chłop, chłopkę, a jeśli wielkiej familii,
O takąż się niech stara..."

- radzi ten ostatni.[1]

Dotyczyła ona w szczególności równości stanowej i majątkowej małżonków. W mniejszym stopniu obejmowała kwestię wyznawanej religii, czy też pochodzenia terytorialnego. Naturalnie najczęściej spotykanymi były małżeństwa zawarte w obrębie jednego wyznania, skojarzone z rodzinami osiadłymi w mniej lub bardziej szeroko rozumianym sąsiedztwie. Znamy również związki zawarte między osobami różnego wyznania, jak też małżeństwa skojarzone między rodzinami zamieszkującymi dwa najbardziej nawet odległe krańce ogromnej przecież Rzeczypospolitej. Czynniki te nie wydają się więc tu być znaczącymi w hierarchii kwestii decydujących o pomyślnym skojarzeniu małżeństwa, w porównaniu z kwestiami stanowymi i majątkowymi stoją wyraźnie na dalszych miejscach. Zasada „równy z równym" w ogóle zaś nie dotyczyła takich ważnych wydawałoby się kwestii jak np. wiek nowożeńców, który choć niewątpliwie brany pod uwagę, to w porównaniu z czynnikami wymienionymi wyżej, stanowił kwestię zdecydowanie mniej istotną, a czasem zdawałoby się, że wręcz nieistotną. Wydaje się więc, że gdy pamiętnikarz Teodor Jewłaszewki wspomina swoje małżeństwo z wywodzącą się z tego samego stanu i warstwy społecznej Hanną Błotówną odnotowuje: „Majętność eśmy sobie równą z obu stron przynieśli..." to opisuje małżeństwo dla stanu szlacheckiego najczęstsze i najbardziej typowe, choć może nie najbardziej pożądane.[2] Rozumiemy bowiem, że najbardziej pożądane i najkorzystniejsze były związki zawarte z osobą z wyższej warstwy społecznej, z dobrego, korzystnie skoligaconego domu, z osobą majętniejszą. Jednym słowem, mariaże pozwalające maksymalnie wzmocnić swój własny ród. Oczywiście druga strona mogła uważać taki związek za mezalians. Zresztą te ostatnie nie były w czasach nowożytnych taką rzadkością jak mogłoby się to z pozoru wydawać.

Za mezalians uważano małżeństwa międzystanowe. „W ciągu istnienia feudalnego, stanowego ustroju Rzeczypospolitej granice między poszczególnymi stanami nigdy nie miały charakteru nieprzenikalnej zapory. Nie istniała ona nawet wtedy, gdy uprzywilejowany stan szlachecki, zazdrośnie strzegący swych prerogatyw, obwarował przystęp do siebie prawami z pozoru surowymi. Odbywał się nieustanny i niczym nie dający się powstrzymać ruch dwukierunkowy" - pisał Włodzimierz Dworzaczek.[3] W tej kwestii nie musimy się zresztą powoływać na opinię najbardziej nawet uznanych i cenionych historyków, bowiem źródła, w tym również pamiętniki, odnotowują tu całkiem sporo przykładów. Wystarczy tu wspomnieć powszechnie znane dzieło Waleriana Nekandy-Trepki, które w całości uznać należy za swoisty antyherbarz szlachecki i pierwszy traktat o ruchliwości społecznej. Chociaż w doborze konkretnych przykładów często można mieć wątpliwości, to jednak generalnie najczęstsze sposoby uzyskania awansu stanowego opisane w „Liber Generationis Plebeanorum" są, jak się wydaje,

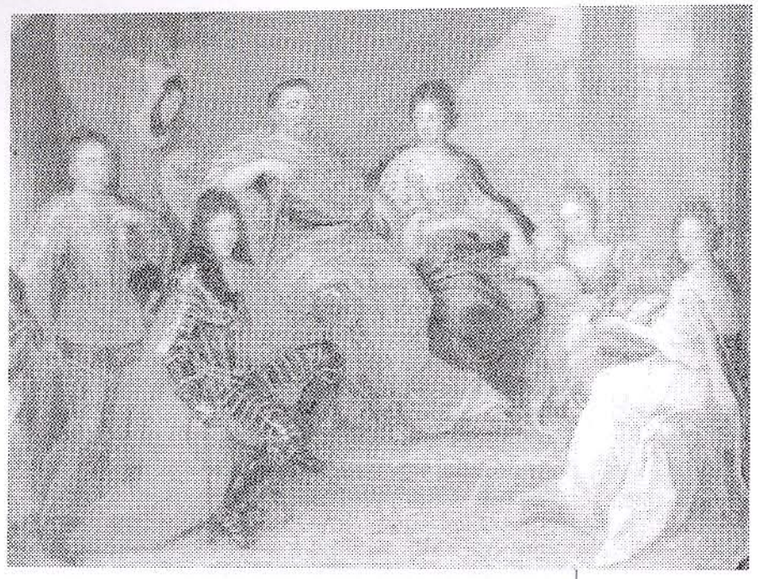

Rodzina Sobieskich, malarz dworski Jana III, przełom XVII i XVIII w., T. Chrzanowski, Portret staropolski, *Warszawa 1995, s. 86.*

uchwycone trafnie i właściwie. Szczególnie interesuje nas tu drugi z opisanych sposobów: z żony szlachcianki. „Siła szlachcianek ubogich do miasteczek za mąż idzie... "- odnotował Nekanda-Trepka.[4]

Najbardziej interesujące wydają się być powody popełnianych mezaliansów. Na podstawie „Liber Chamorum" da się ich wyodrębnić co najmniej kilka. Najważniejszym z nich są chyba kwestie majątkowe. „Wtem druga szlachta łakomstwo swoje bestyjalskie okazuje, gdy u plebana wioskę jaką widzi abo pieniędzy co czuje, to dziewkę swą zań da, a pan-chłop i posagu drugi nie weźmie, bo mu więcej o spowinowacenie idzie". Taki więc związek, jak rozumiemy, bywał dla obu stron korzystny. Mieszczanin lub chłop żeniąc się ze szlachcianką nie brał posagu zyskując na tym powinowactwo szlacheckie pozwalające mu pokonać barierę stanową. Szlachcic, często zresztą kryjąc mezalians, starał się mu to ułatwić. „Więc on p. szlachcic, dawszy za chłopa dziewkę, chce go udawać o przewieść, by był za szlachcica miany; gniewa się, gdy go kto chłopem nazowie" – odnotował Trepka. Nawet, gdy przekroczenie bariery stanowej nie udało się, to jednakże następowało ono zwykle w drugim lub trzecim pokoleniu, zaś powinowactwo szlacheckie wywodzono w takim wypadku po kądzieli. „Zaczym on pan syn miłek nie z ojca swego linijej szczycić by się chciał powinnemi, tylko ojciec z żony powinowactwa ukazuje, a synek jego z matki szlachcicem się zowie..."[5]

Były też inne powody. Często wydawano za mieszczanina szlachciankę z posagiem lub bez niego, jeśli nie cieszyła się ona dobrą reputacją, „miała »ale« – jak mówią – w cnocie", pochodziła z nieprawego łoża lub miała jakąś inną wadę i nie cieszyła się przez to zainteresowaniem na szlacheckim rynku małżeńskim.[6] „Ten Niemcowicz pojął był Postękalską szpetną, co jej nikt nie chciał." I inny bardziej drastyczny przykład: „Ten Jasiński (...) nabawił był dziewce swej własnej pękatego brzucha, a prędko potem umarł Jasiński. Syn jego, pobaczywszy po siestrze, iż jej brzuch puchnie, pytał jej z kim. Powiedziała, że z ojcem. Chciał ją dać do mniszek, ale nie chciały takiej przyjąć. Brat potem wydał ją w skok, iż zległa, za tego masztalerza ojcowego, a co miała od ojca zostawionego posagu 4 tysiące złotych, to rzekł jej brat: »kiedyś murwą została, według prawa odpadasz od posagu«. Dał przecie tysiąc złotych za nią temu masztalerzowi rzeczonemu. Wesele im w Szczekocinach sprawował w plebanijej anno 1629."[7]

Najczęściej jednak decydowały względy majątkowe. Wydawało się szlachciankę za mieszczanina, gdy nie miała posagu lub posag chciano zaoszczędzić, a nawet nieco pieniędzy zarobić, gdyż bogaty i ambitny mieszczanin często gotów był rodzicom panny młodej dopłacić, a odbiór posagu pokwitować.

„Niech będzie głupi, szpetny, byle chleba grzanka,
Pójdzie za Ormianina i wojewódzianka..."[8]

Wydaje się, że małżeństwa szlachty z przedstawicielkami stanu mieszczańskiego były znacznie rzadsze od związków szlachcianek z mieszczanami. Do takiego wniosku można dojść przynajmniej po lekturze „Liber Chamorum". Nie udało się bowiem w pamiętnikach odnaleźć ani jednej wzmianki o tym, by szlachcianka poślubiła mieszczanina. Spotyka się za to informacje o ślubach szlachty z mieszczankami, co stanowi chyba tylko kolejny dowód na to, że pamiętnikarzy interesowały szczególnie różne dziwolągi, przeloty komet i inne kurioza. Oprócz bowiem dzieła Nekandy-Trepki prawidłowość tę potwierdzają inne źródła. Na przykład Włodzimierz Dworzaczek na podstawie ksiąg ziemskich i grodzkich województwa poznańskiego i kaliskiego z drugiej połowy XVI i pierwszej połowy XVII wieku, zauważył wśród małżeństw mieszanych znaczącą dysproporcję świadczącą o ilościowej przewadze związków szlachcianek z mieszczanami nad małżeństwami szlachciców z przedstawicielkami tegoż stanu.[9]

Powody były tu jednak bardzo podobne. Decydujące znaczenie miały względy materialne, konkretnie wysoki posag. Niekiedy, jak w przypadku ślubów bogatych

Rodzina Sieniawskich, malarz nieokreślony, 1724-1726, T. Chrzanowski, Portret staropolski, *Warszawa 1995, s. 87.*

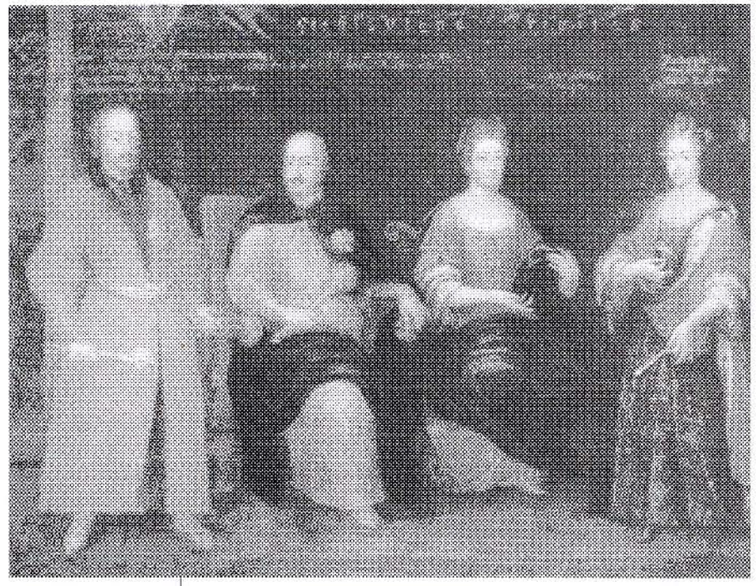

mieszczek, był on na tyle wysoki, że nie gardziły takimi mariażami najlepsze nawet rodziny magnackie widząc w tym sposób na podreperowanie podupadającej nieco fortuny rodzinnej. Na przykład Ossolińscy w drugiej połowie XVII w. żenili się z córkami lub wnuczkami bogatych kupców greckich i ormiańskich: Mikołaj Ossoliński, starosta nowotarski, skalski, knyszyński i piotrowski z Anną Korniaktówną; Jerzy Ossoliński, starosta wojnicki z Ormianką Elżbietą Hadziewiczówną.[10]

Jak się wydaje, mężczyźni wywodzący się ze stanu szlacheckiego częściej niż kobiety popełniali mezalianse z miłości, posiadali bowiem w tym względzie możliwości ciesząc się większą niż szlachcianki swobodą obyczajową. Przykłady mezaliansów międzystanowych odnajdziemy na przykład u Kitowicza: „Bochowski, szlachcic partykularny, ... obładowawszy się ... trzosami kozackimi ... Mając pieniądze, ożenił się, nie bawiąc, z Teresą Bielowską, służebną panną wujenki mojej, w której się pannie zakochał." Również z miłości ożenił się z mieszczką wojewoda krakowski Teodor Lubomirski.[11] Czasem uczucie przychodziło, jak się wydaje, w wieku na to nieodpowiednim: „Ten Pan przed kilku laty pojął był w małżeństwo córkę kupca Kellsa, której przy ślubie zapisał 100 000 zł pol. z rewersem od niej danym, że po śmierci jego nie będzie rościła żadnej pretensji do jego dóbr; słychać teraz, że pomieniony pan miał w banku weneckim milion zł pol.; i że ten kapitał jeszcze za życia swego jej darował... Ale kogóż teraz ta nieszczęsna miłość nie zaślepia?" – odnotował ksiądz Biegański przy okazji śmierci 73-letniego starosty knyszyńskiego Tomasza z Bękowa Czapskiego.[12] Nieco więcej mezaliansów z miłości popełniały też szlachcianki-wdowy, jako osoby dysponujące przeważnie własnymi pieniędzmi, a co za tym idzie większą swobodą w zawieraniu następnych związków. „Łowczyna, będąc wdową, upodobała sobie własnego trębacza nazwiskiem Lilienchowa, z którym sekretnie ślub wzięła" – czytamy u Kitowicza. Jaśniej ujął to ks. Biegański pisząc o wspomnianej wyżej Kelsównie: „Ta kupczyna młoda, przez lat kilka zarobiwszy sobie tak wielką fortunę, może się spodziewać i młodszego i milszego męża."[13]

Ten rodzaj małżeństw zawierano jednak głównie z powodów majątkowych. Wśród mieszczan dominowała zaś przede wszystkim chęć awansu społecznego. Mamy tu zresztą do czynienia z procesem dwustronnym. Z jednej strony bogatsze mieszczaństwo starało się przeniknąć do stanu szlacheckiego, z drugiej zaś, uboga, spauperyzowana szlachta, pochodząca szczególnie z okolic większych ośrodków miejskich, przenikała do stanu mieszczańskiego, szukając w miastach środków do życia i możliwości awansu.[14] „Antoni Morawski był synem jednego szlachcica ubogiego, który ożeniwszy się z jedną wdową rzeźniczką w mieście Gnieźnie, przejął miejskie prawo i był rzeźnikiem" – odnotował jeden z pamiętnikarzy. Przypadków takich znalazłoby się więcej, nie zawsze jednak źródła pozwalają je tak jasno, jak powyższa wzmianka sklasyfikować.[15]

Małżeństwa mieszane, szlachecko-mieszczańskie, nie mówiąc już o szlachecko-chłopskich, były w porównaniu do małżeństw zawieranych w obrębie stanu szlacheckiego czymś rzadkim. Wydaje się jednak, że dla zbiedniałej warstwy drobnoszlacheckiej zamieszkującej okolice miast, czy też same miasta jako tzw. „szlachta brukowa", nie były one czymś szczególnie wyjątkowym i nie stanowiły one w ich pojęciu mezaliansu.[16] Im dalej zaś od miast i im wyższa warstwa szlachecka, tym zjawisko rzadsze. Wśród warstwy średnioszlacheckiej i magnaterii są to już tylko wypadki sporadyczne i jako wyjątki względnie często w źródłach, w tym w pamiętnikach, odzwierciedlane. Nawet wśród biedniejszej szlachty zamieszkującej tereny od miast odległe, małżeństwa takie były czymś sporadycznym. Świadczą o tym chociażby współczesne badania socjologiczne przeprowadzone pod koniec lat 60. XX w., opisujące okolice szlacheckie, w których małżeństwa z zamieszkującą obok ludnością chłopską nie były preferowane, a nawet spotykane.[17] W porównaniu z nieznaczną jak na liczebność stanu szlacheckiego w no-

wożytnej Rzeczypospolitej liczbą małżeństw szlachecko-mieszczańskich, mezalianse szlachecko-chłopskie to już zupełna rzadkość.

Oczywiście mezalianse to nie tylko małżeństwa międzystanowe, ale i związki w obrębie stanu szlacheckiego, gdy małżonkowie wywodzili się z różnych jego warstw i różnili się majątkiem i świetnością rodu. Chodzi tu oczywiście o różnice znaczące. Na przykład małżeństwa magnaterii z przedstawicielami bogatej i średniej szlachty nie były mezaliansami, choć z biegiem czasu następowało zamknięcie się magnaterii na takie związki. Badania przeprowadzona na przykładzie magnaterii wielko- i małopolskiej obrazują to liczbami. W latach 1454-1569 małżeństwa międzymagnackie to prawie 41% wszystkich związków wśród przedstawicieli tego stanu w Małopolsce i nieco ponad 34% w Wielkopolsce. W latach 1610-1648 to już ponad 52% w Małopolsce i prawie 58% w Wielkopolsce.[18] Później będzie to zapewne procent jeszcze większy. Jak twierdzi Zbigniew Kuchowicz w XVII i XVIII wieku magnateria tworzyła już zamknięty krąg rodzin żeniących się między sobą.[19] Oczywiście nie bez wyjątków.

Natomiast małżeństwa magnaterii z przedstawicielami ubogich warstw stanu szlacheckiego to już rzadkość, bardzo zresztą źle w rodzinie widziana. Przykład na to odnajdziemy w rodzie Krzysztofa Zawiszy. Przyrodnia siostra żony wojewody mińskiego wyszła za swego sługę, niejakiego Kaczanowskiego. „12 grudnia 1701 doszła mię niespodziewanie wiadomość, że Kaczanowski gromadzi [ludzi] i nie tylko na odjechanie Możejkowa, ale też na uczynienie nam konfuzji idzie i nocą ma napaść (...) więc reflektowawszy się, że potędze nie wytrzymałbym (...) odjechałem z Możejkowa nocą, wszystkie swoje rzeczy zabrawszy. Panią Kaczanowską z sobą wzięliśmy i do Rochotnej zaprowadziliśmy." Wojewoda nie zadowolił się jednak tylko porwaniem żony Kaczanowskiego, znalazł bowiem sposób i na rozerwanie mezaliansu. Po prostu w 1702 roku w miasteczku Żołudku zabił Kaczanowskiego. W dodatku zbrodni dokonał w kościele. „Taki koniec słuszny jest żeniącym się nierównie i spierającym się z dostojniejszymi" – odnotował w swym pamiętniku.[20] Przykładów potępienia takich mezaliansów przez rodzinę lub strachu przed tym potępieniem odnajdziemy dużo więcej. Książę Radziwiłł „Panie Kochanku" nie mogąc przeboleć małżeństwa swej siostry Teofili wyrzucał jej w listach, „że tak podłym związkiem zhańbiła dom radziwiłłowski...".[21] Podobnie wspomniana Sapieżanka zamężna ze swym trębaczem, uciekła po sekretnym ślubie na Śląsk, obawiając się zabicia małżonka przez swego rodzonego brata.[22] Szczególnie głośny przypadek odnotowano już pod koniec istnienia szlacheckiej Rzeczypospolitej. Mowa tu oczywiście o tragicznym małżeństwie Szczęsnego Potockiego z Gertrudą z Komorowskich. Zdawałoby się, że oboje pochodzili z rodzin senatorskich w oczach rodziców Potockiego popełnili jednak mezalians. „Ród Komorowskich, chociaż posiadał swą chlubną historię, różnił się bardzo od Potockich pod względem majątkowym. Duma wojewody, a przede wszystkim wojewodziny nie pozwalała, ażeby ich jedyny syn zaślubił pannę której rodzice posiadali zaledwie parę wiosek. To nie odpowiadało ich wymogom, na to nie pozwalała ich duma i zarozumiałość." Świeżo zaślubiona małżonka została na rozkaz rodziców męża porwana i zabita. Wspomina tą tragedię między innymi Kitowicz i Chrząszczewski. [23]

W ogóle mezalianse, szczególnie międzystanowe, nie cieszyły się wśród braci szlacheckiej poważaniem. Zarówno ogół, jak i poszczególne rody zdecydowanie je potępiały.

„Traci swe szlachectwo starych praw przepisem,
Wiążąc szlachciankę z chłopem, wyżlice z kundysem,
Nie może to być dobrze wedle tej nauki,
Będąli wyżłów rodzić z kundysami suki,
Lepiej zawczasu potępić te szczenięta, tuszę,
Bo pewnie wszystka Polska wkrótce skostrusze..."

- pisał o mezaliansach Wacław Potocki.[24]

Dobrym przykładem na niechęć szlachty udzielaną związkom międzystanowym jest już chociażby sam fakt powstania „Liber Chamorum" i odnotowane tam przypadki: odmowy wydania szlachcianki za mieszczanina, odebrania żony szlachcianki przez krewnych po wyjściu na jaw niepewnego pochodzenia męża, czy też grożenie śmiercią nie szlachcicowi ożenionemu, bądź tylko starającemu się o szlachciankę. Zresztą według chorobliwie podejrzliwego Waleriana Nekandy-Trepki już sam fakt odmowy wydania szlachcianki za mąż świadczył, o co najmniej niepewnym pochodzeniu konkurenta, zaś szlachcic wydający swą córkę za nie szlachcica to według niego również po prostu plebejusz: „... gdyby był szlachcic, nie dałby był za chłopa dziewki ..." – twierdził.[25] Skądinąd wiemy także o wyrzekaniu się przez rodzinę, np. ojca lub braci, osoby popełniającej mezalians. Niekiedy nawet odbywało się to formalnie poprzez złożenie protestacji w sądzie. Bywał też mezalians międzystanowy, oficjalnie uznawanym powodem do unieważnienia małżeństwa.[26]

Zasada „równy z równym" w kojarzeniu małżeństw choć stosowana była wśród ogółu szlacheckiego, nie zawsze jednak w praktyce obowiązywała. tak to już bywa, gdy w grę wchodzą uczucia i emocje, odgórnie ustalone zasady przestają obowiązywać.

Przypisy:

1 K. Opaliński, *Satyry*, opr. L. Eustachiewicz, Wrocław 1953, s. 48, 50; A. Wyrobisz, *Staropolskie wzorce rodziny i kobiety – żony i matki*, [w:] Przegląd Historyczny, t. 83, 1992, z. 3, s. 407, 409.

2 *Pamiętnik Teodora Jewłaszewskiego nowogrodzkiego podsędka 1546-1604*, wyd. T. L[ubomirski], Warszawa 1860, s. 30.

3 W. Dworzaczek, *Przenikanie szlachty do stanu mieszczańskiego w Wielkopolsce w XVI i XVII w.*, [w:] Przegląd Historyczny, t. 47, 1956, z. 4, s. 656.

4 Walerian Nekanda-Trepka, *Liber Generationis Plebanorum*, wyd. 2, opr. R. Leszczyński, Wrocław 1995, s. 47.

6 Ibidem, np. nry: 186, 518, 539, 609, 851, 1071, 1090, 1213, 1407, 1691, 1814, 1891, 2294, 2321, 2361, 2389, 2467.

7 Ibidem, nr 1730, s. 346, nr 1742, s. 348

8 Cytat za: J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce wiek XVI-XVIII*, t. 2, Warszawa 1976, s. 132.

9 W. Nekanda-Trepka, *op. cit.*; W. Dworzaczek, op. cit., s. 680, 683

10 W. Łoziński, *Prawem i lewem. Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku*, t. 1, Kraków 1957, s. 224.

11 J. Kitowicz, *Pamiętnik czyli Historia Polska*, opr. P. Matuszewska, Warszawa 1971, s. 41, 215.

12 *Rękopism X. Bagińskiego Dominikanina Prowincyi Litewskiej (1747-1784 r.) wydany przez Eustachego Tyszkiewicza*, Wilno 1854, s. 142-143.

13 J. Kitowicz, *op. cit.*, s. 286; Rękopism X. Bagińskiego ..., s. 143.

14 W. Dworzaczek, *op. cit.*, s. 656-684.

15 J. Kitowicz, *op. cit.*, s. 221.

16 W. Dworzaczek, *op. cit.*, s. 674, 683.

17 K. Zinkiewicz, *Różnice pomiędzy współczesną rodziną podlaską chłopską, a szlachecką ze szczególnym uwzględniniem instytucji małżeństwa*, [w:] Rocznik Białostocki, t. 10, 1970, Warszawa 1971, s. 283, 295.

18 H. Litwin, *Magnateria polska 1454-1648. Kształtowanie się stanu*, [w:] Przegląd Historyczny, t. 74, 1983, z. 3, s. 459-462.

19 Z. Kuchowicz, *Społeczne konsekwencje postępującej denegeracji możnowładztwa polskiego w XVII-XVIII wieku*, [w:] Kwartalnik Historyczny, T. 76, 1969, nr 1, s. 25-26.

20 *Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy wojewody mińskiego (1666-1721)*, wyd. E. Raczyński, Wrocław 1884, s. 104-106, 211.

21 J. Jelski, *Zarys obyczajów w zestawieniu z ekonomią i dola ludu w Polsce i Litwie*, t. 2, Kraków 1898, s. 66.

22 J. Kitowicz, *op. cit.*, s. 286.

23 *Mały król na Rusi i jego stolica Krystynopol. Z pamiętnika Klasztornego 1766-1787 i innych źródeł zebrał i zestawił Jan Czarnecki*, Kraków 1939, s. 90-153; J. Kitowicz, *op. cit.*, s. 373; A. Chrząszczewski, *Pamiętnik oficjalny Potockich z Tulczyna*, opr. J. Piechowski, Wrocław 1976, s. 82-84.

24 W. Potocki, *Ogród fraszek*, t. 2, Lwów 1907, s. 81.

25 W. Nekanda-Trepka, *op. cit.*, np. nr 60, 78, 128, 306, 680, 917, 929, 1126, 1136, 1155, 1172, 1216, 1354, 1423, 1464, 1516, 1565, 1573, 1590, 1655, 2070, 2167, 2202, 2273, 2275, 2466.

26 W. Łoziński, *op. cit.*, s. 245.

Mieczysław WRZOSEK

Święte Przymierze

O nowym układzie sił na arenie międzynarodowej po klęsce Napoleona, a także o nowym ładzie w Europie decydował nie tylko końcowy akt kongresu wiedeńskiego. Istotną rolę odgrywały także ustalenia zawarte w zupełnie odrębnym dokumencie podpisanym w Paryżu, w dniu 26 września 1815 r. przez cara rosyjskiego Aleksandra I, cesarza austriackiego Franciszka I i króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. Dokument ten dotyczył tak zwanego Świętego Przymierza.

Projekt oparcia międzynarodowych stosunków na odpowiednio uzgodnionych zasadach pojawił się w istocie już w 1804 r. Był wówczas wysuwany przez cara Aleksandra, który znajdował się jeszcze pod wpływem zaprzyjaźnionego z nim księcia Adama Czartoryskiego, sprawującego wtedy obowiązki rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Ten projekt znalazł się w instrukcjach przekazanych Mikołajowi Nowosilcowowi, który udawał się właśnie z misją dyplomatyczną do Londynu. Car Aleksander postulował potrzebę takich ustrojowych zmian w poszczególnych państwach, aby mogło nastąpić umocnienie więzi między narodami a rządami, czyli między rządzącymi a rządzonymi. Chodziło zaś o zapobieganie wybuchom rewolucji. Sugerował ponadto konieczność zobowiązania wszystkich państw do udzielenia sobie wzajemnie pomocy w trudnych sytuacjach wewnętrznych, czyli do stosowania zasady interwencji. Zawierał także wezwanie do uznania obowiązku pokojowego regulowania konfliktów międzynarodowych i proponował utworzenie stałego związku państw mających stosować się do takich zasad i działających pod przewodnictwem Rosji oraz Wielkiej Brytanii. W tych zamysłach, którymi kierowali się autorzy projektu, ukrywało się dążenie księcia Czartoryskiego do zapewnienia większych swobód zniewolonemu narodowi polskiemu, ale można również wnioskować, że obaj autorzy, to znaczy książę Czartoryski i car Aleksander, kierowali się także obawą powodowaną ruchami rewolucyjnymi i ekspansją francuską. Antyfrancuski aspekt projektu sprawił, że okazał mu swoje zainteresowanie brytyjski premier William Pitt (Młodszy), który nie godził się wszakże na zasadę interwencji. Pitt jednak niebawem zmarł, a brytyjski minister spraw zagranicznych, Henry Castlereagh, uwzględniając to zastrzeżenie, doprowadził w dziesięć lat później, na zjeździe w Chaumont (marzec 1814) do zawarcia przymierza czterech mocarstw (Rosji, Wielkiej Brytanii, Austrii, Prus). Podpisane przymierze miało funkcjonować również po zakończeniu wojny z Francją. Myślano ponadto o zaproszeniu do tego przymierza także mniejszych państw. Zamiaru tego nie zrealizowano jednak, ponieważ na przeszkodzie stanęły spory spowodowane podczas obrad kongresu wiedeńskiego sprawą polską i saską.

Narady dotyczące stowarzyszenia patronującego wzajemnym stosunkom między państwami zostały wzno-

wione jednak, ale dopiero po ostatecznej klęsce Napoleona. O kierunku tych narad zadecydowało natomiast aktualne usposobienie cara Aleksandra, który obcował wówczas z mistykami i takimi marzycielami religijnymi, jak Barbara von Krüdener, czy też monachijski teolog Franciszek Baader. Car Aleksander uznał zatem, że we współżyciu narodów należy wrócić do zasad wynikających z religii chrześcijańskiej. To przeświadczenie znalazło zatem swój wyraz w nazwie, a po części i w założeniach związku państw, który zaczął funkcjonować jako Święte Przymierze.

W odniesieniu do powołanego związku utrzymują się rozbieżne opinie. Jedni jego znaczenie wyolbrzymiają, inni je wręcz bagatelizują. Zwraca się uwagę zaś na to, że nie traktowali go poważnie tacy mężowie stanu, jak Henry Castlereagh czy Klemens Metternich. Pod dokumentem formułującym zasady Świętego Przymierza składano przecież podpisy, bo rzeczywiście nikt nie śmiał tego odmawiać carowi potężnej Rosji. Faktem jest również, że ścisłe współdziałanie mocarstw rozbiorowych (Rosji, Prus i Austrii) funkcjonowało w sposób od Świętego Przymierza jakby niezależny, a państwami tego związku były określane przede wszystkim te trzy mocarstwa.

Sygnatariusze aktu powołującego Święte Przymierze zobowiązywali się więc do stosowania w polityce zagranicznej oraz wewnętrznej zasad religii chrześcijańskiej. W latach 1816-1818 Święte Przymierze zostało rozszerzone na prawie wszystkie kraje europejskie, z wyjątkiem Wielkiej Brytanii, która postanowiła kontynuować politykę opartą na tak zwanej wspaniałej izolacji („Splendid Isolation") i do uczestnictwa w rozwoju wydarzeń na kontynencie europejskim przystępowała dopiero po uznaniu, że zanosi się na zwichnięcie równowagi między poszczególnymi mocarstwami. Nie należała do niego również muzułmańska Turcja.

Cel zasadniczy, jaki sobie stawiały założycielskie państwa Świętego Przymierza oraz kraje przystępujące później do tego układu, to zamiar podejmowania solidarnej walki z liberalizmem, a zwłaszcza z ruchami niepodległościowo-rewolucyjnymi. Główną rolę w tym systemie, jak to zostało już zaznaczone, odgrywały trzy mocarstwa: Rosja, Austria i Prusy. Między tymi mocarstwami występowały jednak również poważne rozbieżności. W Wiedniu dużą nieufność wobec Prus podsycała obawa, że zechcą się w Związku Niemieckim wysunąć na stanowisko w stosunku do Austrii równorzędne, a może nawet przodujące. Austrię i Prusy zarazem niepokoiła polska polityka Aleksandra I, a car traktował stanowisko Austrii jako zasadniczą przeszkodę w bałkańskiej polityce swojego imperium. Od wszystkich tych podejrzeń, opieranych głównie na przypuszczeniach, silniejsza była jednak obawa przed rewolucją oraz troska o utrzymanie zdobyczy z 1815 r. i o zachowanie dotychczasowej pozycji na arenie międzynarodowej.

Właściwymi sternikami polityki Świętego Przymierza byli car Aleksander I i minister Klemens Metternich. Ustalenia bieżące, na których ta polityka się opierała, były zaś dokonywane za pośrednictwem korespondencji dyplomatycznej. W zależności od wyłaniających się potrzeb dochodziło jednak również do dyplomatycznych spotkań, które są określane jako kongresy, a niekiedy jako konferencje.

Pierwszy kongres monarchów, a także towarzyszących im ministrów, odbywał się na przełomie października i listopada 1818 r. w Akwizgranie. Do stołu obrad została tam dopuszczona również Francja reprezentowana przez premiera, księcia Armanda Richelieu. Uczestnicy obrad wzięli pod uwagę taką okoliczność, że monarchia Ludwika XVIII spłacała regularnie raty ogromnej nałożonej na nią kontrybucji i wyrazili zgodę na redukcję istniejących jeszcze finansowych zobowiązań francuskich, a ponadto postanowili wycofać wojska okupacyjne, rozlokowane na terytoriach Francji i przyjąć to mocarstwo do grona sygnatariuszy Świętego Przymierza.

Uczestnicy kongresu w Akwizgranie okazywali również duże zaniepokojenie w związku z wybuchem powstań zbrojnych w koloniach hiszpańskich Ameryki Łacińskiej. To zaniepokojenie było spowodowane zwłaszcza słabością Hiszpanii, aby to państwo, niegdyś tak potężne, weszło na drogę ustępstw wobec uzależnionych od niego krajów kolonialnych. Monarcha hiszpański, Ferdynand VII, okazywał jednak nadzwyczajny upór i o takim rozwiązaniu nie chciał nawet słuchać. Wyłaniały się również pomysły, aby udzielić mu zbrojnej pomocy, ale na to nie chciała się zgodzić Wielka Brytania, ponieważ brała pod uwagę możliwość wykorzystania kolonialnych kłopotów Hiszpanii w dążeniu do dalszej rozbudowy własnego imperium kolonialnego.

Uczestnikami spotkania kolejnego, zwołanego z inicjatywy kanclerza Metternicha i obradującego w Karlsbadzie od 6 do 31 sierpnia 1819 r., nie zaliczonego jednak do zestawu kongresów, byli ministrowie państw Związku Niemieckiego. Ich uwagę zaprzątało dążenie do złamania ruchu narodowego i demokratycznego w Niemczech po 1819 r. Ten ruch narastał w sytuacji uwarunkowanej ogólnym zawodem, jakiego doznały oczekiwania Niemców, którzy liczyli na zjednoczenie narodu i na złagodzenie sytuacji wewnętrznej w poszczególnych krajach Rzeszy. Do narastającego niezadowolenia przyczyniał się również kryzys ekonomiczny, spowodowany zalewem rynku niemieckiego przez tańsze wyroby angielskie.

Jako ostoja niemieckiego ruchu narodowego prezentowały się stowarzyszenia gimnastyczne (Turnvereine), zakładane od 1811 r. z inicjatywy światłego nauczyciela Fryderyka Ludwiga Jahna. Istotną rolę odgrywały również organizacje studenckie wzorowane na stowarzyszeniu założonym 12 czerwca 1815 r. na Uniwersytecie w Jenie, które to stowarzyszenia występowało jako Związek Studentów (Burschenschaft). Naczelnym zawołaniem uczestników tego studenckiego ruchu było hasło: „Wolność, honor i ojczyzna".

Niemieckie związki studenckie cieszyły się poparciem liberalnie usposobionych profesorów i nasiliły swoją działalność z okazji trzechsetnej rocznicy wystąpienia Marcina Lutra, a także trzeciej rocznicy zwycięstwa pod Lipskiem. Doszło wtedy, między innymi, do urządzenia wielkiej manifestacji w Eisenach oraz w Wartburgu, z udziałem osób studiujących na dwunastu protestanckich uniwersytetach niemieckich. W dniu 18 października 1817 r. wygłaszano więc na Górze Wartburskiej ostre przemówienia, palono różne znienawidzone książki, takie mianowicie, jak Kodeks Napoleona i dzieło Karla Ludwiga Hallera (Restauration der Staatswissenschaft – stąd nazwa całego okresu historycznego, który nastąpił po kongresie wiedeńskim), a także niszczono w ogniu przedmioty symbolizujące despotyzm, to znaczy pruski gorset ułański, perukę heską i austriacki kij kapralski.

Obchody wartburskie wywołały wielkie zaniepokojenie niemieckich sfer rządzących. Nastąpiło skrupulatne śledztwo i doszło do licznych aresztowań. Jeszcze poważniejsze przeciwdziałanie władz uzewnętrzniło się w związku z tym, że 23 marca 1819 r. student Karol Sand zamordował w Mannheimie reakcyjnego dramaturga Augusta Kotzebuego za to, że wyśmiewał ideały związków studenckich. Później okazało się zresztą, że zamordowany był płatnym człowiekiem Rosji i znajdował się na usługach rosyjskiego wywiadu. W związku z tymi wydarzeniami uczestnicy konferencji karlsbadzkiej postanowili poddać uniwersytety niemieckie nadzorowi policyjnemu, a profesorowie uznani za głosicieli „zgubnych" poglądów byli usuwani ze swoich stanowisk. Zostały też wprowadzone przepisy o ostrej cenzurze. Zastosowane zabiegi spowodowały w Niemczech osłabienie jawnego ruchu narodowego, który ożywił się potem dopiero pod wpływem rewolucji licowej we Francji.

Drugi kongres Świętego Przymierza obradował w Opawie, w okresie od 23 października do 24 grudnia 1820 r. Miał zaś ścisły związek z tymi wydarzeniami, do których dochodziło na tle włoskiego odrodzenia narodowego, określanego jako risorgimento. Główne postępy czyniło ono w Lombardii, Piemoncie oraz Toskanii, to znaczy na obszarach lepiej rozwiniętych pod względem ekonomicznym, a także tam, gdzie utrzymywały się jeszcze żywe tradycje dawnej świetności kulturalnej. Jako ośrodek zjednoczeniowych dążeń narodu włoskiego występowała jednak również neapolitańska część Królestwa Obojga Sycylii, rejon pod względem gospodarczym jeszcze bardzo zacofany. Na tym właśnie neapolitańskim obszarze w lipcu 1820 r. garstka wojskowych i węglarzy (karbonariuszów) działających pod wodzą księdza Luigi Minidiniego wywołała powstanie, ale nie utrzymała inicjatywy i na czoło ruchu wysunęli się liberałowie. Przestraszony król Ferdynand I zaprzysiągł więc konstytucję wzorowaną na hiszpańskiej ustawie zasadniczej z 1812 r. Władza prawodawcza przeszła zaś w ręce parlamentu opanowanego przez liberałów.

Wydarzenia neapolitańskie stanowiły kolejne ogniwo w serii groźnych wydarzeń rewolucyjnych i zaniepokojone tym państwa Świętego Przymierza uznały, że muszą zająć zdecydowane stanowisko. Ostateczne decyzje miały być jednak podjęte w porozumieniu z królem Ferdynandem. Spotkanie z tym monarchą zostało przewidziane w Lublanie i rozpoczęło się jako trzeci kongres państw Świętego Przymierza w dniu 1 stycznia 1821 r. Szczegółowe rozmowy toczyły się jeszcze w lutym. W kongresie tym uczestniczył cesarz Franciszek I, car Aleksander I, książę Modeny Franciszek IV i monarcha Królestwa Obojga Sycylii Ferdynand I. Podczas tego spotkania monarcha neapolitański złamał swoje zobowiązania konstytucyjne i poprosił o pomoc przeciw buntującym się poddanym. Doszło więc najpierw do sformułowania zasad interwencji zbrojnych w tych krajach, które staną się widownią wydarzeń rewolucyjnych i ustalono, że działania takie będą podejmowane nawet bez zgody obalonego rządu. Na podstawie tej uchwały Austria uzyskała rolę interwenta w Neapolu. Uczestnikiem działań interwencyjnych była sześćdziesięciotysięczna armia austriacka, która pokonała wojska neapolitańskie generała Guglielmo Pepe i przywróciła dawne porządki.

W tym czasie, gdy trwała interwencja uzgodniona z królem Ferdynandem I, do rewolucyjnych wydarzeń doszło również w Piemoncie. Ich wybuch nastąpił w dniu 10 marca 1821 r. W zasięgu rozruchów znalazły się główne ośrodki Piemontu, także stołeczny Turyn, z którego uciekł król Wiktor Emanuel pozostawiając władzę regentowi, to znaczy księciu Karolowi Albertowi, a królem miał zostać brat ustępującego monarchy Karol Feliks. Te zmiany nie doprowadziły jednak do zażegnania rewolucyjnego ruchu i nowy monarcha (Karol Feliks) musiał wezwać na pomoc wojska austriackie. W dniu 8 kwietnia 1821 roku doszło więc do starcia zbrojnego pod Nowarą (na zachód od Mediolanu), gdzie powstańcy ponieśli zupełną klęskę.

Po opanowaniu sytuacji w Piemoncie skrupulatne dochodzenia policyjne zostały przeprowadzone również na tych obszarach włoskich, które znajdowały się w granicach cesarstwa austriackiego. Dochodzenia te wykazały, że znajdowały się one także w zasięgu rewolucyjnej konspiracji. Nastąpiły więc również liczne aresztowania i sytuacja rewolucyjna na obszarach włoskich została opanowana.

Największe komplikacje ukształtowały się teraz w Hiszpanii. Doprowadził do tego przede wszystkim upór króla Ferdynanda VII, który dążył do utrzymania amerykańskich obszarów kolonialnych i zarządził przygotowania do wielkiej ekspedycji zbrojnej. W toku tych przygotowań, podejmowanych w Kadyksie, doszło jednak do wybuchu zbrojnego, poprzedzonego wojskowym spiskiem, zorganizowanym z inicjatywy generała Rafaela Riego. Powstanie to nabrało niebawem rozmachu i rozprzestrzeniło się na znacznych obszarach hiszpańskiej metropolii. Z związku z tym Ferdynand VII zgodził się na przywrócenie łagodnej konstytucji z 1812 r. i przystał na powołanie liberalnego rządu. Tem rząd spotkał się jednak z silnym przeciwdziałaniem chłopów zachęcanych do oporu przez duchowieństwo, które nie chciało uznać władzy opartej na ateistycznych podstawach. Na tym tle doszło zresztą również do rozłamu w środowisku liberałów i rozgorzała zażarta wojna domowa.

W tej sytuacji Ferdynand VII zwrócił się o pomoc państw Świętego Przymierza, które zastanawiały się jednocześnie nad tym, czy udzielić poparcia Grekom w ich walce zbrojnej o wyswobodzenie się z niewoli tureckiej. W sprawie greckiej państwa Świętego Przymierza postanowiły jednak zająć stanowisko odmowne. Przychylny charakter miała natomiast decyzja podjęta w kwestii hiszpańskiej. Zapadła ona podczas kongresu w Weronie, który obradował od 20 października do 14 grudnia 1822 roku. Do działań interwencyjnych została wyznaczona

sześćdziesięciotysięczna armia francuska pod wodzą księcia Ludwika d'Angouleme (syn króla Karola X). Interwencyjne wojska francuskie wyruszyły do Hiszpanii w kwietniu 1823 roku i bez trudu opanowały Madryt. W stolicy nie było jednak Kortezów, ponieważ przeniosły się ze swoimi obradami do Kadyksu położonego na południowo-zachodnich krańcach Hiszpanii. Przebywał tam również król Ferdynand z rodziną. Rozpoczęło się więc oblężenie Kadyksu. Opór obrońców był jednak słaby i szturmujące wojska francuskie zdobyły kilka fortów. W związku z tym Kortezy w dniu 3 października 1823 roku przekazały królowi całą władzę i rozwiązały się. Rozpoczęły się represje. Dotknęły one w pierwszym rzędzie generała Riego, który został stracony. Liczba pozostałych ofiar terroru nie została ustalona.

W 1829 roku, gdy umarła trzecia żona bezdzietnego Ferdynanda VII, zawarł on czwarty związek małżeński z księżniczką neapolitańska Marią Krystyną, córką monarchy Królestwa Obojga Sycylii Franciszka I. Miał z nią dwie córki i postanowił zabezpieczyć tron dla starszej z nich Izabeli. Aby ten zamiar zrealizować w dniu 29 marca 1830 roku wprowadził tak zwaną sankcję pragmatyczną, czyli edykt szczególnie ważny. Na podstawie tego dokumentu przywrócił w Hiszpanii dawne kastylijskie prawo dziedziczenia, które odmiennie niż prawo tak zwane salickie, pozwalało na dziedziczenie tronu przez kobiety, ale od 1714 roku nie było stosowane. Na tej podstawie odbyła się koronacja trzyletniej królowej Izabeli w czerwcu 1833 roku, a władzę w jej imieniu jako regentka sprawowała matka, czyli wdowa po rychło zmarłym Ferdynandzie VII.

W tym czasie Święte Przymierze już nie funkcjonowało. Uważa się mianowicie, że o zaniku jego działalności zadecydował wcześniejszy zgon cara Aleksandra I (zmarł 19 listopada 1825 roku w Taganrogu). Do upadku tego przymierza przyczyniła się również rywalizacja Rosji z innymi mocarstwami europejskimi (Austrią, Wielką Brytanią i Francją) na obszarach bałkańskich. Wprawdzie Rosja Mikołaja I usiłowała tłumić ruchy rewolucyjne na własną rękę i z tego powodu była określana żandarmem Europy, ale do rosyjskiej interwencji w Belgii już nie doszło, ponieważ na przeszkodzie stanął wybuch polskiego powstania listopadowego. Ostatni raz w roli żandarma Rosja wystąpiła wówczas jako państwo uczestniczące w tłumieniu powstania węgierskiego (1849). Sprawy te nie miały już jednak związku ze Świętym Przymierzem.

Marta CYWIŃSKA-DZIEKOŃSKA

Drzwi salonu uchylić...
czyli
Słów kilka o wpływie kultury francuskiej na XIX-wieczne wnętrze polskiego dworu

W końcu dwudziestego wieku pojęcie salonu sprowadzono do „salonu pogrzebowego", „salonu komputerowego", „salonu odnowy biologicznej", „salonu samochodowego". Wcześniej istniały już „salony fryzjerskie", czy „kosmetyczne", a teraz już nikt prawie DUŻEGO POKOJU w bloku nie odważy się nazwać salonem.

Nazwa „salon" pochodzi z języka francuskiego, a Władysław Kopaliński określa go jako: „obszerny pokój, salę, bawialnię przeznaczoną na zebrania towarzyskie, do przyjmowania licznych gości", a także jako „(...) wytworny lokal mieszczący sklep usługowy, albo sklep połączony z wystawą"[1]. Pojęciu salonu towarzyszą tu rozważania poświęcone historii salonu literackiego, którego początki sięgają wieku XVII.

Grono miłośników muzyki, literatury, sztuki konwersacji „giętkiej i dowcipnej" brylowało we francuskim salonie markizy de Rambouillet. Samo pojęcie konwersacji salonowej wywodzi się z tzw. *„cours d'amour"* – swoistej gry dowcipów i poetycznych uniesień trubadurów opiewających umiłowaną damę (oczywiście zamężną i wysokiego rodu). U schyłku średniowiecza zaś triumfy święciły tzw. *„conversazioni"*, czyli rozmowy w gronie płci obojga, inspirowane ówczesną modą literacką. Głośno odczytywano fragment wybranego dzieła literackiego, a gdy umilkł głos lektora – panie i panowie niestrudzenie *dysputowali* nad treścią *„Conversazioni"*, początkowo pojmowane jako rodzaj płochej i poważnej zarazem rozrywki, anonsowały niejako istnienie przyszłego salonu.

Któż w naszych czasach przywiązuje wagę do konwersacji salonowej, do formuł grzecznościowych, starannie dobiera słowa i emocje, by innych *gwałtownością mowy* nie urazić? Brak wzorców, autorytetów, całkowita zmiana systemu wartości, a dziadkowie – no cóż, nikłe najczęściej mają pojęcie o edukacji salonowej. Nikt – nawet z przymrużeniem oka – nie sięga do przedwojennych *savoir-vivre'ów* czy zasad *bon-tonu* spisanych w księgach i wydawnictwach broszurowych, jakże licznie wypełniających niegdyś półki księgarń i domowych biblioteczek. A przecież salonem rządziły surowe zasady dobrego wychowania, surowe – choć jakże płochej proweniencji francuskiej.

Zbioru zasad prowadzenia konwersacji salonowej należałoby szukać przede wszystkim w literaturze – choćby w dziełach Mlle de Scudéry XVII-wiecznej pisarki, a zarazem dobrego ducha paryskiego życia salonowego. To ona właśnie stworzyła salon literacki ożywający w sobotę (stąd też w historii literatury mowa o „sobotach u Safony"). „Konwersacja – pisze panna Scudéry – jest węzłem wszystkich ludzi, największą przyjemnością przyzwoitych osób i najlepszym środkiem do szerzenia w towarzystwie nie tylko grzeczności, ale nadto najczystszej moralności i zamiłowania sławy i cnoty (...)"[2].

Jednakże okres świetności francuskiego salonu przypada na wiek XVIII. Do najsłynniejszych należał salon pani Lambert, pani Necker, pani de Lespinasse, pani de Geoffin. Ta ostatnia była protektorką Stanisława Augusta Poniatowskiego, gdy ów – jako młodzieniec – zaistniał w paryskim świecie towarzyskim w 1753 r. za sprawą listu polecającego adresowanego przez ojca Stanisława Augusta do słynnej M'me Geoffin, leciwej podówczas damy, ale oddanej sercem i duszą idei życia salonowego: „skądinąd wiadomo, że Stanisław August podczas tego pobytu w Paryżu dostał się był do więzienia za długi i że go pani Geoffin wykupiła, o tem jednak Król Jegomość sam nic nie wspomina. Gdy Poniatowski został królem polskim, starał się okazać wdzięczność swą pani Geoffin i zaprosił ją na swój dwór do Warszawy. Dama ta była wówczas zgrzybiałą staruszką, niewahała się jednak podjąć podróży, aby ujrzeć swego wychowanka w majestacie monarszym. W roku 1766 przybyła pani Geoffin do Warszawy, gdzie tam ze strony Stanisława Augusta jak i całego najznakomitszego towarzystwa polskiego doznała wielce zaszczytnego przyjęcia, a osobistością swą niepospolitą i sławą niemal europejską, wielką wzbudzała sensację. Król nazwał ją matką (...)"[3].

Historię salonu francuskiego mogłyby tu wypełnić skrupulatne opisy spotkań towarzyskich u księżniczki du Maine, M'me d'Epinay, czy wreszcie najsłynniejszych – salonu M'me Necker, słynnego ministra francuskiego oraz jej córki – M'me de Stael. Tak oto można rozpocząć historię wielkich, francuskich salonów XIX-wiecznych...

Ale jak daleko z najznamienitszych salonów Paryża do wnętrza XIX-wiecznego polskiego salonu prowincjonalnego, który – choć spragniony wieści z dalekiego świata, skupiał swą egzystencję wokół niezliczonej ilości drobnych spraw codziennych, radości i niesnasek rodzinnych, wizyt mniej lub bardziej oczekiwanych gości, którzy na dzień, na dwa zawitali, by do końca życia we dworze pozostać w charakterze rezydenta czy rezydentki. I wszystko z dala od dysput o literaturze! Ogień w kominku „oświeca wesoło pokój, w dżdżystych dniach jesieni jest prawdziwą pociechą i poniekąd towarzystwem; ale miej do niego drzewo suche, twarde, porządnie potarte i porąbane. Radziłabym Ci na sposób francuski: kłaść głownią dużą z dębowego lub bukowego drzewa, do której dodają się mniejsze kawałki (...)"[4] – radzi Karolina z Potockich Nakwaska.

„Dwór wiejski ..." jej autorstwa, dedykowany właścicielom „miernych majątków"[5] oraz paniom wysokiego rodu był kopalnią wiedzy o najdrobniejszych nawet kwestiach dotyczących organizacji życia codziennego: od niuansów życia rodzinnego i towarzyskiego, po urządzanie wnętrza, dysponowanie żywnością, rady i przepisy inspirowane medycyną domową. Wertując strony skrupulatnego poradnika Karoliny z Nakwaskich czy też Henrietty z Błędowskich[6] ze zdumieniem wsłuchujemy się w echa francuszczyzny, naszym zdaniem przesadne czasem, a wręcz humorystyczne. Dotyczyć mogą one np. gwarancji udanego mariażu:

PRZEPIS DLA PANIEN, KTÓRE CHCĄ DOSTAĆ MĘŻÓW:

„Mieć więcej rozsądku niż dowcipu, mniej się trudzić muzyką, a więcej użytecznymi przedmiotami, badać raczej tajemnice urządzenia domowego niż „Tajemnice Paryża"[7] (...). Gdy kobiety dobrze się przejmą temi zasadami, liczba starszych panien znacznie się zmniejszy"[8].

A przecież do niedawna jeszcze nad edukacją panny czuwała guwernantka! O niej również pisze Karolina z Nakwaskich: „Jeżeli dla języków cudzoziemskich pragniecie mieć nauczycieli z zagranicy, jeszcze się znajdą po matkach Francuzkach córki rodaków, które przydatnemi być potrafią. Dla tych więc pierwszeństwo się należy, moim zdaniem (...)"[9].

Natalia Kicka tak zaś pisała o swojej edukacji domowej: „Ksiądz Kołżyg, kapelan hołowczycki uczył nas katechizmu, Laffin stary po angielsku, Bystry – Czech rodem – muzyki, Nagrodzki, koniuszy i rezydent u mojego ojca, rachunków i historii Polski, a stara bona przezywana przez nas Maciosią, jak honorować ludzi"[10].

Guwernantki nie tylko uczyły tajników konwersacji w języku francuskim, ale także *savoir-vivre'u*, muzyki, robótek ręcznych. Gdy zaś ich podopieczna dorastała, guwernantka stawała się jej „szapronem", czyli towarzyszącą nieustannie opiekunką, a po zamążpójściu panienki otrzymywała tytuł *„dame de campagne"* pani domu.

Nad edukacją młodzieńca czuwał metr – najczęściej Francuz, częstokroć przez przypadek powołany do nauczycielstwa. Wielu metrów pojawiło się w Polsce po upadku Rewolucji Francuskiej. Częstokroć byli to klerycy, księża albo też nauczyciele muzyki, którzy do polskich domów przybyli za chlebem.

Jednym z najsłynniejszych guwernerów był Mikołaj Chopin, ojciec Fryderyka, urodzony w 1771 roku w Marainville w Lotaryngii. Któż wie, może sława Stanisława Leszczyńskiego a może wpływ tamtejszego środowiska polskiego sprawił, że młody absolwent szkół średnich wyruszył w tak daleką podróż? „Okazało się, że nie na próżno wiózł śród bagażów guwernera dwa futerały, jeden ze skrzypcami, drugi z fletem, i że prócz mistrzostwa w języku francuskim, niemieckim i w kaligrafii posiadał także biegłość w tych instrumentach. (Nikt nie wiedział, że ukrytą jego pasją była poezja: pisał wiersze po francusku, a nawet po polsku, którym to językiem mówił płynnie, choć z obcym akcentem"[11]).

Francja zawitała także pod dachy polskich dworów kresowych.

W dworze Hieronimów na Grodzieńszczyźnie należącym do rodziny Dziekońskich herbu Korab wisiała akwarela przedstawiająca syna Napoleona, księcia Reichstadu. Dwór ów został nabyty około 1820 r. przez Kazimierza Dziekońskiego, uczestnika walk napoleońskich w randze pułkownika.

Sztychy francuskie zdobiły też ściany dworu w Wiszence w powiecie rohaczewskim w ziemi Mohylowskiej, zaś do dworu wiszeńskiego prowadziła aleja, którą, jak głosi legenda, kroczył w pochodzie na Moskwę sam Na-

poleon. Za dworem zaś znajdowała się „francuzowa grobla", a w lesie nieopodal dworu „majdan", gdzie Francuzi stoczyli zwycięską bitwę[12].

Biblioteki dworskie skrywały niekiedy unikalne pozycje w języku francuskim. W majątku Szabastówka, w powiecie lipowieckim ziemi kijowskiej znajdowały się autografy Laplace'a, Voltaire'a i Rousseau! A ile czasopism prosto z wielkiego świata! „Dziennik Mód Paryskich", „Illustration", „Revue de deux mondes". Ile wydań wielkiej klasyki francuskiej! Albumy pełne pocztówek z kurortów w Biarritz i Saint-Jean-de-Luz. Chwile zadumy zaklęte w fotel obity złotym adamaszkiem (mocno podniszczony egzemplarz – oczywiście Ludwik XVI). Tykanie zegara (paryski Bled z 1817 roku!). Tęsknota za światem, którego nie ma...

[1] W. Kopaliński, *Słownik mitów i tradycji kultury*, Warszawa, 1985

[2] W. Łoziński, *Salon i kobieta (Z estetyki i z dziejów życia towarzyskiego)*, Lwów 1921, s. 70.

[3] ibid., s. 70.

[4] *Dwór wiejski. Dzieło poświęcone gospodyniom polskim, przydatne i osobom w mieście mieszkającym przez Karolinę z Potockich Nakwaską*, t. 1, Lipsk 1857, s. 25.

[5] Ibid, s. XV.

[6] H. Błędowska, *Pamiątka przeszłości, wspomnienia z lat 1794-1832*, oprac. i wstęp K. Kostenicz i Z. Makowiecka, Warszawa 1960.

[7] Mowa o modnej podówczas powieści Eugeniusza Sue.

[8] K. Nakwaska, *Dwór wiejski*, t. 3, s. 148

[9] ibid., s. 148

[10] N. Kicka, *Pamiętniki*, Wstęp i przypisy J. Dutkiewicza, tekst, opracował T. Szafrański, Warszawa 1972, s. 33.

[11] K. Wierzyński, *Życie Chopina*, Białystok 1990, s. 21.

[12] Por. A. Urbański, *Memento kresowe*, Warszawa 1928, t. 3, s. 114.

Andrzej MOĆKO

Szkolnictwo wyższe w Afryce Południowej w rozwoju historycznym

Uniwersytety i szkoły wyższe na terenie obecnej Republiki Południowej Afryki sięgają swymi początkami I połowy XIX wieku. Wtedy to właśnie, w 1829 roku, założony został wysiłkiem osób prywatnych i duchowieństwa South African College w Kapsztadzie. W początkowym swoim okresie miał on za zadanie przede wszystkim przygotować młodzież do egzaminów wstępnych na Uniwersytet Londyński. W latach 1829-1874 powstają podobnego rodzaju szkoły na terenie wschodniej i zachodniej Kolonii Przylądkowej, a także w Natalu. W 1858 roku zostaje założona w Kapsztadzie Rada Egzaminacyjna (Board of Public Examiners), która została zobowiązana do przeprowadzania egzaminów studentów tych powstałych szkół.

W roku 1873 zostaje ufundowany w Kapsztadzie Uniwersytet Przylądka Dobrej Nadziei (University of the Cape of God Hope) o pełnym charakterze uniwersyteckim. Scalił on i podporządkował sobie wszystkie istniejące dotychczas niezależne college'e. Uniwersytet ten w 1874 roku podporządkował sobie także Radę Egzaminacyjną, ale jej kompetencje otrzymał w całości dopiero w 1918 roku.

Od 1910 roku, czyli od momentu gdy Związek Południowej Afryki otrzymał status dominium, rozpoczęto rozbudowę sieci uczelni na terenie całego kraju, do czego walnie przyczynił się pierwszy premier niepodległego państwa gen. Louis Botha. W początkowym okresie były to college'e i filie uniwersytetu kapsztadzkiego, ale z biegiem czasu uzyskały one samodzielność i niezależność. W okresie tym został reaktywowany South African College w Kapsztadzie, jak również powstały nowe: Victoria College w Stellenbosch, Rhodes University College w Grahamstown, Huguenot University College w Pietermaritzburgu, Transvaal University College w Pretorii i Szkoła Górnicza i Techniczna (South African School of Mines and Technology) w Johannesburgu. W kilka lat później, w okresie trwania I wojny światowej, w 1916 roku została uchwalona Ustawa Uniwersytecka (University Act of South Africa), która weszła jednak w życie dopiero w 1918 roku. Na mocy tej ustawy uniwersytet kapsztadzki został w pewien sposób uzależniony od nowopowstałego „superuniwersytetu" czyli Uniwersytetu Afryki Południowej (University of South Africa – Unisa) w Pretorii, mającego sprawować nadzór nad szkolnictwem wyższym. Wzmiankowane college'e: South African i Victoria, stały się autonomicznymi uniwersytetami w Kapsztadzie i Stellenbosch. W roku 1921 w ramach Unisy powstał Potchefstroom University College.

Z biegiem czasu wszystkie te uczelnie stały się samodzielnymi szkołami wyższymi. Wyjątkiem tutaj był tylko

Huguenot University College'e, który jako uczelnia wyższa został zamknięty w 1950 roku. Budynki zostały przejęte przez Holenderski Kościół Reformowany, który założył tu centrum szkoleniowe misjonarzy. W 1964 roku powstaje nowa szkoła wyższa – Uniwersytet Port Elizabeth (University of Port Elizabeth). Dwa lata później ludność mówiąca językiem afrikaans z Witwatersrandu otrzymała uniwersytet ze swoim językiem nauczania w postaci Rand Afrikaans University w Johannesburgu.

Szkolnictwo wyższe w Afryce Południowej było zakładane z myślą o poszczególnych grupach etnicznych. Na początku uniwersytety powstawały dla ludności białej, dopiero w okresie późniejszym dla pozostałych społeczności. Początkowo, głównie dla białych mieszkańców powstało 10 samodzielnych uniwersytetów. Pięć z nich, a mianowicie: Rand Afrikaans, Stellenbosch, Pretoryjski, Potchefstroon i Wolnego Państwa Oranii prowadziło zajęcia w języku afrikaans, cztery inne, czyli: Witwatersrand, Rhodesa, Natalski i Kapsztadzki w języku angielskim, a uniwersytet w Port Elizabeth w obu tych językach. Unisa, która rozwinęła się w jeden z największych na świecie ośrodków kształcenia korespondencyjnego uczy w dwóch językach, w tym wiele osób spoza granic RPA.

Wszystkie szkoły wyższe podlegały pod jurysdykcję Departamentu Edukacji i Kultury, pozostając pomimo to instytucjami w pełni samodzielnymi i autonomicznymi. Ich polityką kierowały własne wybierane rady i senaty. Były one w większości subsydiowane przez państwo. Formuła subsydiowania uległa pewnej modyfikacji w 1984 r., a mianowicie uległa redukcji stała dotacja wypłacana na poszczególną uczelnię. Pomimo to nadal 80% budżetu uniwersytetu stanowią subsydia państwowe.

Na mocy Ustawy Uniwersyteckiej z 1955 roku został powołany do życia Komitet Rektorów (Comittee of University Principals – CUP). Stanowił on ciało doradcze przy Ministrze Edukacji Narodowej we wszystkich materiałach związanych z edukacją uniwersytecką. Komitet ten składał się z rektorów poszczególnych szkół wyższych i w charakterze doradczym dodatkowych członków wybranych przez rady uczelniane.

Każdy uniwersytet posiadał radę przedstawicieli studenckich (students representative council – SRC), wybieraną przez samych studentów do reprezentowania ich interesów. Oprócz tego istniały oczywiście inne organizacje studenckie w poszczególnych ośrodkach akademickich. Wiele z tych organizacji wchodziło w skład Narodowego Związku Studentów Południowoafrykańskich (National Union of South African Students – Nusas), który to grupował studentów z większości anglojęzycznych uczelni kraju.

Liczba studentów w RPA stale się zwiększała, a szczególnie szybko dokonywało się to w ostatnich latach. Spośród ludności białej na uniwersytetach stacjonarnych studiowało w 1950 roku ponad 20 tys. studentów, 55 tys. w 1970 roku, 83 tys. w 1980 roku i około 100 tys. w 1988 roku. Liczba studiujących na uniwersytetach stacjonarnych była porównywalna z innymi krajami. W 1971 roku stanowili oni 1,47% ogółu ludności. Liczba ta uległa zwiększeniu w 1988 roku do ponad 2%. Jeśli doliczymy do tego studentów uczących się korespondencyjnie liczba ta znacznie wzrośnie.

W związku z tym, że Afryka Południowa była i jest państwem federalnym składającym się z kilku prowincji, każdy prowincjonalny departament edukacji posiadał własny system egzaminów maturalnych. Jednak zasady wstępu na wyższe uczelnie pozostawały w gestii jednej instytucji centralnej, a mianowicie Joint Matriculation Board (JMB), która dbała o poziom egzaminów. JMB powstała w 1918 roku razem z Unisą uzupełniając się z kompetencjami dotyczącymi egzaminów. Składała się ona z prezesa i nie więcej niż ośmiu członków wybieranych przez CUP.

W połowie lat 90. powołano nowe ciała doradcze związane z edukacją. Jedną z nich jest Rada Ministrów Edukacji (Council of Education Ministers), składająca się z ministra, wiceministrów i członków prowincjonalnych Rad Szkolnictwa. Drugą nowopowstałą instytucją jest Komitet Szefów Departamentów Edukacji (Heads of Education Departments Committee – Hedcom). W skład tego komitetu wchodzi dyrektor generalny Departamentu Edukacji, wicedyrektorzy i szefowie departamentów edukacji poszczególnych prowincji. Do ich kompetencji należy czuwanie nad wszechstronnym rozwojem szkolnictwa, koordynowanie wszelkich akcji oświatowych i współpracy pomiędzy poszczególnymi instytucjami, a także opracowywanie planów kształcenia.

Aby spełnić wymagania i dostać się na studia kandydat musiał przedstawić wyniki z sześciu wybranych przedmiotów za ostatnie lata szkoły średniej. Należało także zaliczyć na egzaminie pięć przedmiotów zbierając 950 punktów. Zaliczyć należało także jeden z języków oficjalnych jako podstawowy i drugi język jako dodatkowy.

Każdy uniwersytet poza właściwymi wydziałami posiadał różnego rodzaju jednostki naukowo-badawcze w postaci instytutów, bibliotek, muzeów czy zakładów doświadczalnych. Ich liczba zależała od wielkości uczelni, zapotrzebowania, warunków finansowych, sponsorów, itp.

Najstarszym uniwersytetem w RPA jest Uniwersytet Kapsztadzki (University of Cape Town). Został on ufundowany przez osoby prywatne i instytucje religijne w 1829 roku. Jako w pełni samodzielny i niezależny powstał on w 1918 roku na mocy ustawy z 1916 roku. Językiem wykładowym jest angielski. Gdy w 1978 roku studiowało tutaj 9.778 studentów, to dziesięć lat później liczba ta wzrosła do 12.549.

Posiadał on wydziały: humanistyczny, ekonomiczny, pedagogiczny, inżynieryjny, sztuk pięknych i architektury, prawa, medyczny, muzyczny, nauk ścisłych i nauk społecznych. Do tego dochodzą liczne instytuty naukowe afiliowane przy uczelni. Można wśród nich wymienić Centralne Laboratorium Akustyczne, Centrum Studiów Afrykańskich, Instytut Badań Górniczych, Instytut Badań nad Energią, Instytut Gospodarki Rybnej, Zespół Badań nad Medycyną Przemysłową, Instytut Kryminologii, Instytut Oceanograficzny, Instytut Fizyki Teoretycznej i Astrofizyki, Instytut Ornitologii Afrykańskiej im. Percy'ego FitzPatrica, sławne Centrum Chorób Serca i Transplantacji, wspólnie z uczelnią w Stellenbosch prowadzi Instytut Badań Nuklearnych, posiadał również Centrum Biologii Molekularnej, Zakład Archeologii Lotniczej, jak również kilka instytutów i klinik medycznych.

Oprócz głównej Biblioteki Uniwersyteckiej przy uczelni były także Biblioteka J.W. Jaggera, Biblioteka Architektury, Biblioteka Prawnicza Branda van Zyl, Biblioteka Medyczna, Biblioteka Muzyczna W.H. Bella posiadająca zbiory prawie z całej Afryki. Bardzo bogate w zbiory było Muzeum Archeologiczne. Posiadał on także placówki muzealne jak Muzeum Irmy Stern, czy Muzeum P.A. Wagnera Instytutu Mineralogii i Geologii.

Uniwersytet Natalu (University of Natal) powstał w 1909 r. z połączenia Maritzburger College i Durban Technical Institute w Pietermaritzburgu. Pierwotną jego nazwą było Natal University College. W 1922 r. zostaje przeniesiony do Durbanu, a 15 marca 1949 r. zmienia nazwę na Uniwersytet Natalu. Językiem wykładowym jest angielski, a liczba studentów w 1988 r. wynosiła 12.000.

Mogli oni studiować tam na takich kierunkach jak rolnictwo, architektura, nauki humanistyczne, ekonomia, pedagogika, inżynieria, prawo, medycyna, nauki ścisłe i społeczne. Posiadał on także instytucje naukowo-badawcze w postaci Centrum Stosowanych Nauk Społecznych, Centrum Edukacji Dorosłych, Instytut Badań Ekonomicznych, Instytut Zasobów Naturalnych, Laboratorium Językowe, Natalski Instytut Immunologiczny, Instytut Studiów Oceanograficznych, Instytut Badań nad Plazmą, Instytut Cukrownictwa, Instytut Badań nad Chorobami Tropikalnymi i Środowiskiem, Centrum Badań Wody.

Biblioteka Uniwersytecka miała swoje siedziby zarówno w Durbanie jak i Pietermaritzburgu. Główna siedziba, czyli Memorial Tower Building miała swoje oddziały w postaci bibliotek fachowych jak rolnicza, architektury, muzyki, prawa, nauk ścisłych i inżynierii. Do tego dochodziły Biblioteka Medyczna i Biblioteka Afrykańska Killie Campbella. Do ciekawszych muzeów można zaliczyć Muzeum Etnograficzne Mashu i Muzeum Mebli Williama Campbella.

Podobnej wielkości był Uniwersytet Wolnego Państwa Oranii (University of the Orange Free State) mający swoje początki w Grey College w Bloemfontein założonym w 1855 r. Nazwę na University College of O.F.S. zmienił w 1935 r., a jako pełnoprawny uniwersytet powstał na mocy ustawy z 18 marca 1950 r. Liczba studentów wynosiła w 1988 r. 9.132, a językiem wykładowym był afrikaans.

Składał się on z wydziałów: humanistycznego, rolniczego, ekonomii i administracji, pedagogicznego, prawa, medycznego, nauk ścisłych, społecznych i teologii. Mógł on poszczycić się takimi instytucjami jak Instytut Historii Współczesnej, Biuro Edukacji Uniwersyteckiej, Instytut Nauk o Środowisku, Instytut Badań nad Wodami Gruntowymi, Instytut Badań Społecznych i Ekonomicznych, Instytut badań nad Planowaniem Edukacyjnym, Instytut Badań Serca.

Biblioteka uniwersytecka składała się z trzech filii: Biblioteki Medycznej, Biblioteki Muzycznej i Biblioteki Rabie Saundersa Wydziału Rolnictwa.

Jednym z najmniejszych uniwersytetów na terenie Afryki Południowej był Uniwersytet Port Elizabeth (University of Port Elizabeth). Był on zarazem jednym z najmłodszych, gdyż powstał w 1964 r. W 1978 r. studiowało tutaj 2.920 studentów, a 10 lat później 4.321. Językiem wykładowym był tutaj angielski.

W jego skład wchodziły wydziały: humanistyczny, nauk ekonomicznych, pedagogiczny, prawa i nauk ścisłych, a także instytucje badawcze jak Biuro Prawa Handlowego, Instytut Problemów Przemysłu, Instytut Badań Przybrzeżnych, Instytut Matematyki i Nauk Ścisłych, Instytut Planowania, Zakład Rozwoju Społeczeństwa i Zakład Badań Chemicznych.

Uniwersytet Potchefstroom (Potchefstroom University for Christian Higher Education) rozwinął się z Wydziału Literatury Seminarium Teologicznego Kościoła Zreformowanego (Gereformeerde Kerk) założonego w Burgersdorp na terenie Kraju Przylądkowego w 1869 r., a następnie w 1905 r. przeniesionego do Potchefstroom. W 1921 r. został on częścią składową Unisy, a jako w pełni niezależna uczelnia rozpoczął działalność 17 marca 1951 r. W 1978 r. studiowało tutaj 6.649 studentów, a 10 lat później ponad 9.000. Językiem wykładowym był tutaj afrikaans. W 1964 r. uniwersytet otworzył filię w Vanderbijlpark na południe od Johannesburga.

W 1983 roku została ona przeniesiona do nowych budynków i oferowała studia na wydziałach: humanistycznym, nauk ekonomicznych, fizyki, pedagogicznym i inżynierskim.

Główna zaś część na kierunkach takich jak: humanistyka, nauki ekonomiczne, pedagogika, inżynieria, prawo, farmacja, nauki ścisłe i teologia. Oprócz tego przy uczelni działały m.in.: Zakład Budowy Organów i Muzyki Kościelnej, Główne Biuro Badań Ekonomicznych, Instytut Badań Ekologicznych, Instytut Studiów Futurologicznych, Instytut Farmacji Przemysłowej, Instytut Badań Lingwinistycznych i Literackich, Instytut Prasy Lokalnej w Afryce Południowej, Instytut Badań nad Siłą Roboczą i Zarządzaniem, Instytut Badań Psychologicznych, Instytut Planowania i Rozwoju, Instytut Badań nad Literaturą Dziecięcą i Muzyką Południowoafrykańską, Instytut Biokinetyki im. Johannesa van der Walta, Zakład Badań nad Mrożeniem Żywności i Rozwoju Produkcji, Zakład Doradztwa Małych Przedsiębiorstw, Zakład Badania Promieni Kosmicznych.

W skład biblioteki Ferdinanda Postmy wchodziły także biblioteka Muzyczna, Biblioteka Teologiczna i biblioteka w Vanderbijlpark.

Uniwersytet Pretoryjski (University of Pretoria) był największym uniwersytetem w Afryce Południowej. Początki jego sięgają 1908 r., kiedy Trasvaal University College rozpoczął swoje wykłady w Pretorii. W 1910 r. powstał w Pretorii niezależny college jako wspólne przedsięwzięcie South African School of Mines and Technology i pretoryjskiej filii Unisy, a jako w pełni niezależny uniwersytet rozpoczyna swą działalność 10 października 1930 r. Językiem wykładowym jest tutaj afrikaans. W 1978 r. studiowało na tej uczelni 16.726 studentów, a 10 lat później prawie 22.000.

Mogli oni studiować na takich wydziałach jak: nauk rolniczych, humanistycznym, stomatologicznym, ekonomii i nauk politycznych, pedagogicznym, inżynierskim, prawa, matematyki i nauk ścisłych, medycznym, teologicznym z dwoma sekcjami i weterynaryjnym, który swoją siedzibę miał w mieście Onderstepoort na północ od Pretorii, a od 1 stycznia 1998 r. przeniósł się do nowych

pomieszczeń. Przy uniwersytecie działały liczne instytucje naukowo-badawcze w postaci Biura Polityki Gospodarczej i Analiz, Biura Analiz Finansowych, Instytutu Mikroelektroniki im Carla i Emilii Fuchs, Centrum Stomatologicznego, Instytutu Hansa Snyckersa badającego symptomy chorób zakaźnych specyficznych dla Południowej Afryki, Instytutu Farmakologii Klinicznej, Instytutu Studiów Spraw Gospodarczych, Instytutu Fizjologii Komórkowej, Instytutu Historii Kultury, Instytutu Badań Geologicznych, Instytutu Badań Misjologicznych, Instytutu Studiów Strategicznych, Instytutu Badań Górniczych, Instytutu Badań Nasion im Margereth Mes, Południowoafrykańskiego Instytutu Rolnictwa Ekstensywnego, Instytutu Sportu i Treningów, Zakładu Badań Neuro i Elektrofizjologii i Zakładu Badań Fotobiologicznych.

Główną biblioteką była Biblioteka im. Merensky'ego z jej filiami, w tym trzema bibliotekami medycznymi, weterynaryjną, muzyczną i rolniczą.

Uniwersytet Rand Afrikaans (Rand Afrikaans University) powstał w Johannesburgu na mocy ustawy parlamentarnej w 1966 r. Zajęcia rozpoczęły się jednak dopiero 13 lutego 1968 r. W 1978 r. studiowało 3.792 studentów, a w 1988 r. – 8.432. Językiem wykładowym był tutaj również afrikaans.

Posiadał on wydział: nauk humanistycznych, ekonomii i zarządzania, pedagogiczny, inżynieryjny, prawa i nauk ścisłych. Dysponował on także instytucjami badawczymi takimi jak Zespół Badań Mineralogicznych, Biuro Edukacji Uniwersyteckiej, Centrum Badań nad Działalnością Rewolucyjną, Centrum Studiów Islamistycznych, Instytut Studiów Amerykańskich, Instytut Studiów nad Energią, Instytut Studiów nad Rozwojem Terenów Miejskich i Wiejskich, Instytut Językoznawstwa, Grupa Badawcza nad Biochemią Radiacyjną, Zespół Badań nad Magnetyzmem, Zespół Badań nad Ekonomią Transportu, Zakład Nauczania J. Afrikaans, Zakład Elektroniki.

Uniwersytet posiadał również Bibliotekę H.F. Vervoerda i bogate zbiory w Muzeum Archeologii i Antropologii.

Uniwersytet Rhodesa (Rhodes University) rozwinął się z Andrew's College w Grahamstown, założonego w 1855 r. Niezależnie ćwiczenia studenckie wprowadzono w 1878 r. 31 maja 1904 roku powstał Rhodes University College, który stał się częścią Unisy w 1918 roku. Pełną samodzielność uczelnia otrzymała 10 maja 1951 r. na mocy ustawy z 1949 roku. W roku 1978 studiowało tutaj 2.776 studentów, a 10 lat później 3.651. Językiem wykładowym był angielski.

Dysponował on wydziałami: humanistycznym, handlu, teologii, pedagogiki, prawa, farmacji, nauk ścisłych i nauk społecznych. Do tego dochodziły jeszcze Instytut Badań Biofarmaceutycznych, Centrum Rozwoju Społecznego, Zakład Słownika Języka Południowoafrykańskiego Angielskiego, Instytut Aeronomii Hermanna Ohlthavera, Zespół Badań Hydrologicznych, Instytut Studiów nad J. Angielskim w Afryce, Instytut Badań Społecznych i Ekonomicznych, Instytut Badań nad Przemysłem Skórzanym, Centrum Nauk o Sporcie, Instytut Ichtiologii J.L.B. Smitha, Zakład Upraw Ananasa, Instytut Rhodesa Badań nad Słodką Wodą.

Oprócz Biblioteki Uniwersyteckiej uczelnia posiadała Bibliotekę Cory i Bibliotekę Instytutu Badań nad Przemysłem Skórzanym. Częścią wydzieloną zasobów Biblioteki Cory jest Archiwum Kościoła Metodystów Afryki Południowej. Przy uniwersytecie istniały także dwa muzea: Muzeum Alby i Muzeum Narodowej Literatury Angielskiej.

Uniwersytet Afryki Południowej (University of South Africa) w Pretorii jest bezpośrednim spadkobiercą Uniwersytetu Przylądka Dobrej Nadziei, na którym to studenci studiowali indywidualnie, a na uczelnię przyjeżdżali tylko w celu złożenia egzaminów. Ten sam system przyjęła założona w 1916 r. Unisa. Każda z uczelni preferowała własny system nauczania. W 1945 roku, kiedy to części składowe Unisy usamodzielniły się, rada uczelniana postanowiła powołać wydział studiów eksternistycznych, który to miał zajmować się studiami korespondencyjnymi. W 1951 r. kiedy Unisa została pełnoprawnym uniwersytetem kształcenia korespondencyjnego, liczba studentów szybko uległa zwiększeniu od 5.000 w 1954 r., do 29.00 w 1972 r., 40.000 w 1975 r. i 103.048 w 1988 roku. Liczba studentów murzyńskich wzrosła w przeciągu 1975-1988 roku o 572%, kolorowych o 229%, a Azjatów o 275%. Studenci, którzy przystępowali do egzaminów w ponad 700 ośrodkach pochodzili ze wszystkich części świata. Większość jednak była z sąsiednich krajów, takich jak: Zimbabwe, Botswana, Malawi, Angola, Lesotho, Zambia czy Mozambik. Językami nauczania były tu angielski i afrikaans. Kształcili się oni na wydziałach humanistycznym, ekonomii i zarządzania, pedagogicznym, prawa, nauk ścisłych i teologicznym. Oprócz tego istniały przy uczelni takie instytucje jak: Biuro Informacji Zarządzania, Biuro Badań Sprzedaży, Centra Badań Edukacyjnych i Rozwoju Szkolnictwa i Bibliotekoznawstwa i Informacji, Instytut Nauk Behawioralnych, Instytut Kryminologii, Instytut Prawa Porównawczego i Zagranicznego i Instytut Studiów Teologicznych. Uniwersytet posiadał także bibliotekę Sanlam.

Uniwersytet Stellenbosh (University of Stellenbosh) rozwinął się ze Stellenbosh Gymnasium założonego w 1866 roku. W 1874 roku ufundowano przy nim wydział humanistyczny jako część składową Uniwersytetu Przylądka Dobrej Nadziei. Szkoły te uległy połączeniu i w 1881 roku powstał Stellenbosh College, który w sześć lat później zmienił nazwę na Victoria College of Stellenbosh na cześć angielskiej królowej. Jako samodzielna uczelnia rozpoczął on działalność 2 kwietnia 1918 roku na podstawie ustawy sprzed dwóch lat. W 1978 roku studiowało tu 11.270 studentów, a w 1988 roku 13.927. Językiem wykładowym był tutaj afrikaans.

Studenci zdobywali wiedzę na następujących wydziałach: rolniczym, humanistycznym, handlu i administracji, stomatologicznym, pedagogicznym, inżynierskim, leśnictwa, prawa, medycznym, nauk wojskowych, nauk ścisłych i teologicznym. Wydziały leśnictwa i nauk wojskowych były jedynymi tego typu w kraju. Wydział nauk wojskowych mieścił się w Saldanha Bay na zachodnim wybrzeżu. Oprócz tego istniały takie instytuty jak: Biuro Inżynierii Chemicznej, Instytut Badań Ekonomicznych, Instytut Mechaniki, Instytut Edukacji Medycznej i Dentystycznej, Zakład Słownika Języka Afrikaans, Instytut

Edukacji Uniwersyteckiej, Centrum Obsługi Elektroniki, Centrum Obsługi Mechaniki, Centrum Psychologiczne, Instytut Badań nad Transportem i Robotyzacją, Klinika Chorób Dziecięcych, Instytut Ekonomii Rolnictwa, Instytut Analiz Kartograficznych, Instytut Elektroniki, Instytut Badań Futurologicznych, Instytut Stosowanych Nauk Komputerowych, Instytut Nauk Zarządzania, Instytut Nauczania Matematyki i Nauk Ścisłych, Instytut Teoretycznej Fizyki Nuklearnej, Instytut Inżynierii Przemysłowej, Instytut Badań Planistycznych, Instytut Inżynierii Strukturalnej, Instytut Studiów Marksistowskich, Instytut Studiów nad Sportem, Zespół Badań nad Zastosowaniem Komputerów w Językach i Tekstach Starego Testamentu, Instytut Socjologii Rozwoju, Instytut Demografii Gospodarczej, Instytut Transportu, Instytut Cytogenetyki, Instytut Kardiologii Molekularnej, Zespół Badań Epidemiologii Stomatologicznej.

Główną biblioteką była Biblioteka J.S. Gericka posiadająca sześć filii. Oprócz tego istniało 16 bibliotek wydziałowych. Swoją bibliotekę miało także afiliowane przy uczelni Konserwatorium Muzyczne. Uniwersytet posiadał także Muzeum Archeologii i Antropologii, Muzeum D.F. Malana i Muzeum Zoologiczne Johna R. Ellermana.

Uniwersytet Witwatersrand (University of the Witwatersrand) jest największym w RPA uniwersytetem anglojęzycznym. Rozwinął się on z Południowoafrykańskiej Szkoły Górniczej założonej w 1896 r. w Kimberley i przeniesionej w 1904 r. do Johannesburga jako część Transvaal Technical Institute (TTI). TTI w 1905 r. rozpoczął naukę również na kierunkach humanistycznych, nauk ścisłych i prawa. Rok później przekształcił się w Transvaal University College (TUC), a w 1907 r. utworzył własną filię w Pretorii. W 1910 r. parlament Transwalu utworzył dwie oddzielne uczelnie: TUC w Pretorii i Południowoafrykańską Szkołę Górniczą i Technologiczną w Johannesburgu. Obie te uczelnie stały się częściami Unisy w 1918 roku. W 1920 r. Szkoła Górnicza uległa przekształceniu w University College, a 1 marca 1922 r. w Uniwersytet Witwatersrand.

W 1978 r. studiowało tu 11.749 studentów, natomiast 10 lat później 16.166 na wydziałach: architektury, humanistycznym, handlu, stomatologii, pedagogicznym, inżynierskim, prawa, medycznym, nauk ścisłych i administracji przedsiębiorstw. Przy uniwersytecie działały także instytucje badawcze w postaci Instytutu Studiów Afrykańskich, Zakładu Badań Archeologicznych, Instytutu Badań Geofizycznych Bernarda Price'a i Instytutu Badań Paleontologicznych tego samego imienia, Zespołu Badań Kardiologicznych, Centrum Studiów Prawa Stosowanego, Zespołu Badań Polityki Edukacyjnej, Zespołu Badań Metabolizmu Medycznego, Instytutu Studiów Portugalskich Ernesta Oppenheimera, Planetarium, Kliniki Mowy i Słuchu, Centrum Badań Nuklearnych Schonland, Instytutu Badań Stomatologicznych, Instytutu Transplantacji i Układu Krążenia.

Głównymi bibliotekami uniwersyteckimi były Biblioteka Williama Cullena i Biblioteka Wartenweiler. Uniwersytet posiadał także bogate zbiory muzealne: Muzeum Historii Medycyny Adlera, Muzeum Archeologiczne, Muzeum Bleloch ze zbiorami geologicznymi, Muzeum Brebnera z eksponatami chirurgicznymi, Muzeum Stomatologiczne, Muzeum Hunterian ze zbiorami z dziedziny anatomii, Herbarium Mossa, Muzeum Położnictwa i Ginekologii, Muzeum Radia i Elektroniki, Muzeum Paleontologiczne, Muzeum Roberta Brooma, Muzeum Antropologii Społecznej, Muzeum Sutherland Strochan z eksponatami z patologii i Muzeum Zoologiczne.

Szkolnictwo ludności murzyńskiej w swoim początkowym okresie zdominowane było przez szkoły misyjne różnych wyznań. Od 1904 roku do 1954 roku nadzór nad tym szkolnictwem prowadziły poszczególne kościoły i ministerstwa edukacji poszczególnych rządów prowincjonalnych, a szczególnie wydziały oświaty tubylczej. Sprawy te na szczeblu centralnym zostały unormowane ustawą z 1953 r. (Black Education Act). W obecnym czasie ponad 70% ludności murzyńskiej potrafi pisać i czytać, a ponad 80% dzieci objętych jest obowiązkiem szkolnym.

W 1988 r. na różnego rodzaju uniwersytetach studiowało około 75.000 studentów murzyńskich. W tej liczbie 33.000 na czterech uniwersytetach utworzonych specjalnie dla nich, mniej więcej tyle samo na Unisie i ponad 8.000 na pozostałych uczelniach kraju. Szkolnictwo wyższe dla ludności czarnej datuje się od 1959 roku, gdy na podstawie Ustawy o Rozszerzeniu Edukacji Uniwersyteckiej (Extension of University Education Act) utworzono dwie uczelnie: Uniwersytet Północy i Uniwersytet Zululandu. Uniwersytety te do roku 1970 stanowiły część składową Unisy, a następnie uzyskały pełną samodzielność i autonomię. Od 1987 roku wszystkie uczelnie, w tym także tzw. „czarne" zaczęła obejmować Ustawa Uniwersytecka z 1955 roku. Wszystkie one były pełnoprawnymi instytucjami wyższego kształcenia, miały te same prawa i były zarządzane identycznie jak wszystkie pozostałe uczelnie w kraju.

Pod koniec lat 80. było około 350 osób spośród ludności murzyńskiej z akademickimi tytułami naukowymi, w tym ponad 100 profesorów. W 1961 roku takich osób było tylko 14.

Uniwersytet Zululandu (University of Zululand) miał swoją siedzibę w mieście Ngoya niedaleko Empangeni. Uczelnia ta w 1988 roku liczyła 5.150 studentów. Miał on także swoją filię w Umlazi pod Durbanem. Zajęcia w większości wypadków były prowadzone po angielsku. Uczelnia ta posiadała wydziały: humanistyczny, ekonomii i nauk politycznych, pedagogiczny, prawa, nauk ścisłych i teologii. Przy uniwersytecie działało także Centrum Bussinesu, Biuro Edukacji Pozaszkolnej, Zespół Nowych Ruchów Religijnych i Kościołów Niezależnych.

Drugim uniwersytetem był Uniwersytet Północy (University of the North), który znajdował się w Turfloop niedaleko Pietersburga. Liczba studentów w 1988 roku wynosiła 8.867. Filia tej uczelni znajdowała się w mieście Phuthaditijhaba na byłym terytorium autonomicznym Qwaqwa. Językiem wykładowym był angielski. Studiowano tu na wydziałach: humanistycznym, matematyki i nauk naturalnych, ekonomii i administracji, pedagogicznym, teologicznym, prawa, rolnictwa i nauk o zdrowiu. Oprócz tego było tu Biuro Doradztwa Ekonomicznego, Centrum Dokumentacji Ludów Sotho, Venda, Xitsonga i Centrum Badań Limnologicznych.

Uniwersytet Medyczny Afryki Południowej (Medical University of Southern Africa) znajduje się w mieście Garankuwa 30 km na północ od Pretorii. Powstał on na mocy ustawy parlamentarnej w 1976 roku. Na początku miał on za zadanie przygotowywać lekarzy, dentystów, weterynarzy i personel paramedyczny spośród ludności murzyńskiej. Językiem wykładowym był tu angielski. W 1988 roku kształcił on 1.473 studentów na wydziałach medycznym, stomatologicznym i nauk weterynarskich.

Uniwersytet Vista (Vista University) powstał w 1981 roku i głównym jego zadaniem było przekazać wiedzę uniwersytecką dla murzyńskich mieszkańców dużych aglomeracji. Główna siedziba tej uczelni znajdowała się w Pretorii. Natomiast pozostałych osiem campusów usytuowanych zostało na przedmieściach dużych miast jak Mamelodi (Pretoria), Soweto (Johannesburg), Mangaung (Bloemfontein), Zwide (Port Elizabeth), Sebokeng (Vereeniging), East Rand (Springs), Thabong (Welkom). Liczba studentów w 1988 roku wynosiła 21.737. Studiowali oni na wydziałach: humanistycznym, ekonomii i zarządzania, nauk ścisłych i pedagogicznym. Każdy z campusów uniwersytetu miał swoją oddzielną bibliotekę.

Ludność kolorową na poziomie studiów wyższych kształcił Uniwersytet Zachodniego Przylądka (University of the Western Cape) w Bellwille. Powstał on w 1960 roku i miał dostarczyć wyższego wykształcenia dla społeczności kolorowych. W początkowym okresie stanowił on część składową Unisy. Obecnie jest on jak wszystkie pozostałe uczelnie samodzielnym i pełnoprawnym uniwersytetem. Oferował on różnego rodzaju studia na takich wydziałach jak: humanistyczny, nauk ścisłych, ekonomii i zarządzania, pedagogiki, teologii, stomatologiczny, prawa i ochrony zdrowia.

W 1960 roku naukę na nim rozpoczynało 164 studentów, szybko jednak ich liczba wzrastała. Założony jako uczelnia dla kolorowych z biegiem czasu zaczął przyjmować także studentów innych ras. W 1988 roku studiowało tutaj 10.600 studentów, w tym 1.363 studentów murzyńskich. Podobnie wielu kolorowych studiowało na innych uczelniach w całym kraju.

Swoją uczelnię miała także ludność pochodzenia hinduskiego. Dla niej przeznaczony był Uniwersytet Durbański (University of Durban – Westville), położony w Chiltern Hills w Westville, 12 km na zachód od Durbanu. Studenci mogli kształcić się na dziewięciu wydziałach takich jak: humanistyczny, handlu i administracji, pedagogiczny, inżynierski, ochrony zdrowia, prawa, nauk ścisłych i teologiczny.

Zajęcia na Wydziale Humanistycznym obejmowały nie tylko przedmioty typowe dla kultury zachodniej, ale także języki, religie, filozofię i kulturę Środkowego i Dalekiego Wschodu. Natomiast Wydział Ochrony Zdrowia oferował liczne tytuły w zakresie specjalności paramedycznych. Jako jedyny w Natalu przyznawał on tytuł Master of Business Administration (MBA).

Uczelnia ta posiadała około 360 nauczycieli akademickich i 7.300 studentów. Większość z tej liczby stanowili Hindusi, ale uniwersytet otwarty był również na pozostałe grupy rasowe. Prowadzone badania w większości przypadków nastawione były na ludność hinduską.

Przy uniwersytecie istniały cztery akademiki oferujące pełne utrzymanie dla ponad 1.000 studentów. Mieszkania i wyżywienie w tych akademikach były znacznie tańsze niż na innych uczelniach RPA. Od 1961 roku do lat 80. uniwersytet ten nadał ponad 12.000 stopni naukowych i dyplomów.

Do tego należy dodać również uniwersytety założone swego czasu na terenie niepodległych państw utworzonych w granicach RPA. Były to Uniwersytet Bophutatswany (University of Bophutatswana) w Mmabatho, Uniwersytet Fort Hare (University of Fotr Hare) znajdujący się na terenie Ciskei, Uniwersytet Transkei (University of the Transkei) w Umtacie i Uniwersytet Vendy (University of Venda) w Thohoyandou. Wraz ze zmianami politycznymi w Afryce Południowej w pierwszej połowie lat 90. uczelnie te włączono w sieć uniwersytecką RPA.

W połowie lat 90. powstała jeszcze jedna nowa uczelnia, a mianowicie Uniwersytet Północno-Zachodni (University of the North-West). Obrał on swoją siedzibę w mieście Mafikeng w pobliżu granicy z Bostwaną.

Oprócz uniwersytetów należy wspomnieć o szkołach specjalistycznych mających charakter uczelni wyższych lub półwyższych. Jako przykład można tutaj podać Szkołę Kolejową w Esselen Park w pobliżu Pretorii posiadającą swoje filie w Bloemfontein, Durbanie, Johannesburgu, Kapsztadzie, Port Elizabeth i Pretorii. Inną uczelnią specjalistyczną jest Szkoła Policji w Pretorii. Oficerów floty handlowej szkoliła Akademia Marynarki Handlowej im Generała Bothy w Table Bay koło Kapsztadu. Pracownicy leśnictwa i parków narodowych zdobywali wykształcenie w Szkole Leśnictwa w Saasveld w Zachodniej Prowincji Przylądkowej. Początkowo jako szkoła dla kolorowych w 1964 roku powstał College Rolniczy w Cromme Rhee niedaleko od Stellenbosch.

Bibliografia:

L. Callinicos, *People's History of South Africa*, t. 1-3, Johannesburg 1981-1993.

M. Cross, *Resistance and Transformation: Education, Culture and Reconstruction in South Africa*, Johannesburg 1992.

T.R.H Davenport, *South Africa: A Modern History*, Basingstoke 1991.

Education of the crossroads: papers to mark 75 year of teacher education at the University of Cape Town 1911-1986, Rondenbosch 1987.

K. Hartshorne, *Crisis and Challenge: Black Education 1910-1990*, Kapsztad 1992.

C.W. De Kiewiet, *A History of South Africa. Social and Economic*, Londyn 1957.

D.W. Kruger, *The Making of Nation. A History of Union of South Africa 1910-1961*, Johannesburg 1969.

Kwaliefikasiestruktuur vir universiteite in Suid Afrika, Pretoria 1987.

G.H.L. Le May, *The Afrikaners: A Historical Interpretation*, Oxford 1995.

The Oxford History of South Africa, pod red. M. Wilson i L.M. Thompson, t. 1-2, Oxford 1969-1971.

S.J.J. van Rensburg, *Eie staat vir die Afrikaner*, Pretoria 1987.

Statistic in Brief. Kern statistieke 1993, Pretoria 1993.

L. Thomson, A. Prior, *South African Politics*, Londyn 1983.

Venster op die universitiet, Potchefstroom 1988.

Wojciech ŚLESZYŃSKI

"W CZELUŚCIACH AFRYKI"

Uratować Dr. Emina Paszę – ostatniego gubernatora Sudanu

W latach 1872-1880 gubernatorem Sudanu z ramienia rządu egipskiego był gen. Charles Gordon, postać bardzo popularna w Wielkiej Brytanii, często określany mianem „Christian Soldier". Gordon został samodzielnym władcą w Sudanie, gubernatorami prowincji mianował ludzi zaufanych, głównie Europejczyków, m. in. Włocha – Romdo Gessi, Rudolfa Slatina[1] czy Mohammeda Emina (Emina Paszę)[2].

W sierpniu 1881 roku, w czasie zakończenia muzułmańskiego święta Ramadan Mohammed Ahmed ogłosił się wysłannikiem Allaha i przyjął imię Mahdi. Przystąpił on do organizowania oporu przeciwko administracji egipskiej. Szybko stał się powszechnie uznanym przywódcą powstania, które objęło cały Sudan. Zwolennicy Mahdiego zajmowali po kolei wszystkie miasta w Sudanie. W listopadzie 1883 roku wojska Mahdystów rozgromiły 10-tysięczny korpus anglo-egipski. Chartum i kilka garnizonów, głównie na południu, znalazło się w izolacji[3].

Anglicy chcąc uratować prowincję, postanowili wysłać gen. Gordona do Chartumu. W zależności od rozwoju sytuacji miał on albo opanować bunt, albo zorganizować ewakuację znajdującego się w Chartumie garnizonu. Większość społeczeństwa brytyjskiego wierzyła, iż sama obecność Gordona w Sudanie uratuje prowincję przed islamskimi wojownikami. Wkrótce jednak po przybyciu Gordona do Chartumu, 12 marca 1884 roku miasto zostało okrążone przez wojska Mahdiego. Rozpoczęła się blokada Chartumu. Brytyjski rząd Gladstone'a postanowił wysłać do Sudanu odsiecz pod dowództwem gen. Wolseley'a. Oddziały gen. Wolseley'a przybyły pod Chartum dokładnie 2 dni za późno. Miasto po długotrwałym oblężeniu i krwawej walce zostało wzięte szturmem 25 stycznia 1885 roku. Generał Gordon i większość obrońców zginęła w czasie rzezi, która rozpętała się po zdobyciu Chartumu. Kiedy depesza gen. Wolseley'a zawierając słowa "Too late" dotarła do Wielkiej Brytanii, w kraju zapanowała konsternacja. Zrozumiano, że największa światowa potęga nie była w stanie zorganizować odsieczy, która potrafiłaby uratować swojego wiernego żołnierza[4].

Ostatnią niezajętą przez Mahdystów częścią Sudanu była Equatoria (Prowincja Równikowa), na czele z gubernatorem Eminem Paszą – ta najbardziej na południe wysunięta prowincja, do tej pory nienarażona była na ataki wojsk Mahdiego. Jednak po upadku Chartumu spodziewano się rychłego ataku na tę ostatnią "wolną" placówkę. Emin Pasza w listach wysyłanych do Europy apelował o pomoc[5]. Apel spotkał się ze zrozumieniem szczególnie w Wielkiej Brytanii, gdzie pamięć o niedawnym upadku Chartumu i śmierci Gordona ciągle pozostawała żywa. Na łamach 'Timesa' zaczęto propagować ideę wysłania pomocy do Emina[6]. Przypominano dokonania Paszy dla światowej nauki, wychwalano jego współpracę z British Museum, do którego gubernator Prowincji Równikowej wysłał tysiące starannie przygotowanych skór zwierząt i ptaków, tysiące egzemplarzy roślin, opatrzonych naukowymi notatkami[7].

Emin Pasza – gubernator Prowincji Równikowej. B. Farwell, *The Man Who Presumed*, New York 1989.

W Wielkiej Brytanii został zawiązany 'Komitet w celu ratowania Emina Paszy', na czele z Sir Williamem MacKinnonem i J. F. Huttonem[8]. W październiku 1886 roku Komitet zwrócił się o poradę do największego ówczesnego autorytetu w sprawach Afryki, Henry M. Stanley'a[9]. W opinii Stanley'a ekspedycja miała duże szanse powodzenia, pod warunkiem wybrania trasy z zachodu na wschód. Głównym argumentem miała być rzeka Kongo (jako dogodny szlak komunikacyjny), jak i znikoma dezercja Zanzibarczyków, którzy idąc w kierunku wyspy nie mieliby powodów do ucieczki.

Stanley, po przedstawieniu swojego pomysłu Komitetowi, w połowie listopada 1886 roku udał się do Stanów Zjednoczonych z serią odczytów na temat Afryki. 11 grudnia 1884 roku Henry M. Stanley otrzymał telegram od Williama MacKinnona z propozycją objęcia kierownictwa i organizowania ekspedycji. Wielki podróżnik niezwłocznie powrócił do Anglii i już w czasie świąt Bożego Narodzenia omawiał z nowymi pracodawcami szczegóły przyszłej wyprawy[10].

Zdołano zebrać potrzebną sumę 20000 funtów (w tym f 10000 ofiarował rząd egipski). Stanley przystąpił do kompletowania składu osobowego wyprawy.

Henry M. Stanley – zdjęcie wykonane w 1890 roku. B. Farwell, *The Man Who Presumed*, New York 1989.

Ostatecznie z nadesłanych kilkuset zgłoszeń wybrał 8 osób. Byli to:

William Bonny – lekarz, mający już za sobą służbę w Sudanie i Afryce Południowej,

John Rose Troup – współpracował ze Stanley'em w Kongo,

William Grant Stairs – porucznik, inżynier z Królewskiego Korpusu Inżynieryjnego,

Edmund Musgrave Barttelot – major, wiele lat służył w Sudanie i Afganistanie,

Robert Henry Nelson – kapitan, służył w Afryce Południowej, szczególnie odznaczył się w walkach z Zulusami,

Arthur J. Mounteney-Jephson – nigdy nie uczestniczył w żadnej wyprawie badawczej, ale był kuzynem hrabiny Countess de Noailles, która ofiarowała na cele ekspedycji f 1000 (temu argumentowi członkowie Komitetu nie mogli się oprzeć),

Rolf Leslie – lekarz, pracował w Kongo,

James S. Jameson – uczestniczył w licznych wyprawach badawczych do Indii, Stanów Zjednoczonych, Afryki Południowej, na Borneo i Cejlon. Wpłacił na konto ekspedycji f 1000[11]. Z każdym z członków ekspedycji została podpisana umowa, która ustalała relację pomiędzy Stanley'em a jego podwładnymi. Podpisany dokument zabraniał m. in. opublikowania jakiegokolwiek sprawozdania z wyprawy wcześniej niż sześć miesięcy po wydaniu książki Stanley'a[12].

14 stycznia 1887 roku Stanley udał się do Brukseli na spotkanie z królem Leopoldem II. Król Belgów zobowiązał się udzielić pomocy kierowanej przez Stanley'a ekspedycji. Wolne Państwo Kongo miało udostępnić wyprawie parowce kursujące po Kongo. Nieoficjalnie było wiadomo, że Leopold II udzielił Stanley'owi poufnych instrukcji. Król zainteresowany był przyłączeniem Equatorii pod rządem Emina Paszy do Wolnego Państwa Konga. Podobne plany co do osoby Emina mieli też Brytyjczycy, którzy finansując wyprawę mieli nadzieję, że ta ostatnia sudańska prowincja zostanie włączona do angielskiej strefy wpływów w Afryce Wschodniej. Stanley postawiony został w trudnej sytuacji, lojalność wobec swoich obecnych mocodawców musiała wiązać się ze zdradą Leopolda II – poprzedniego chlebodawcy. Wielki podróżnik zdawał się nie przejmować zaistniałą sytuacją, postanowił przedstawić Eminowi obie propozycje i pozostawić mu prawo ewentualnego wyboru jednej z nich[13].

27 stycznia 1887 roku Stanley przybył do Aleksandrii. Tutaj problemy związane z wyprawą omawiał z kedywem Egiptu – Tewfikiem i z brytyjskim konsulem generalnym Sir Evelyn Baringiem. Stanley otrzymał od kedywa list do Emina Paszy, w którym władca Egiptu decyzję o powrocie lub pozostaniu w Equatorii pozostawiał Eminowi, zastrzegając, iż jeżeli pozostanie w prowincji, rząd Egiptu nie będzie ponosił odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo. W Egipcie Henry M. Stanley spotkał doktora Thomasa Heazle'a Parke'a, którego postanowił przyjąć na członka swojej ekspedycji jako głównego lekarza[14].

22 lutego 1887 roku Stanley przybył na Zanzibar. Przy organizowaniu potrzebnej liczby tragarzy pomagał mu brytyjski agent Edmund Mackenzi[15]. Na wyspie, wielki podróżnik prowadził w imieniu Leopolda II pertraktacje z Tippu-Tipem, który był niekwestionowanym władcą terenów rozciągających się pomiędzy Lualabą a Jeziorem Tanganika. Król Belgów zaproponował Tippu-Tipowi objęcie stanowiska gubernatora Stanleyville. Stacja ta została opuszczona w 1886 roku przez przedstawicieli Wolnego Państwa Kongo w wyniku walk z kuzynem Tippu-Tipa, Raszidem. W obecności brytyjskiego konsula generalnego na Zanzibarze – Molmwooda podpisano umowę, w której Tippu-Tip zobowiązał się do powstrzymania handlu niewolnikami na swoim terytorium i prowadzenia działań na rzecz normalizacji stosunków między ludnością arabską a urzędnikami WPK. Leopold II mianował Tippu-Tipa gubernatorem Górnego Konga i jako urzędnikowi WPK wyznaczył miesięczne wynagrodzenie w wysokości 30 funtów. W Stanleyville miała zostać wywieszona flaga Wolnego Państwa Konga. Podpisany układ był korzystny dla obu stron, Leopold II zyskiwał wpływowego sojusznika i formalnie przyłączył tereny znajdujące się pod kontrolą Tippu-Tipa. Tippu-Tip zaś zagwarantował sobie zachowanie dotychczasowej pozycji na obszarze pomiędzy Lualabą a Jeziorem Tanganika[16].

Stanley podpisał również z Tippu-Tipem drugą umowę, w której arabski handlarz zobowiązał się dostarczyć Stanley'owi 600 tragarzy. Mieli oni udać się z ekspedycją w rejon Jeziora Alberta niosąc zaopatrzenie dla Emina Paszy. Z powrotem, jako zapłatę za wykonaną pracę,

mieli zabrać zgromadzone w Equatorii wielkie ilości kości słoniowej[17].

Po załatwieniu wszelkich formalności cała wyprawa, licząca 805 ludzi, 24 lutego 1887 roku opuściła Zanzibar. Stanley miał pod swoimi rozkazami: 9 białych oficerów, 623 Zanzibarczyków, 62 Sudańczyków, 13 Somalijczyków i 97 osobową grupę Tippu-Tipa udającą się przez Kongo do Stanleyville[18].

Ekspedycja opływając Afrykę od południa (9 marca Cape Town), 18 marca dopłynęła do ujścia rzeki Kongo – Banana Point. Tutaj wyprawa ratunkowa, nazywana często przez prasę 'Relief Hurricane' spotkała się z pierwszymi trudnościami. Część parowców nie była jeszcze gotowa do drogi, a urzędnicy WPK sceptycznie odnosili się do możliwości powodzenia wyprawy. Oficerowie Stanley'a byli wyraźnie przygnębieni, już na samym starcie natrafiono na trudności. Stanley przyzwyczajony do tego typu kłopotów w Afryce, sarkastycznie wyrażał się o swoich towarzyszach: "(...)*dziwiłem się tylko, że nowi znajomi* (urzędnicy WPK) *nie zaprowadzili ich* (towarzyszy Stanley'a), *jeszcze na przechadzkę na cmentarz, aby mieć satysfakcję pokazania im nagrobków ludzi młodych, równie obiecujących, jak oni*".[19].

Po kilku dniach oczekiwania, ekspedycja została zaokrętowana na parowce: 'K. A. Nieman', 'Albuquerque', 'Sierpa Pinto' i odpłynęła do Matadi, gdzie przybyła 27 marca 1887 rok[20]. Następnie już lądem 21 kwietnia dotarła do Leopoldville. Dalszą drogę miano odbyć wolnymi od stopni wodnych i katarakt rzekami Kongo i Aruwimi. Pierwsze dni trwania wyprawy przynosiły już pierwsze rozczarowania. James S. Jameson w liście do żony pisał: "*All my lovely dreams have beeen very roughly knocked on the head.* (...)*I started one day as rear guard a little after 6 a. m., and did not reach camp until after 6 p. m., with not a quarter hour's rest all day*".[21]

Większość zaopatrzenia i członków wyprawy zaokrętowana na parowce 'Stanley', 'Henry Reed', 'En Avant', 'Florida', udała się w górę rzek[22]. Na wyposażeniu ekspedycji znajdowała się składana metalowa łódź (8,5 m długości, 1,8 szerokości i 0,75 zanurzenia) podzielona na 12 sekcji o wadze 24 kg. Posiadano olbrzymi zapas strzelb i prochu, wydawało się, iż to właśnie broń będzie najbardziej potrzebna Eminowi Paszy. Jako ciekawostkę należałoby dodać, że ekspedycja kierowana przez Stanley'a jako pierwsza posiadała i użyła w Afryce karabin maszynowy (typu Maxim).

15 września 1887 roku parowce przybyły do wioski Yambuya na lewym brzegu rzeki Aruwimi. Miała ona stać się główną bazą ekspedycji w tej części Afryki. Stanley podzielił wyprawę na dwie części. Pierwsza pod jego przywództwem, miała niezwłocznie udać się w rejon Jeziora Alberta, zabierając część zapasów (głównie broń). Zachodziło podejrzenie, że Emin tak jak Gordon w Chartumie znajduje się w okrążeniu i odlicza dni do przybycia ekspedycji ratunkowej. Druga, główna część ekspedycji pod dowództwem majora Barttelota miała pozostać w Yambuya, oczekując przypłynięcia parowca 'Stanley' z resztą zaopatrzenia i przybycia 600 obiecanych tragarzy Tippu-Tipa[23].

Z majorem w Yambuya mieli pozostać Jameson i Ward (przyłączył się do ekspedycji w Kongo). Do reszty współpracowników, Stanley 26 czerwca 1887 roku wydał instrukcję, w której informował:

"Pojutrze, dnia 28 czerwca, mam zamiar wyruszyć w pochód.

Przestrzeń, jaką mam przebyć, wynosi 610 km. w linii prostej, a nawet 880 km., na wypadek, gdybyśmy nie znaleźli drogi niezbyt krętej.

Jeżeli będziemy przebywali 16 km. dziennie, będziemy w stanie dotrzeć do jeziora Alberta w przeciągu dwóch miesięcy. (...)

Pojęcia o charakterze więce niż połowy drogi, jaką przebędziemy, nabierzecie, patrząc na otaczającą nas okolicę. Będzie to kraj, pokryty krzakami i lasami, w których ścieżki mniej albo więcej kręte, przez krajowców wydeptane, łączyć będą rozmaite osady zamieszkujących je szczepów. (...)

Krajowcy będą uzbrojeni w tarcze, dzidy i noże, albo łuki i strzały.

Ponieważ zamierzam wykonać przez ten kraj marsz szybki, krajowców zaskoczymy niespodziewanie. Nie będą mogli połączyć się i wystąpić przeciwko nam z siłą większą, nie będą bowiem mieli czasu na to. Kroki nieprzyjazne, jakieby nas spotkały, będą wynikiem gwałtownego naporu albo złości. Z tego powodu oficerowie winni zaczepki podobne natychmiast odeprzeć i dbać zawsze o to, aby karabiny były nabite, tudzież aby ci, którzy nieść je będą, zawsze byli w ich pobliżu. Broni białej pod żadnym pozorem odkładać nie wolno.

Porządek marszu będzie następujący:

O świcie odezwie się, jak zwykle, pobudka, najprzód zatrąbi ją, trębacz sudański, przydzielony do pierwszej kompanii;

następnie trębacz 2-ej kompanii kap. Stairsa;

po trzecie trębacz 3-ej kompanii kap. Nelsona;

po czwarte trębacz 4-ej kompanii kap. Jephosona. (....)

Pochód rozpocznie się o godz. 6-ej rano. Rozpocznie go oddział pionierów, zaopatrzonych w strzelby, noże i topory, a tworząc straż przednią, pozostającą pod moimi rozkazami.

W kwadrans później wyruszy oddział główny, prowadzony przez tego oficera, na którego przypadnie kolej. (...)

Oddział ten składać się będzie z wszystkich tragarzy, chorych i wszystkich zdrowych, nie odkomenderowanych do straży tylniej. (...)

Straż tylna składać się będzie z 30 ludzi pod komendą oficera, któremu w dniu tym przeznaczona będzie obrona oddziału od napaści. (...)"[24].

Przeprawa przez dziewiczy, tropikalny las była niezwykle trudna. Stała, wysoka temperatura wraz z dość obfitymi i równomiernymi opadami deszczu stwarzała świetne warunki dla rozwoju bujnej roślinności. Cykl wegetacyjny trwał tu nieprzerwanie. Stanley skarżył się : "(...) *od 28 czerwca do 5 grudnia to jest przez 160 dni, szliśmy przez lasy, krzaki i gąszcze, nie spotkaliśmy nigdzie łąki, choćby tak wielkiej jak pokój* (...)".[25] Średnie tempo marszu wynosiło 8 km dziennie, podczas gdy na

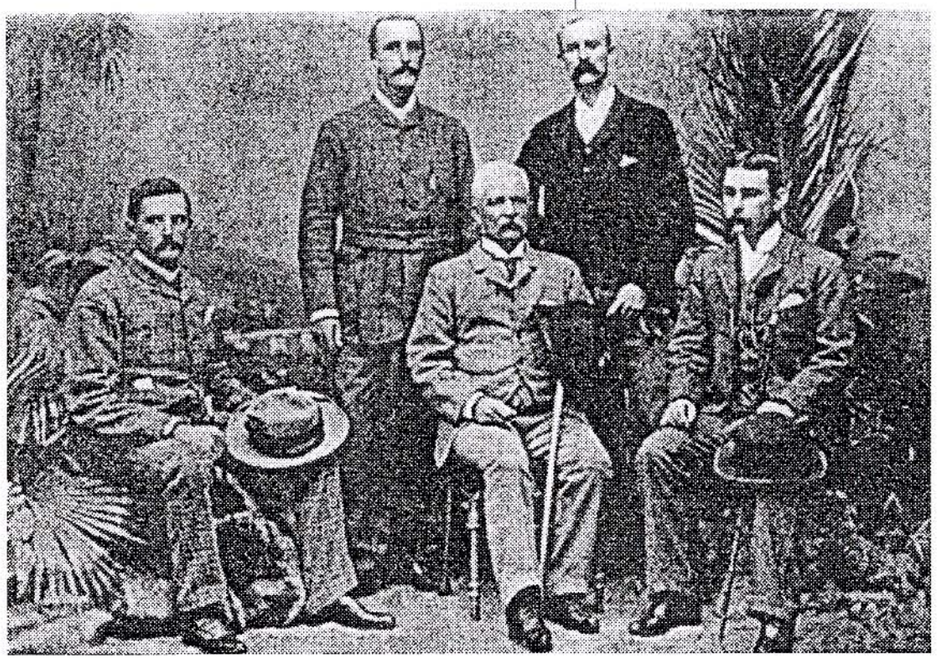

Stanley i najwierniejsi biali uczestnicy wyprawy. Od lewej: Thomas H. Parke, Robert Nelson, Henry M. Stanley, William G. Stairs i Arthur J. Mounteney – Jephson. B. Farwell, *The Man Who Presumed*, New York 1989.

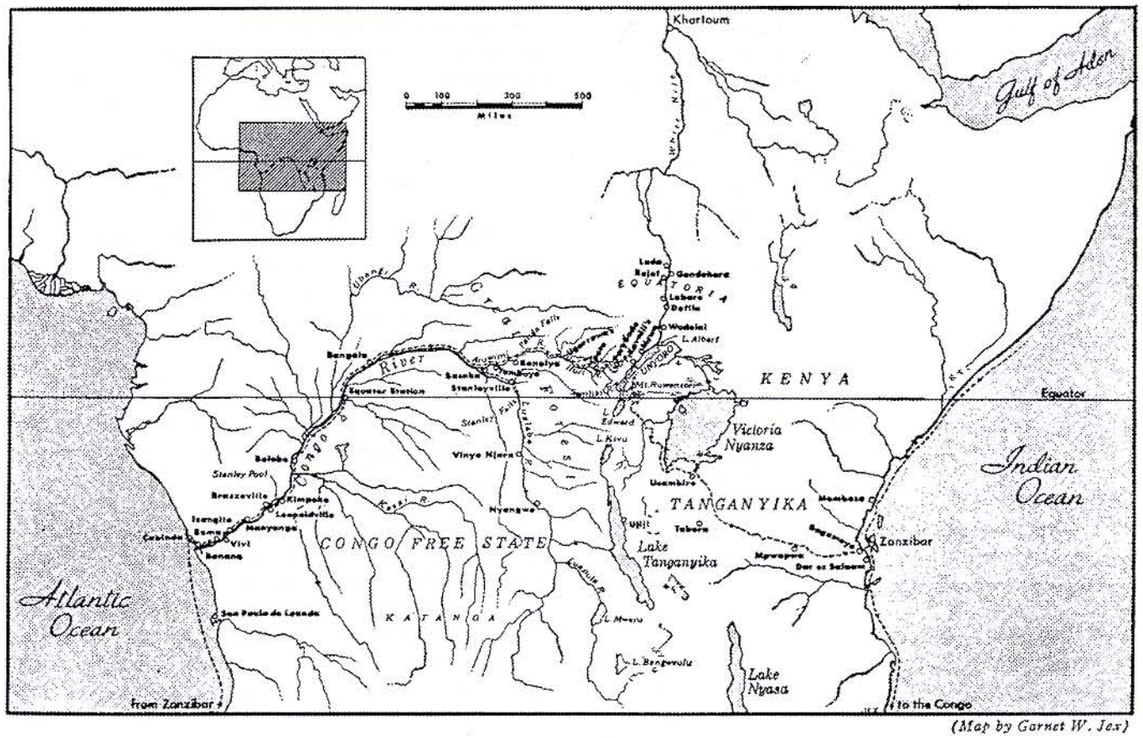

Trasa ekspedycji ratunkowej. B. Farwell, *The Man Who Presumed*, New York 1989.

zwykłych drogach afrykańskich bez problemu przemierzano 22-29 km[26]. Prawdziwą zmorą dla człowieka były owady. Bagna, starorzecza i nierzadko spotykane jeziora były wylęgarnią wszelkiego rodzaju insektów.

Często wśród tragarzy zdarzały się przypadki dezercji. Stanley starał się stanowczo reagować na wszelkie przykłady niesubordynacji. Z rozkazu podróżnika jeden z dezerterów został skazany na karę śmierci przez powieszenie[27].

Coraz częściej wyprawie zagrażało widmo głodu. Niezwykle trudno było kupić żywność. Zabito ostatniego osła, a mięso "(...) *podzielono tak staranie, jakby to była najkosztowniejsza dziczyzna, ponieważ tłum murzynów zaczął wyłamywać się z karności. Kiedy mięso podzielono zupełnie bezstronnie, powstała bójka o skórę, kości rozchwytano i potłuczono, kopyta gotowano przez kilka godzin, tak że z biednego osła nie pozostało nic więcej, jak kałuża krwi i sierści, stado hyen nie rozszarpałoby go lepiej.*"[28]

Brak żywności i olbrzymi wysiłek wkładany w torowanie drogi przez dziewiczy las był powodem licznych zgonów. Z 389 osób, które opuściły Yambuya, 12 września zdolnych do niesienia towarów było tylko 235[29].

6 października 1887 roku w jednej z mijanych wiosek pozostawiono chorego kapitana Nelsona i 52 niezdolnych do dalszego marszu tragarzy. Pozostała część ekspedycji wyruszyła w dalszą drogę w poszukiwaniu żywności. 17 października główna grupa dotarła do wioski Ipoto. Stanley postanowił tutaj pozostać dłużej. Po kilku dniach odpoczynku i względnie lepszego odżywiania się, Stanley wysłał Mounteney-Jephsona z 70 tragarzami i zapasem żywności do chorego kapitana Nelsona. Z pozostawionych przy Nelsonie 52 tragarzy tylko 5 zdołało doczekać się pomocy[30]. Kpt. Nelson w dalszym ciągu odczuwał skutki choroby. Postanowiono więc pozostawić go i dr Parke'a z częścią bagaży w Ipoto[31].

Stanley zdawał sobie sprawę, że od szybkiego tempa marszu wyprawy zależy jej sukces i życie Nelsona i Parke'a. Należało jak najszybciej opuścić tropikalny las i powrócić po zostawionych towarzyszy. Stanley w zaistniałej sytuacji starał się unikać starć z tubylcami, jednak zaatakowany zawsze miał dość czasu i siły, aby na cios odpowiedzieć ciosem – "(...) *za czterogodzinne prześladowanie, cofnęliśmy się i podpaliliśmy wszystkie chaty na obu brzegach (...)*"[32].

2 grudnia 1887 roku członkowie ekspedycji ujrzeli pierwsze oznaki zbliżania się do granicy lasu. Chaty tubylców były pokryte trawą. Dwa dni później, wyprawa Stanley'a dotarła na skraj lasu. Radość była ogromna, zdawano sobie sprawę, że właśnie został pokonany najstraszniejszy odcinek drogi. Kilka dni po opuszczeniu tropikalnej puszczy, 13 grudnia, członkowie ekspedycji ujrzeli wody Jeziora Albert[33].

Około 60 km na zachód od jeziora, nad brzegiem rzeki Ituri, Stanley postanowił zbudować placówkę, która miała być główną bazą ekspedycji w tej części Afryki. 6 stycznia 1888 roku przystąpiono do budowy Fortu Bodo (Peaceful Fort). Fort został otoczony wysoką palisadą, mającą chronić przyszłych mieszkańców przed atakami pigmejów. W wewnątrz warowni zbudowano domy mieszkalne i spichlerze do przechowywania zapasów żywności[34]. Wygodny, jak na afrykańskie warunki, fort był świetnym miejscem do odpoczynku po trudach podróży. Niestety sielanka nie trwała długo, wg. relacji Stanley'a już po "*(...) kilku dniach mieszkania w domach zaczęły dokuczać nam szczury, pchły i muszki. Szczury zjadały nasze zboże, kąsały nas w nogi, biegały nam po twarzach (...)*"[35]. Pomimo tych niedogodności fort spełniał swoją podstawową funkcję, bronił członków ekspedycji przed atakami tubylców.

19 stycznia, jeszcze w czasie trwania prac przy budowie fortyfikacji, Stanley wysłał porucznika Stairsa z 97 tragarzami do Ipoto po zostawionych tam Nelsona i Parke'a. Miano zabrać również pozostawioną tam część zapasów (łącznie ze składaną łodzią). Stairs, Nelson i Parke 12 lutego przybyli do ukończonego już Fortu Bodo[36].

Stanley chciał jak najszybciej wyruszyć na północ i odszukać Emina Paszę, jednak silny atak malarii połączony z dolegliwościami żołądkowymi zmusił go do pozostania przez miesiąc w łóżku. Dopiero 2 kwietnia wielki podróżnik był w stanie wyruszyć w dalszą drogę. Stanley, Parke, Mounteney-Jephson i 126 tragarzy ze sporym zapasem broni i składaną łodzią udali się w kierunku Jeziora Alberta. Po dotarciu nad brzeg jeziora w wiosce Kavalli (19 kwietnia) Stanley znalazł list przysłany przez Emina Paszę. Przesyłka była opatrzona datą 25 marzec 1888 roku i zaadresowana do przywódcy wyprawy ratunkowej[37].

Stanley postanowił z większością ludzi pozostać w Kavalli, a na poszukiwanie Emina wysłał tylko Jephsona. Miał on odnaleźć gubernatora Prowincji Równikowej i poinformować go o przybyciu wyprawy ratunkowej. 29 kwietnia Emin Pasza, po uzyskaniu informacji od Jephsona, osobiście przybył do Kavalli. Gubernatorowi Equatorii towarzyszył kpt. Caetano Casat[38]. Stanley w swojej książce "W czeluściach Afryki ..." tak opisał moment spotkania: "*(...) o godzinie 8-ej wieczorem Emin Basza, wśród okrzyków radości i powitalnych salw karabinowych, kroczył ku obozowi w towarzystwie kap. Casatiego, Jephsona i jednego ze swoich oficerów. Podałem im wszystkim rękę i spytałem, kto z nich jest baszą.*

Wtem postać niska, wątła, w okularach, zwróciła uwagę moją na siebie wypowiedzeniem następujących słów wyborną angielszczyzną:

- Jestem panu tysiąckrotnie zobowiązany, panie Stanleyu, i istotnie nie wiem, jak mam wyrazić wdzięczność moją. (...)

Usiedliśmy u wejścia do namiotu; scenę oświetlała świeca woskowa. Spodziewałem się zobaczyć wysoką, chudą postać o wyglądzie wojskowym, w zniszczonym mundurze egipskim, a tymczasem patrzyłem na człowieka niskiego, niepozornego, w dobrze utrzymanym fezie i w białem, jak śnieg, ubraniu z drelichu bawełnianego, czystem, pięknie odprasowanem i dobrze leżącem".[39]

Zaskoczenie Stanley'a było olbrzymie, spodziewał się zastać człowieka wycieńczonego walkami z wojskami Mahdiego (sam Mahdi zmarł w 1885 roku), niecierpliwie oczekującego przybycia wyprawy ratunkowej. Realia okazały się zupełnie inne, trudno było powiedzieć kto właściwie kogo ratował. Zmęczeni ludzie Stanley'a w obdartych łachmanach, przy ubranych w czyste mundury

Egipcjanach i Sudańczykach z gwardii Emina nie prezentowali się najlepiej. Jedyną rzeczą, którą Stanley mógł zaoferować Eminowi Paszy była broń. Jednak gubernator nie potrzebował strzelb i amunicji, z nikim nie prowadził wojny. Wydawało się, że Mahdyści zapomnieli o istnieniu tego wysuniętego na południe skrawka Sudanu. Emin Pasza miał pod swoimi rozkazami 1800 żołnierzy, podzielonych na 8 stacji po 200-300 osób[40]. Dysponował dwoma parowcami 'Khedive' i 'Nyanza'. Emin Pasza wiedział, że w przypadku starcia z wojskami Mahdystów poniesie klęskę, nie chciał jednak opuszczać prowincji. W Equatorii był niekwestionowanym przywódcą. Nie chciał tracić swoich przywilejów. Nie był też zainteresowany przedstawionymi przez Stanley'a propozycjami kedywa Egiptu, Leopolda II czy Williama MacKinnona. Stanley przedstawiając propozycję Eminowi starał się zachować neutralność (przynajmniej tak to przedstawił w swojej książce "W czeluściach Afryki..."). Zachowując dyplomatyczną grację wyjaśnił: "*Pierwsza propozycya opiewa, abyś pan w dalszym ciągu był posłusznym żołnierzem i towarzyszył mi w podróży do Egiptu. Po powrocie pańskim, pan, oficerowie i żołnierze otrzymacie żołd aż do chwili przybycia. (...)*

Druga propozycya, jaką panu przedstawię, pochodzi od króla Belgów, Leopolda. Król prosi mnie, abym zawiadomił pana, że pragnąc zapobiec popadnięciu prowincyj eaquatoryalnych w barbarzyństwo i przypuszczając, że są one w stanie przynosić dochody, państwo Kongo objęłoby je może, gdyby to stać się mogło kosztem 10000 do 12000 funtów szterl. rocznie; dalej, że J. K. M. król Leopold, sądząc, że odpowiadałoby to pańskiemu pragnieniu, gotów jest płacić panu dostateczną pensyę – 1500 funtów – jako gubernatorowi w stopniu generała. Pańskim obowiązkiem byłoby utrzymywać komunikacyę pomiędzy Nile a Kongo i starać się o poszanowanie prawa i porządku w Aequatoryi.

Trzecia propozycya jest następująca: jeżeli jesteś pan przekonany, że ludzie pańscy stanowczo nie przyjmą propozycyi Kedywa co do powrotu do Egiptu, pójdź pan ze mną z wiernymi panu żołnierzami do północno-wschodniego krańca jeziora Wiktorya i pozwól, że usadowię tam pana w imieniu angielskiego Tow. wschodnio-afrykańskiego. Pomożemy panu przy budowie fortów w miejscu dla celów Towarzystwa odpowiedniem, pozostawimy panu nasz statek i towary, jakieby panu były potrzebne (...)".[41]

Pomimo zachowania oficjalnej neutralności wiemy, z relacji Emina, który nie miał powodów by kłamać, że Stanley wyraźnie odradzał mu przejście na usługi Leopolda II, proponując współpracę z Williamem MacKinnoniem. Prawdopodobnie Stanley przemierzając Kongo widział jak stworzone przez niego Wolne Państwo Kongo oddala się od ideałów przyświecających pierwszym budowniczym. Wielki podróżnik osobiście doświadczając trudów 160 dniowej podróży przez tropikalny las Ituri, sceptycznie odnosił się do pomysłu utrzymania komunikacji pomiędzy rzekami Kongo i Nilem. Stanley będąc obywatelem Stanów Zjednoczonych nie przestawał być Brytyjczykiem. Jego pierwsze plany wykorzystania Konga także związane były z Anglią. Nakłaniając Emina Paszę do przyjęcia propozycji Williama MacKinnona, chciał udowodnić swoje przywiązanie do Wielkiej Brytanii, a jednocześnie wzmocnić powstającą w tej części Afryki – Brytyjską Kompanię Afryki Wschodniej[42].

Emin Pasza zasypany propozycjami nie chciał od razu podejmować decyzji. Postanowił odłożyć to do czasu przybycia majora Barttelota z głównymi siłami ekspedycji ratunkowej.

Rozstając się z Eminem, Stanley pozostawił mu jako pomocnika i doradcę Jephsona. Wielki podróżnik, poważnie zaniepokojony losami majora Barttelota, postanowił niezwłocznie wyruszyć do Fortu Bodo. Powracając na południowy-zachód, 24 maja 1888 roku, odkrył pokryty śniegiem szczyt Ruwenzori. Jako pierwsi, już 20 kwietnia, ujrzeli ten szczyt Jephson i Parke, uważali to jednak za złudzenie optyczne. Stanley tym odkryciem potwierdził obserwacje swoich towarzyszy, dziwiąc się tylko, dlaczego szczyt ten nie został wcześniej odkryty przez Bakera, Gessi Baszę, Masona Bey czy Emina Paszę[43].

Stanley przybył do Fortu Bodo 8 czerwca. Sprawujący tu dowództwo Stairs nie miał żadnych wiadomości o losie wyprawy pozostawionej pod dowództwem Berttelota. Stanley, zaniepokojony brakiem wiadomości od majora, postanowił wyruszyć mu na spotkanie. 16 czerwca z 4 żołnierzami Emina, 113 Zanzibarczykami i 95 tragarzami z plemienia Madi (dostarczonymi mu przez Emina) opuścił Fort Bodo. Razem ze Stanley'em wyruszył dr Parke z 14 tragarzami, mieli oni towarzyszyć podróżnikowi tylko do Ipoto, aby tam odebrać ostatnią pozostawioną część ładunku[44].

Stanley wiedział, że jako dowódca wyprawy osobiście odpowiedzialny jest za bezpieczeństwo całego przedsięwzięcia. Świetnie pamiętając trudności niedawno zakończonej przeprawy przez tropikalny las, zdawał sobie sprawę, że nie ma moralnego prawa narażać na nie ponownie swoich towarzyszy. Decyzja ta obok wszystkich wad Stanley'a podkreślała przede wszystkim jego pozytywne cechy takie jak: odwaga, rzutkość, męstwo i hart.

Przemierzając tropikalny las, Stanley i jego ludzie często zmuszeni byli odpierać ataki tubylców. Największym jednak wrogiem był głód. 13 lipca 1888 roku zjedzono ostatnie zapasy żywności. Wydaje się, że dalej naprzód posuwano się tylko dzięki stanowczości i uporowi Stanley'a. 17 sierpnia, będąc około 150 km od Yambuya w wiosce Banalya, Henry M. Stanley spotkał Williama Bonny. Dowiedział się od niego o losach innych członków ekspedycji pozostawionych w Yambuya. Według słów Bonny'iego: Major Barttelot został zabity, Jemeson przebywał w Stanley Falls, Ward w Bangala a Troup powrócił do Anglii[45].

Bonny zdał dokładną relację Stanley'owi z wydarzeń mających miejsce od czerwca 1887 roku do sierpnia 1888 roku. Po opuszczeniu przez Stanley'a w czerwcu 1887 roku Yambuya, major Barttelot rozpoczął przygotowania do szybkiego wymarszu. 14 sierpnia 1887 roku przybyli do Yambuya, na parowcu 'Stanley', Ward, Troup i Bonny. Major Barttelot miał więc pod swoimi rozkazami 4 białych oficerów (w Yambuya przebywał również Jameson), 43 Sudańczyków, 2 Somalijczyków i 200 Zanzibarczyków. Niecierpliwie oczekiwano na przybycie

grupy 600 tragarzy, którzy mieli zostać przysłani do Yambuya przez Tippu-Tipa[46].

Oczekując na przybycie tragarzy Tippu-Tipa, tak duża liczba ludzi w obozie Yambuya zaczęła mieć kłopoty z zaopatrzeniem. Okoliczna ludność nie była w stanie dostarczyć tak wielkiej ilości żywności. Zdarzały się przypadki kradzieży. Zwiększało to jeszcze wrogość pomiędzy tubylcami a członkami ekspedycji. 22 sierpnia Jameson i Ward udali się do Stanleyville, aby przypomnieć Tippu-Tipowi ciążące na nim zobowiązania wynikające z podpisanej umowy ze Stanley'em. Tippu-Tip zobowiązał się niezwłocznie wysłać obiecaną grupę 600 tragarzy.

Na ich przybycie bezskutecznie oczekiwano 2 miesiące. Zniecierpliwieni brakiem wiadomości od zanzibarskiego kupca, Barttelot i Ward postanowili ponownie udać się do Stanleyville. Niestety w rejonie Stanley Falls nie było Tippu-Tipa. Barttelot i Ward zmuszeni byli powrócić do Yambuya. Wszelkie prób wynajęcia tak licznej grupy tragarzy bez pośrednictwa Tippu-Tipa były zdane na niepowodzenie. Tak więc w oczekiwaniu na przybycie tragarzy Tippu-Tipa, spędzono w Yambuya bezczynnie następne 3 miesiące. Brak dostatecznej ilości żywności i niezdrowy klimat dorzecza Kongo był przyczyną wielu zgonów. Zdarzały się przypadki dezercji. Nie najlepsze stosunki panowały też wśród białych oficerów. Szczególnie często kłótnie wybuchały pomiędzy Barttelotem a Troupem. Widoczny był brak dyscypliny w szeregach ekspedycji. Nie nadchodziła żadna wiadomość od Stanley'a. Zaczęły się szerzyć pogłoski o śmierci dowódcy[47].

Po kolejnej interwencji Barttelota i Jamesona w styczniu 1888 roku w Stanleyville, Tippu-Tip w marcu wysłał 300 tragarzy, wśród których 50 było zarażonych ospą. W niczym to nie poprawiło sytuacji ekspedycji. Pod koniec marca na poszukiwanie Tippu-Tipa wyruszył Jameson. 11 kwietnia odnalazł go w miejscowości Kasogo. Jameson i Tippu-Tip powrócili 22 maja do Stanleyville, gdzie oczekiwał ich Barttelot i urzędnik WPK – M. Van Kerekhoven. Tippu-Tip, ulegając naciskom oficerów Stanley'a i urzędnika WPK, zobowiązał się do dostarczenia w krótkim czasie następnych 400 ludzi z terenów Manyuema. W czerwcu do Yambuya przybyli obiecani tragarze. Niestety okazało się, że pomimo zwiększenia się ich liczby, trzeba było część towarów odesłać w dół Konga do Bangala. Razem z częścią zaopatrzenia odpłynął chory Troup i Ward, który miał zaopiekować się wysłanymi zapasami a następnie przyłączyć się do wyprawy.

11 miesięcy po opuszczeniu Yambuya przez Stanley'a, kolumna pod dowództwem majora Barttelota gotowa była do wyruszenia w drogę. Składała się ona z 571 osób: 3 białych oficerów, 430 Manyuema, 115 Zanzibarczyków, 22 Sudańczyków i 1 Somalijczyka[48].

Już na początku drogi zaczęły się kłopoty. Większość Manyuema nie przyzwyczajona była do noszenia towarów. Trudno było utrzymać dyscyplinę w szeregach tragarzy. 17 lipca karawana dotarła do wioski Banalya. Barttelot, poirytowany wolnym tempem marszu i nieodpowiedzialnym zachowaniem się tragarzy, zdecydowany był zaostrzyć dyscyplinę. Wieczorem przy próbie uciszenia rozbawionych tubylców, jeden z nich zastrzelił majora Barttelota. Po tym zdarzeniu nikt nie panował już nad sytuacją. Większość tragarzy samodzielnie opuściła szeregi karawany, zginęła też spora ilość towarów[49].

Jameson, pomimo osłabienia organizmu, 1 sierpnia wyruszył do Stanleyville, aby na Tippu-Tipie wymusić ukaranie zabójcy majora. Mordercą majora okazał się tubylec o imieniu Sanga. Został on schwytany 8 czerwca i rozstrzelany przez pluton egzekucyjny. Jameson udał się w dół rzeki. Wycieńczony atakami febry zmarł 16 sierpnia w stacji Bangala[50].

Dzień później, 17 sierpnia, Stanley dotarł do wioski Banalya, gdzie przebywał Bonny z grupą około 100 tragarzy, głównie Zanzibarczyków. Stanley, po zapoznaniu się z relacją Bonny'ego, zrozumiał, że główną część ekspedycji pozostawiona pod rozkazami Barttelota przestała istnieć. Wielki podróżnik za zastany stan rzeczy winił przede wszystkim majora, oskarżając go o brak przezorności. Natomiast Tippu-Tipowi zarzucał nie wywiązanie się z postanowień umowy[51].

Wydaje się jednak, że głównym powodem tragedii był błąd Stanley'a w wyborze trasy wyprawy przez Wolne Państwo Kongo. O wyborze tej drogi zadecydowały przede wszystkim względy polityczne, które Stanley przedłożył nad bezpieczeństwo ekspedycji.

Stanley wiedział, że popełnił wiele błędów podczas przygotowań do tej wyprawy, ale nie widział potrzeby roztrząsać ich w tej chwili. Chciał zebrać możliwie najwięcej ocalałych tragarzy i niezwłocznie powrócić nad Jezioro Alberta. 31 sierpnia, 2 tygodnie od przybycia Stanley'a do Banalya, karawana składająca się z 3 białych (Stanley'a, Warda, Bonny'ego) i 462 tragarzy (łącznie z tymi, których przyprowadził Stanley) wyruszyła w drogę nad Jezioro Alberta[52]. Stanley po raz trzeci przedzierał się przez tropikalny las Itur. I tym razem członków ekspedycji nie ominęły nieszczęścia. Wśród Manyuema wybuchła epidemia ospy. W ciągu pierwszych 41 dni podróży, zginęło 53 ludzi, głównie w walkach z tubylcami.

20 grudnia 1888 roku, Stanley i jego ludzie dotarli do Fortu Bodo[53]. Po wielu trudach, Stanley liczył na zasłużony wypoczynek w Forcie Bodo. Niestety znów los nie szczędził mu problemów. Według wiadomości znajdujących się w liście wysłanym przez Jephsona z Equatorii 7 listopada 1888 roku, sytuacja w Prowincji Równikowej znacznie się skomplikowała. Wśród żołnierzy Emina Paszy wybuchł bunt. Większość Egipcjan, a szczególnie Sudańczyków zdążyło się zadomowić na południowych rubieżach Sudanu i nie była zainteresowana powrotem do Egiptu. Bunt wybuchł w 1 batalionie stacjonującym w Rajaf i szybko rozprzestrzenił się na inne placówki. 20 sierpnia 1888 roku przebywający w Dufile, Emin i Jephson zostali uwięzieni. Pomimo buntu, Emin Pasza, mający wielkie poważanie wśród swoich podwładnych, był traktowany bardzo łagodnie. Przywódcy buntu nie mogli dość do porozumienia jakie powinny być ich następne kroki. Nieoczekiwanie dla wszystkich rozwiązanie przyszło z północy. 15 października do granic Equatorii, Nilem przypłynęły trzy parowce: 'Talahawiyeh', 'Safin' i 'Muhammmad Ali' z Mahdystami na pokładzie. Wśród żołnierzy Emina Paszy wybuchła konsternacja. Wypowiedziano wojnę wyznawcom Mahdiego i uwolniono Emina

z więzienia w nadziei, że może on znajdzie wyjście z tej trudnej sytuacji. Wiedziano, że w przypadku walki z Mahdystami, wojska Emina będą musiały ponieść klęskę[54].

Sprawy zaczęły się poważnie komplikować. Wyprawa Stanley'a, choć nie stoczyła jeszcze żadnej poważnej bitwy, straciła już 2 oficerów, a z 623 Zanzibarczykó, którzy opuścili wyspę pozostało tylko 209. Sytuacja ekspedycji Stanley'a przedstawiała się katastrofalnie. Większość zabranego ze sobą zaopatrzenia albo została rozgrabiona, albo już zużyta. Stanley nie chciał ryzykować starcia z wyznawcami Mahdiego. Wysłał więc list do Emina Paszy, w którym wyznaczał mu dwudziestodniowy termin na przygotowanie się do drogi (w przypadku podjęcia decyzji o powrocie) i przybycie nad południowe wybrzeże Jeziora Alberta, skąd wyprawa miała wyruszyć na Zanzibar. Stawiając Emina Paszę przed faktem dokonanym, Stanley żądał od niego błyskawicznej decyzji o pozostaniu w Equatorii albo powrocie na wybrzeże[55].

Pod koniec grudnia 1888 roku spalono Fort Bodo i wyprawa przeniosła się do wioski Kavalli – na południowym brzegu jeziora, gdzie miała oczekiwać na przybycie Emina. Gubernator Equatorii widząc bezsensowność trwania w południowym Sudanie bez poparcia Brytyjczyków, postanowił powrócić na wybrzeże. Przyzwyczajony przez ostatnie lata do samodzielnego sprawowania władzy w Equatorii, nie był zainteresowany objęciem stanowiska urzędnika w Brytyjskiej Kompanii Afryki Wschodniej.

Oczywiście termin (ultimatum) wymarszu nie został dotrzymany. Pierwsi towarzysze Emina – kpt. Casati, Grek Marco, aptekarz Vita Hasson, zjawili się w obozie Stanley'a w połowie lutego 1889 roku. Sam gubernator Prowincji Równikowej z córką Faridą przyłączył się do wyprawy ratunkowej 27 lutego 1889 roku[56].

Rozpoczęły się zwykłe kłopoty przy organizowaniu tak licznej karawany. Większość współpracowników Emina miała zbyt dużą ilość bagażu, np. Grek Marco (wg. słów Stanley'a) miał mieć ze sobą "(...) *ciężkie dywany perskie, makaty, olbrzymie kosze i, o zgrozo, przeszło 300 funtów kamieni, służących do mielenia kukurydzy (...).*"[57].

Stanley zaczynał być wyraźnie poirytowany tym bałaganem. Kazał ograniczyć ilość zabieranego ze sobą bagażu. Data wymarszu ostatecznie została ustalona na 10 kwietnia 1889 roku[58], ale jeszcze kilka dni przed opuszczeniem brzegów Jeziora Alberta, Emin Pasza nie był przekonany czy dobrze robi opuszczając Equatorię. Taka postawa gubernatora przelała czarę goryczy. W oczach Stanley'a i jego oficerów cały wysiłek włożony w dotarcie do Emina Paszy był tylko stratą czasu, ratowano człowieka, który wcale tego nie potrzebował. Podczas jednej ze sprzeczek, które niejednokrotnie wybuchały w czasie drogi powrotnej na wybrzeże (wg. relacji Jephsona) Emin miał powiedzieć do Stanley'a: "*I think you had better leave me here, I wish you had never come to help me*".[59]

10 kwietnia, zgodnie z ustaleniami, karawana licząca 1510 osób opuściła południowy brzeg Jeziora Alberta, ale już 13 kwietnia musiano się ponownie zatrzymać, powodem była choroba Stanley'a. W dalszą drogę wyruszono 7 maja 1889 roku. Emin Pasza i jego ludzie przeszli pod rozkazy Stanley'a, który starał się, często brutalnymi metodami, utrzymać dyscyplinę w szeregach wyprawy. "Zbawca" i "ocalony" odnosili się do siebie z wyraźną niechęcią, żeby nie rzec z wrogością[60].

Tempo marszu, szczególnie na początku było bardzo wolne, często przemierzano tylko 3 km dziennie. Wszystkie przypadki niesubordynacji karane były z całą surowością. Złapanego na kradzieży broni tragarza, Stanley kazał powiesić.

16 marca członkowie wyprawy odkryli nowe, niewielkie jezioro, nazwane Albert Edward Nyans[61].

27 sierpnia 1889 roku, karawana dotarła do miejscowości Usambiro, znajdującej się na południowym krańcu Jeziora Wiktorii. W czasie wędrówki na wybrzeże nie obyło się bez walk. Jedną z nich stoczono z koczowniczym plemieniem Usakuma. Pod koniec października utrudzona ekspedycja dotarła do pierwszej stacji wojskowej – Mpwapwa w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Dalszą drogę na wybrzeże odbyto już pod eskortą wojsk niemieckich. W odległości czterech dni drogi od Bagamoyo, ekspedycję ratunkową osobiście powitał major Hermann von Wissmann, zarządzający z ramienia rządu niemieckiego Niemieckim Towarzystwem Afryki Wschodniej. Z wyprawą majora na spotkanie ze Stanley'em przybyli dwaj amerykańscy dziennikarze: Edmund Vizetelly z 'New York Herald' i Thomas Stevens z 'New York World'[62].

4 grudnia 1889 roku przy uroczystej eskorcie wojsk niemieckich, wyprawa wkroczyła do Bagamoy[63]. Cel wyprawy Stanley'a – uratowanie Emina Paszy, został osiągnięty. Jednak koszty całego przedsięwzięcia były ogromne. Wyprawę rozpoczęło 708 osób, a ukończyło tylko 196. Największe straty były wśród Zanzibarczyków – z 623 powróciło 178 osób[64].

Wieczorem 4 grudnia o godzinie 19^{30} w kasynie niemieckich oficerów w Bagamoyo rozpoczął się bankiet na cześć Emina i członków ekspedycji ratunkowej. Na kolacji obecne były 34 osoby m. in.: konsulowie: angielski, niemiecki, włoski, oficerowie angielscy i niemieccy. Po części oficjalnej i toastach na cześć Stanley'a i Emina rozpoczęła się część mniej formalna, ostro zakrapiana alkoholem. Bankiet został przerwany na wiadomość, że Emin Pasza stojąc na balkonie zbyt mocno się wychylił przez balustradę i spadł z wysokości 4,5 m. Były gubernator Equatorii z poważnym urazem głowy został odwieziony do wojskowego szpitala w Bagamoyo[65].

Mało brakowało, a człowiek, po którego wysyłano wielką wyprawę ratunkową w głąb Afryki, mógłby zabić się spadając z pierwszego piętra budynku. Emin Pasza (po powrocie do zdrowia) nie przyjął propozycji pracy na usługach Brytyjskiej Kompanii Afryki Wschodniej i wstąpił na służbę rządu niemieckiego. Stanley za brytyjskie pieniądze uratował Emina tylko po to, aby ten mógł teraz swoim doświadczeniem wspomagać Niemców w Afryce Wschodniej. W 1889 roku mogło się wydawać, że następstwem decyzji Emina Paszy będzie przyłączenie Prowincji Równikowej do powstającego w Afryce Wschodniej Niemieckiego Towarzystwa Afryki Wscho-

dniej. Stanley nie ukrywał swojego rozczarowania, czemu dał wyraz na ostatnich kartach swojej książki "W czeluściach Afryki ... [66].

Stanley po kilku dniach odpoczynku na Zanzibarze, 16 stycznia 1890 roku przybył do Kairu. Tutaj zaszył się w cichym domku zwanym Villa Victoria i w ciągu 50 dni napisał książkę "In Darkest Africa" [67]. Miała być ona odpowiedzią Stanley'a na zarzuty, które spodziewał się usłyszeć po przybyciu do Europy. Książki Stanley'a cieszyły się wielką popularnością. Dzieła wielkiego podróżnika odznaczały się wartką akcją i pasjonującą narracją, której nie mogła przyćmić ani kwiecistość stylu, ani momentami pompatyczny ton[68]. Publikowane zaraz po zakończeniu podróży były najmocniejszą bronią Stanley'a. Pozwalały mu zyskać wielką popularność wśród szerokich rzesz czytelników. Stanley był idolem i bohaterem dla całej grupy dorastającej młodzieży[69]. Jeden z największych polskich badaczy Afryki – Jan Czekanowski, jak sam pisał, w dzieciństwie zaczytywał się w przygodach Stanley'a drukowanych na łamach 'Przyjaciela Dziecka'[70].

Przypisy:

[1] Slatin był gubernatorem Darfuru. Wzięty do niewoli przez Mahdystów zdołał uratować życie tylko dzięki przejściu na islam. Przebywając kilka lat w niewoli dobrze poznał strukturę i stosunki panujące w państwie Mahdiego.

[2] B. Farwell, *The Man Who Presumed*, New York 1989, s.190-191.

[3] J. Prokopczuk, *Historia Afryki w zarysie*, Warszawa 1964, s.95-97.

[4] B. Farwell, op. cit., s.191-192. Rząd Gladstone'a był spostrzegany w Wielkiej Brytanii jako główny winowajca upadku Chartumu.

[5] W Europie sądzono, że Emin Pasza prosząc o "pomoc" spodziewał się odsieczy, która wyzwoliłaby go z oblężonej prowincji. Jak się później okazało Emin, zwracając się o "pomoc", miał na myśli wsparcie polityczne i wojskowe, bez potrzeby opuszczania prowincji.

[6] H. M. Stanley, *W czeluściach Afryki. Poszukiwanie, ocalenie i odwrót Emina Baszy*, Warszawa 1890, s.26.

[7] Emin Pasza urodził się w 1840 roku w żydowskiej rodzinie na Śląsku, w Opolu. Jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Edward Schnitzer. Studiował we Wrocławiu, Królewcu i Berlinie. Był lekarzem, botanikiem, ornitologiem, znał wiele języków m. in; niemiecki, angielski, francuski, włoski, turecki, arabski ... . W 1864 roku przebywał w Turcji, a następnie w Albanii. W 1875 roku przybył do Kairu, gdzie krótko pracował jako lekarz. Następnie udał się do Chartumu. Tutaj przyjął imię Mohammed Emin i przeszedł na islam. W Sudanie również pracował jako lekarz pod rozkazami Gordona. Wkrótce dzięki swej lojalności, otrzymał nominację na gubernatora Equatorii (Prowincji Równikowej).

[8] Komitet ekspedycji ratunkowej na czele z Williamem MacKinnonem miał przekształcić się później w zarząd Brytyjskiej Kompanii Afryki Wschodniej. Kompania otrzymała przywilej królewski w 1888 roku.

[9] Henry M. Stanley (1841-1904). Pierwsze imię i nazwisko John Rowlands. Stanley zasłynął jako dziennikarz, odkrywca i inicjator wypraw w głąb Afryki, organizowanych przez 'New York Herald'. W roku 1871 odnalazł uważanego za zaginionego brytyjskiego misjonarza Davida Livingstone'a. W czasie kolejnej wyprawy (1874-1877) – w poprzek Afryki Centralnej – ostatecznie rozwiązał zagadkę źródeł Nilu. W latach 1878-1885 współtworzył belgijską kolonię Kongo.

[10] H. M. Stanley, op. cit., s.31.

[11] Ibidem, s.35. oraz B. Farwell, op. cit., s.197-199.

[12] B. Farwell, op. cit., s.199.

[13] T. Pakenham, *The Scrable of Africa (1976-1912)*, London, s. 319. oraz F. McLynn, *Hearts of Darkness*, New York 1993, s. 315.

[14] H. M. Stanley, op. cit., s.39-49. Stanley wiedział, że jego dobrze uzbrojona wyprawa wzbudza niepokój – szczególnie wśród Niemców. Starał się ich jednak zapewnić o filantropijnych celach wyprawy.

[15] H. M. Stanley, op. cit., s.33. Stanley, tak jak większość europejskich podróżników, uważał Zanzibarczyków za bardzo dobrych tragarzy i kompanów w dalekich wędrówkach w głąb Afryki.

[16] Ibidem, s.56. oraz T. Pakenham, op. cit., s.318-320.

[17] Ibidem, s.56.

[18] F. McLynn, op. cit., s.204. Zdaniem F. McLynna 3/4 z 680 tragarzy Stanley'a użytych w wyprawie do Emina Paszy było niewolnikami. Autor przedstawia to jako fakt mało znany, nie rozwija tego wątku dalej.

[19] H. M. Stanley, op. cit., s.67.

[20] Ibidem, s.67-68.

[21] B. Farwell, op. cit., s.209

[22] H. M. Stanley, op. cit., s.81.

[23] Ibidem, s.99-104.

[24] Ibidem, s.112-114.

[25] Ibidem, s.123.

[26] Ibidem, s.129.

[27] Ibidem, s.174-175.

[28] Ibidem, s.189-190.

[29] Ibidem, s.166.

[30] B. Farwell, op. cit., s.226-227.

[31] H. M. Stanley, op. cit., s.230.

[32] Ibidem, s.256.

[33] Ibidem, s.260.

[34] Ibidem, s.280-281.

[35] Ibidem, s.282.

[36] Ibidem, s.296-298.

[37] B. Farwell, op. cit., s.236-237.

[38] Ceatano Casati, włoski podróżnik zaskoczony rozwojem wydarzeń w Sudanie, zdołał schronić się w Prowincji Równikowej.

[39] H. M. Stanley, op. cit., s.318-319.

[40] Ibidem, s,44. Po śmierci Mahdiego w 1885 roku w Sudanie wybuchły waśnie pomiędzy krewnymi Mahdiego a kalifem Abdullahem. Krewni Mahdiego nie chcieli uznać Abdullaha jako następcy proroka.

[41] Ibidem, s.330-331.

[42] T Pakenham, op. cit., s.325-326.

[43] H. M. Stanley, op. cit., s.346. Gessi Basza – urzędnik egipski w Sudanie, podróżnik, jako pierwszy opłynął Jezioro Alberta. Mason Bey – również urzędnik w Sudanie, opłynął Jezioro Alberta (jako drugi) w 1877 roku.

[44] Ibidem, s.385.

[45] Ibidem, s.404-407.

[46] J. Fiłonowicz, *Życie i działalność Tippu-Tipa*, maszynopis- praca magisterska, Warszawa 1989, s.107. Wg. Fiłonowicza wkrótce po przybyciu Tippu-Tipa do Stanleyville (w czerwcu 1887 roku), realizując postanowienia umowy ze Stanley'em, wysłał on 500 tragarzy pod dowództwem Mohammada el-Niwawiego. Jednak wyprawa ta nigdy nie dotarła do Yambuya.

[47] B. Farwell, op. cit., s.252-253. 17 czerwca 1888 roku większość paryskich gazet, powołując się na „wiarygodne źródło" z Brukseli, poinformowała swoich czytelników o śmierci Stanley'a.

[48] Ibidem, s.259.

[49] H. M. Stanley, op. cit., s.431.

[50] Przy umierającym w stacji Bangala Jamesonie był Ward.

[51] H. M. Stanley, op. cit., s.461. Po powrocie na Zanzibar, Stanley wstrzymał wypłacanie należności Tippu-Tipowi. Powód – nie wywiązanie się z postanowień umowy.

[52] Ibidem, s.458.

[53] Ibidem, s.501.

[54] Ibidem, s.512-514. oraz T. Pakenham, op. cit., s.327-329.

[55] Ibidem, s.526-527.

[56] Ibidem, s.547.

[57] Ibidem, s.545.

[58] Ibidem, s.558.

[59] T. Pakenham, op. cit., s.332-333.

[60] H. M. Stanley, op. cit., s.683, 700. Stanley w swojej książce "W czeluściach...." wspomniał o kilku „delikatnych" utarczkach z Eminem Paszą.

[61] B. Farwell, op. cit., s.287-289.

[62] H. M. Stanley, op. cit., s.688-689.

[63] Ibidem, s.690.

[64] B. Farwell, op. cit., s.290.

[65] H. M. Stanley, op. cit., s.692-694.

[66] Ibidem, s.700-706. oraz B. Farwell, op. cit., s.294. Emin Pasza po wstąpieniu na służbę w Niemieckim Towarzystwie Afryki Wschodniej, 20 kwietnia 1890 roku jako dowódca wyprawy wyruszył w głąb Afryki. Podejrzewano, że zmierza do Equatorii, aby odebrać pozostawioną tam kość słoniową. Nasuwało się też przypuszczenie, że kierowana przez Emina ekspedycja ma na celu skolonizowanie okolic Jeziora Wiktorii i Alberta. Jednak sprawa była już nieaktualna, w lipcu 1890 roku Niemcy i Wielka Brytania podpisały umowę przyznającą Jezioro Alberta Anglikom. Emin Pasza w zaistniałej sytuacji udał się w kierunku rzeki Kongo. Była to jego ostatnia wyprawa, w drodze na zachód w tajemniczych okolicznościach został zamordowany (1892 r.).

[67] Ibidem, s.707-708.

[68] Wszystkie książki Stanley'a przesiąknięte były purytanizmem II połowy XIX wieku, który szczególnie w Wielkiej Brytanii graniczył z obłudą. Np. na próżno moglibyśmy szukać w pracach Stanley'a choćby zdania o jego życiu erotycznym. Nie mieściło się to w kanonach ówczesnego świata. J. Wassermana w swojej książce: "Bula Matari. Życie Stanley'a" wysuwa przypuszczenie o prawdopodobnym homoseksualizmie Stanley'a. Za jego teorią może świadczyć fakt, że Stanley'owi w każdej wyprawie towarzyszył młody służący. Podobną możliwość sugeruje też F. McLynn w książce: "Hearts od Darkness", s.358.

[69] E. Morston, *How Stanley wrote 'In Darkest Africa'*, London 1890, s.53.

[70] J. Czekanowski, *W głąb lasów Aruwimi*, Wrocław 1958, s.344.

ŹRÓDŁA

Adam MIODOWSKI

Sprawozdanie na temat stanu organizacji komunistycznej na terenie Województwa Białostockiego w latach 1937-1938.

Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi (dalej: KPZB) od początku swojego istnienia, tj. od października 1923 r. funkcjonowała nielegalnie, jako autonomiczna organizacja w ramach Komunistycznej Partii Polski (dalej: KPP). Terenem jej działania był obszar województw: wileńskiego, białostockiego, nowogródzkiego i poleskiego. W jej składzie znalazły się wszystkie organizacje komunistyczne, podległe wcześniej Komunistycznej Partii Litwy, bądź Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. KPZB skupiała w swych szeregach komunistów, baz względu na narodowość. Pracowali w jej szeregach: Żydzi, Polacy, Białorusini i Rosjanie. KPZB aktywnie popierała rozwijający się na obszarze jej działania ruch partyzancki, zwłaszcza, gdy osiągnął on swe apogeum w latach 1924-25. W tym samym czasie, tj. w 1924 r., w szeregach partii doszło do rozłamu. Wyodrębniła się wówczas grupa skupiona wokół Michała Guryna-Morozowskiego. Secesjoniści za główną siłę rewolucyjną uznali chłopów i na nich skierowali całą swą uwagę. Rozłam ów na ponad rok zahamował działalność partii. Jednakże już na początku 1926 r. KPZB przezwyciężyła kryzys wewnętrzny, dokonało się to podczas III Konferencji, która odbyła się pomiędzy 5 a 8 stycznia 1926 r. Konferencja odeszła od koncepcji zbrojnego powstania i sformułowała bieżący postulat utworzenia dla polskiej części Białorusi sejmu krajowego oraz nadania jej autonomii. Za cel ostateczny nadal uznając zjednoczenia ziem Zachodniej Białorusi z Białoruską Socjalistyczną Republiką Radziecką (dalej: BSRR). Kolejny zwrot w polityce KPZB dokonał się podczas obrad I Zjazdu partii, który odbył się w dniach 25.06-25.07.1928 r. Wycofano się wówczas z postulatu autonomii i sejmu krajowego, ograniczając się do podtrzymania hasła głoszącego potrzebę walki o samookreślenie narodu białoruskiego, aż do oderwania się i przyłączenia do BSRR. Ponadto uchwały wskazywały na konieczność ściślejszej współpracy KPZB i KPP. Zamierzano to osiągnąć poprzez wzmocnienie więzi nie tylko organizacyjnych, lecz i ideologicznych. W związku z powyższym w latach trzydziestych KPZB realizowała hasło frontu ludowego, wysunięte przez KPP. Od początku swego istnienia partia współuczestniczyła w ogólnych akcjach politycznych, podejmowanych przez KPP, jak również przygotowywała takie akcje samodzielnie. KPZB inicjowała i organizowała liczne strajki, m.in. w Wilnie, Grodnie i Białymstoku. Brała m.in. aktywny udział w przygotowaniu strajków robotników leśnych w Puszczy Białowieskiej (1933 r.), kierowała strajkami robotników rolnych i inspirowała sabotowanie zarządzeń administracji państwowej. Wpływy KPZB sięgały też organizacji białoruskich. Z pomocy partii korzystały: Hromada, Zmahańnie i niektóre oddziały Towarzystwa Szkoły Białoruskiej. W okresie największego rozkwitu KPZB, tj. w latach 1926-27, partia liczyła 3,5 tys. członków. W czasie funkcjonowania partii odbyło się wiele procesów jej członków, m.in. w Wilnie doszło do procesu młodzieży komunistycznej, tzw. procesu 94, zaś w Białymstoku w 1928 r. miał miejsce tzw. proces 133, z kolei w 1930 r. odbył się proces posłów Zamahańnia. Jednakże to nie działania represyjne doprowadziły do rozbicia KPZB. W styczniu 1936 r. Międzynarodówka Komunistyczna postanowiła rozwiązać "najbardziej opanowane przez prowokatorów ogniwa KPZB". W ten sposób zainicjowano czystkę, mającą na celu wyeliminowanie "ukrytych elementów trockistowskich". Latem 1937 r. aresztowano, a następnie zgładzono w ZSRR większość działaczy ówczesnego i poprzedniego kierownictwa KPZB, oraz wielu szeregowych działaczy tej partii. W grudniu 1937 r. Józef Stalin podjął ostateczną decyzję o likwidacji KPZB. W sierpniu 1938 r. partia została formalnie rozwiązana uchwałą Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej.

Publikowany poniżej materiał źródłowy traktuje o działalności KPZB w województwie białostockim w latach 1937-1938. Są to fragmenty "Sprawozdań ze stanu organizacji komunistycznej" na tym terenie. Sprawozdania przygotowywał Wydział Społeczno-Polityczny Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku dla Wydziału Bezpieczeństwa w Departamencie Politycznym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W chwili obecnej materiały te znajdują się w zbiorach Archiwum Państwowego w Białymstoku, stanowiąc fragment zespołu KW PZPR w Białymstoku.

Sprawozdanie I nr PB 117/5/1/37 z 13.12.1937 r.

Część I
Ogólna ocena sytuacji

Rok 1937 przyniósł całkowity niemal zanik ruchu komunistycznego i wpływów Kompartii na terenie wiejskim w okręgu łomżyńskim, obejmującym zachodnie powiaty województwa o ludności czysto polskiej.

Ruch komunistyczny na tym terenie nie odznaczał się intensywnością również w latach poprzednich, a na jego ostateczne załamanie się w 1937 roku złożyło się przede wszystkim rozbicie Okręgowego Komitetu (OK) Łomża, nader ożywiona działalność Stronnictwa Narodowego i brak zainteresowania się terenem ze strony Komitetu Centralnego KPP.

Nadto rozbicie OK, zdecydowane stanowisko Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) w Łomży do Kompartii i rozwój wypadków w ZSRR wpłynęły na osłabienie działalności KPP w Łomży, jedynym większym ośrodku robotniczym na tym terenie i zmniejszanie się wpływów komunistycznych w szeregach robotniczych, zwłaszcza żydowskich.

Zmniejszanie się wpływów Kompartii na terenie zawodowym, szczególnie wśród żydowskich związków zawodowych w następstwie procesów moskiewskich, miało miejsce również w sferze działania Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi (KPZB) w Białymstoku i Grodnie oraz w mniejszych ośrodkach przemysłowych.

Uwzględniając nadto dobry stan zatrudnienia bezrobotnych na robotach publicznych, co znacznie utrudniło poczynania partii i paraliżowało dążenie do zmontowania jednolitego frontu - Kompartia na terenie zawodowym nie mogła poszczycić się pozytywnymi rezultatami, jakkolwiek w odniesieniu do Grodna spotykała się z sympatią miejscowej PSS i Rady Klasowych Związków Zawodowych.

Natomiast na terenie wiejskim działając wśród białorusinów KPZB na ogół nie utraciła wpływów, działalność KPZB w tym terenie skierowana była głównie na wysuwanie haseł narodowościowych, zbieranie ofiar na rzecz Czerwonej Hiszpanii, zakładanie i opanowywanie legalnych organizacji, organizowanie akcji protestacyjnej przeciw polityce wewnętrznej i zagranicznej RP i organizowanie strajków chłopskich.

W większym stopniu akcje te przeprowadzane były w grodzieńskim okręgu, najbardziej zwartym terenowo i pozostającym pod stałą opieką funkcjonariuszów centralnych.

Największe rezultaty osiągnęła tam akcja zakładania kół wioskowych Stronnictwa Ludowego, z których znaczna część następnie została zawieszona przez władze Stronnictwa Ludowego, na skutek uprawiania działalności wywrotowej.

Nielegalną bibułę komunistyczną, rozpowszechnianą wśród członków w skąpej ilości, znacznie lepiej zastępowały sowieckie audycje radiowe, cieszące się na ogół dużym powodzeniem.

Na skutek przeprowadzanych likwidacji sieć organizacyjna Kompartii na terenie województwa zmniejszyła się w końcu 1937 r. o około 40% w stosunku do sieci z przed roku.

Prócz działaczy, przekazanych władzom sądowym, w ciągu 1937 roku odesłano do Miejsca Odosobnienia (MO) w Berezie Kartuskiej 36 osób, w tym z pow. augustowskiego - 2, m. Białegostoku - 5, pow. białostockiego - 4, pow. bielskiego - 4, pow. grodzieńskiego - 9, pow. łomżyńskiego - 4 i pow. wołkowyskiego - 8.

Część II
Organizacje i ich kierownicze instancje.

Na terenie województwa istnieją następujące Okręgowe Komitety:

- OK KPP Łomża, obejmujący terytorialnie powiaty: łomżyński, ostrołęcki, ostrowski, szczuczyński i wysokomazowiecki.

-OK KPZB i Komunistycznego Związku Młodzieży Zachodniej Białorusi (KZM ZB) Białystok, obejmujący: m. Białystok, powiaty: białostocki i bielski, część gminy Szudziałowo w pow. sokólskim i powiat wołkowyski za wyjątkiem gmin Zelwa i Międzyrzec, Łysków i Tereszki.

- OK KPZB i KZM ZB Grodno, obejmujący: powiat grodzieński, gminę Odelsk i część gminy Szudziałowo w pow. sokólskim oraz gminę Tereszki w pow. wołkowyskim.

Nadto na teren województwa sięga swoimi wpływami OK Słonim, któremu podlega Rejonowy Komitet (RK) Zelwa, obejmujący terenowo gminy Zelwa, Międzyrzec i Łysków w pow. wołkowyskim.

Zasięg terytorialny OK KZM ZB Białystok i Grodno pokrywają się z zasięgami tychże Komitetów partii.

Istnienia OK Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (KZMP) Łomża w okresie sprawozdawczym nie stwierdzono.

W sprawie przynależności któregokolwiek z okręgów do obwodów nie uzyskano żadnych informacji.

Z organizacji Czerwonej Pomocy istniał tylko Miejski Komitet (MK) w Białymstoku.

Okres sprawozdawczy był okresem b. silnego załamania się ruchu komunistycznego w okręgu łomżyńskim.

Jednocześnie zaznaczył się znaczny spadek wpływów komunistycznych w środowiskach miejskich i niemal całkowity zanik tych wpływów na terenie wiejskim.

Na początku 1937 r. OK KPP Łomża dążył do wzmocnienia akcji wywrotowej na terenie największego środowiska robotniczego w okręgu - w m. Łomży oraz do ożywienia zamarłych ogniw na terenie wiejskim.

Rozwiązanie w Łomży Ziązku Zawodowego Robotników Budowlanych, który łącznie z istniejącą przy tym Związku Sekcją Robotników Ziemnych, grupującą bezrobotnych, był głównym ośrodkiem wpływów komunistycznych na łomżyńskim gruncie zawodowym, osadzenie w kwietniu 1937 r. czterech czołowych działaczy z Łomży w MO, zdecydowane stanowisko PPS w Łomży do Kompartii, zatrudnienie bezrobotnych na robotach publicznych, oraz wypadki w ZSRR niemal zupełnie zahamowały akcją wywrotową w Łomży.

Osadzenie czterech działaczy w MO spowodowało nadto rozbicie OK, który do końca roku nie został odbudowany.

Jedyną próbę odbudowy OK i uaktywnienia roboty komunistycznej w okręgu podjął przybyły w maju 1937 r. funkcjonariusz OK KPP Dąbrowski Stanisław. Po jego aresztowaniu na początku czerwca nie stwierdzono żadnego zainteresowania się OK KPP okręgiem, a z braku kontaktów i inicjatywy miejscowych działaczy - ruch komunistyczny w okręgu zamarł niemal całkowicie.

Na terenie wiejskim (czysto polskim) w okręgu łomżyńskim Kompartia w ogóle nie posiadała większych wpływów, a do zniwelowania ich w okresie sprawozdawczym przyczyniła się w znacznym stopniu działalność Stronnictwa Narodowego.

W przytoczonych warunkach szereg jednostek organizacyjnych w okręgu rozpadło się, zaś istniejące nie przejawiają prawie żadnej działalności.

Zarówno OK KPZB i OK KZM ZB Białystok nie mogły poszczycić się w 1937 r. osiągnięciami na odcinku organizacyjnym.

Przeprowadzone w listopadzie 1936 roku, lutym i październiku 1937 roku liczniejsze aresztowania w Białymstoku unieruchomiły wybitniejszych działaczy i spowodowały rozbicie MK KPZB i KZM ZB oraz komórek. W rezultacie zmniejszyła się ilość komórek, zaś MK KPZB do końca roku nie został odbudowany.

W powiecie białostockim procesy przeciwko działaczom z gmin Michałowo i Zabłudów i wywołane na tym tle tarcia oraz wzajemne podejrzenia i prowokacje całkowicie niesprzyjały odbudowie rozbitych na przełomie 1936/37 roku jednostek.

Natomiast dużą uwagę OK zwrócił na rozbudowę RK Gródek jako działającego na terenie przemysłowym i posiadającego znaczne wpływy wśród okolicznych chłopów - Białorusinów zatrudnionych w lasach państwowych przy wyrębie i zwózce drzewa.

Osiągniętym na tym terenie rezultatom położyła kres likwidacja, przeprowadzona w listopadzie-grudniu 1937 roku, przy czym rozbite jednostki dotychczas nie zostały odbudowane.

Teren powiatu bielskiego, który ze względu na ośrodek przemysłowy w Hajnówce i Puszczę Białowieską, zawsze znajdował się pod szczególną opieką OK KPZB i KZM ZB Białystok stanowił również i w okresie sprawozdawczym przedmiot specjalnej troski. Jednak pomimo wysiłków instruktorów okręgowych rok 1937 przyniósł dalszą klęskę Kompartii. Zlikwidowany w kwietniu 1937 roku RK Hajnówka nie został dotychczas odbudowany. Wszczęte w lipcu tegoż roku dochodzenie w sprawie działalności wywrotowej w rejonie białowieskim spowodowały przerwanie roboty komunistycznej do końca roku. Silnie rozbudowana w latach poprzednich sieć organizacyjna w północnej części powiatu, na terenie której działał RK Bielsk, również nie została odbudowana ze względu na częściową zmianę psychiki mieszkańców, wywołaną licznymi procesami komunistycznymi, które toczyły się przez całe pierwsze półrocze 1936 roku w następstwie przeprowadzonych w 1935 r. bardzo licznych aresztowań, oraz ze względu na osadzenie w więzieniu w wyniku tych procesów wybitniejszych działaczy.

Nadto dużą rolę w wycofywaniu się z roboty komunistycznej na tym terenie odegrały wypadki w ZSRR. Z braku elementu wyszkolonego i instruktorskiego, który by te wydarzenia komentował w sensie pozytywnym dla komunizmu, były one doskonałym propagandowym materiałem antykomunistycznym.

Niepowodzenia na odcinku organizacyjnym spotkały także Kompartię w pow. wołkowyskim. Przyczyniły się ku temu trwające od lutego do września 1937 r. aresztowania na terenie gmin: Piaski, Zelwa, Międzyrzec i Świsłocz (RK Świsłocz, Zelwa, Piaski), w których w wyniku skazano na różne kary 128 osób.

Na terenie m. Białegostoku cała uwaga OK była skierowana na teren zawodowy. Wykorzystując strajk włókniarzy oraz długotrwały strajk okupacyjny w fabryce Beckera OK dążył do zmontowania jednolitego frontu. Dążenia te nie tylko nie dały żadnego pozytywnego rezultatu, lecz odwrotnie, obserwuje się stałe zmniejszanie się wpływów komunistycznych w związkach zawodowych, szczególnie żydowskich. Główną przyczyną tego zjawiska są procesy w ZSRR. Na niepowodzenie OK na terenie zawodowym nadto składają się bardziej zdecydowane stanowiska PPS i Bundu w Białymstoku w stosunku do Kompartii.

Zjawisko zanikania wpływów komunistycznych budzi obawy w OK, który kładzie je na karb agitacji trockistów, w związku z czym poleciło pilnie zwalczać trockizm i usuwać jego zwolenników z szeregów partii i KZM.

Poza tym z poważniejszej działalności propagandowej na terenie m. Białegostoku należy wymienić akcje pomocy Czerwonej Hiszpanii. Pomoc ta niemal wyłącznie polegała na zbieraniu ofiar.

Na terenie wiejskim, zamieszkałym w dużym stopniu przez Białorusinów, oraz małomiasteczkowym działalność OK szła głównie po linii: 1. budzenia nacjonalizmu białoruskiego przez wysuwanie haseł z żądaniami otwierania szkół białoruskich i kursów wieczorowych w języku białoruskim; 2. rozbudowy i opanowania legalnych organizacji; 3. popularyzowania Czerwonej Hiszpanii przez zbieranie ofiar i wysyłanie ochotników; 4. organizowania strajku chłopskiego; 5. organizowania akcji protestacyjnej przeciw polityce wewnętrznej i zagranicznej RP; 6. organizowania strajku robotników leśnych i wozaków i 7. nabywania radioodbiorników.

Ze względu na wyżej przytoczone okoliczności, które spowodowały znaczne rozbicie sieci organizacyjnej wymienione akcje, za wyjątkiem akcji pomocy Czerwonej Hiszpanii, nie nosiły masowego charakteru.

Ofiary na pomoc Czerwonej Hiszpanii zbierane były przez cały rok przy każdej sposobności, natomiast odnośnie wyjazdu ochotników do Hiszpanii, to informacje w tym względzie są dość luźne i wskazywały zaledwie na kilka takich wypadków wyjazdu pojedynczych osób.

Należy zaznaczyć, że w przeciwieństwie do powiatu bielskiego, gdzie nastąpiła zmiana w ustosunkowaniu się do Kompartii i gdzie procesy moskiewskie stanowiły propagandę antykomunistyczną - na pozostałym terenie

okręgu białostockiego sympatia wśród Białorusinów do Kompartii nie uległa zmianom i wpływy jej tam nadal są duże. Rolę bibuły nielegalnej odgrywają tu powszechnie słuchane sowieckie audycje radiowe, odpowiednio komentowane przez wyrobionych działaczy.

Z pośród istniejących na terenie województwa Komitetów Okręgowych największą żywotnością odznaczał się OK KPZB i KZM ZB Grodno. Siedziba tych komitetów jak i ich obsada nie jest znana. Obsady OK KPZB i KZM ZB Grodno stanowią najprawdopodobniej stale uwijający się po okręgu instruktorzy, nadsyłani przez OK, z których rozpracowani zostali tylko Czernak Daria, występująca pod ps. Mirka i Dnowicz Liba - ps. Nina (aresztowana 30 grudnia 1937 r.).

Instruktorzy ci, ustawicznie zmieniający miejsce pobytu, byli głównymi sprężynami ruchu komunistycznego.

Silnie rozbudowana w latach poprzednich sieć organizacyjna zmniejszyła się w końcu 1937 r. o około 35% na skutek likwidacji, zaś ilość ujętych w ramy komórek członków zmniejszyła się o z górą 50%, bowiem wielu członków partii i KZM ZB wstąpiło do legalnych organizacji lub w ogóle wystąpiło z komórek, lecz bierze nadal czynny udział we wszystkich poczynaniach Kompartii. Zresztą powstrzymywanie się w pow. grodzieńskim od współdziałania z partią powoduje najczęściej stosowanie bojkotu lub terroru względem osoby uchylającej się.

Ogólnie biorąc wpływy komunistyczne na terenie wiejskim w okręgu grodzieńskim pozostały na poziomie z końca 1936 r.

Podobnie jak w innych ośrodkach działalność OK w Grodnie była skierowana na teren zawodowy, przy czym na podkreślenie zasługuje przychylne ustosunkowanie się do Kompartii miejscowej Rady Klasowych Związków Zawodowych i PPS które jednak nie idą już na koncepcję jednolitofrontową.

Pomimo takiego stanowiska Rady i PPS wpływy Kompartii w szeregach robotniczych nieco zmalały dzięki zatrudnieniu bezrobotnych na robotach publicznych i wypadkom w ZSRR.

OK Grodno przeprowadziło na terenie wiejskim takież akcje jak OK Białystok, wyjąwszy akcję organizowania strajku robotników leśnych i wozaków, lecz z większym powodzeniem.

Zbieranie ofiar na pomoc Czerwonej Hiszpanii przeprowadzono na większą skalę, niż na pozostałym terenie województwa. Wzrosło znacznie zainteresowanie sowieckimi audycjami radiowymi, w których niejednokrotnie podawane są wiadomości z powiatu grodzieńskiego. W wyniku dążeń do zakładania legalnych organizacji, założono kilkanaście kół wioskowych Stronnictwa Ludowego, których część została zawieszona przez Zarząd Powiatowy Stronnictwa Ludowego wobec całkowitego ich skomunizowania. Pod płaszczykiem Stronnictwa Ludowego OK usiłował zorganizować strajk chłopski, posługując się nawet terrorem, lecz ze względu na słabą organizację tej akcji nie odbiła się ona szerszym echem i nie dała żadnych pozytywnych dla partii rezultatów.

Wpływy OK w Słonimiu obejmują tylko RK Zelwa w pow. wołkowyskim. Do czasu likwidacji tego OK w pierwszej połowie 1937 r. był on organizacyjnie związany z OK Białystok. Rozbicie go oraz trudności utrzymywania kontaktu z Białymstokiem spowodowały, że rejonem zelwiańskim zajął się w końcu OK Słonim.

Dzięki stałym kontaktom z intsruktorami OK Słonim oraz nader czynnemu udziałowi działaczy, zwolnionych w ostatnich miesiącach z więzień po odbyciu kary, akcja budowy RK Zelwa posuwa się szybko naprzód.

Po likwidacji MK KPZB w Augustowie w 1936 r. i osadzeniu w MO w 1937 r. Serwiańskiego Nowacha - Josela ruch komunistyczny całkowicie zamarł.

MK KPZB w Białymstoku na skutek aresztowań w październiku 1937 r. został rozbity. Aresztowania te spowodowały także zawieszenie działalności MK KZM ZB i Czerwonej Pomocy. Wpływały w szeregach robotniczych, zwłaszcza żydowskich, stale maleją.

RK KPZB Gródek został rozbity w listopadzie - grudniu 1937 r. Był najżywotniejszym i najsilniej zorganizowanym w powiecie. Terytorialnie obejmuje gminę Gródek w pow. białostockim, oraz część gmin Szudziałowo w pow. sokólskim i Jałówkę w pow. wołkowyskim. Podległe RK komórki były podzielone na pięć grup, zwanych odcinkami (sprawa odcinków została omówiona w specjalnym piśmie z dnia 2 IV 1937 r. nr PN.40/37 P.).

Największy wysiłek RK kierował na realizację haseł narodowościowych białoruskich, zbieranie ofiar na rzecz Czerwonej Hiszpanii i wywołanie strajku robotników leśnych i wozaków.

RK KPZB Choroszcz został zdekompletowany wobec osadzenia w MO dwóch członków. Obejmuje gminę Choroszcz, dążył do współpracy ze Stronnictwem Ludowym.

RK KPZB Supraśl silnie podupadł w 1937 r. i wpływami nie sięga poza m. Supraśl.

MK KPZB w Michałowie, MK KPZB w Zabłudowie i MK KPZB w Jesionówce prowadzą b. słabą działalność i nie wkraczają na teren wiejski.

MK KPZB w Goniądzu działał tylko w Goniądzu. Został rozbity w październiku 1937 roku.

RK KPZB Hajnówka (pow. bielski) obejmuje gminę hajnowską i częściowo gminy: Masiewo, Narew i Orla. Został rozbity w kwietniu 1937 r. i działalności nie przejawia.

RK KPZB Białowieża poza gminą Białowieża obejmował grupę komórek w Krynicy, pow. prożańskiego. Od szeregu miesięcy działalności nie przejawia.

Pewne dane wskazują na istnienie sieci organizacyjnej Kompartii w Brańsku i Siemiatyczach, lecz nie została ona rozpracowana.

W powiecie grodzieńskim istnieją: MK KPZB i MK KZM ZB w Grodnie, RK KPZB i RK KZM ZB Hornica, obejmujące gminę Hornicę, Żydomlę i Wiercieliszki. Został częściowo rozbity w grudniu 1937 roku.

RK KPZB i RK KZM ZB Indura, obejmujące gminy Indurę, Łaszę i częściowo Łunnę. RK KZM ZB został zupełnie rozbity w sierpniu 1937 roku.

RK KPZB i RK KZM ZB Olekszyce, obejmujące gminę Brzostowica-Mała i częściowo Ejsmonty Wielkie. RK KZM ZB został całkowicie rozbity w grudniu 1937 roku.

RK KPZB i RK KZM ZB Krynki obejmuje gminę Krynki oraz część gmin Odelsk i Szudziałowo w pow. sokólskim.

MK KPZB i MK KZM ZB w Krynkach, RK KPZB i RK KZM ZB Brzostowica, obejmujące gminę Brzostowicę Wielką i częściowo gminy Ejsmonty Wielkie i gm. Tereszki, w pow. wołkowyskim.

RK KPZB i RK KZM ZB Łunna, obejmujące gminę Łunnę i Gudziewicze oraz częściowo gm. Wołpa i Dubno.

RK KPZB i RK KZM ZB Hołynka, obejmujące gm. Hołynkę i częściowo gm. Krynki. RK KZM ZB został częściowo rozbity w październiku 1937 roku.

RK KPZB i RK KZM ZB Skidel, obejmujące gminy Skidel i Jeziory.

Na terenie działalności RK KZM ZB Indura, Oleszyce i Brzostowice stosowany był podział na odcinki

Młodzieżowe Komitety rejonowe odznaczały się żywszą działalnością niż Komitety partyjne, przy czym najczynniej pracowały RK KZM ZB Hornica, Indura, Olekszyce, Brzostowica i Hołynka prowadząc akcje zakładania i opanowywania kół Stronnictwa Ludowego, zbierania ofiar na rzecz Czerwonej Hiszpanii, organizując wysyłanie protestów przeciw polityce wewnętrznej i zagranicznej RP, wysuwając hasła z żądaniami szkół i kursów białoruskich i dążąc do urządzenia strajku chłopskiego.

Zasięg terytorialny rejonowych Komitetów Młodzieżowych pokrywa się z zasięgiem tychże Komitetów partii.

W powiecie łomżyńskim istnieją:

MK KPP w Łomży - wobec braku obsady OK podejmował słabe i bezskuteczne starania zajęcia kierowniczego stanowiska w okręgu łomżyńskim.

MK KPP w Zambrowie - ograniczał się do utrzymania kontaktów z członkami Kompartii - żydami, zam. w Zambrowie.

Istniejąca w powiecie ostrołęckim OK KPP Ostrołęka z siedzibą we wsi Borawe nie przejawiała niemal żadnej działalności.

W powiecie ostrowskim istnieje tylko MK KPP w Ostrowii Mazowieckiej. Z braku dyrektyw i wyrobionych działaczy prawie żadnej działalności nie prowadzi.

W powiecie sokólskim prócz 9 komórek na terenie powiatu nie ma wyższych jednostek organizacyjnych.

W powiecie suwalskim po rozbiciu RK KPZB Suwałki w styczniu 1937 roku - ruch komunistyczny całkowicie zamarł.

W powiecie szczuczyńskim sieć organizacyjna rozpadła się całkowicie wobec braku kontaktów z wyższymi jednostkami.

W powiecie wołkowyskim:

- MK KZM ZB w Wołkowysku stale rozbijany nie był zdolny do przeprowadzenia poważniejszej działalności.

- RK KPZB Wołkowysk, obejmujący gminy Biskupiec, Roś i częściowo Piaski, prawie od początku 1937 roku nie prowadził żadnej działalności z obawy przed represjami, jakie zostały przeprowadzone we wschodniej części powiatu (likwidacje RK Piaski i Zelwa).

- RK KPZB Zelwa, pomimo całkowitego niemal rozbicia w pierwszej połowie 1937 roku, został w znacznej części odbudowany w końcu roku i obejmuje gminę Zelwę, Międzyrzecz i Łysków.

- RK KPZB i RK KZM ZB Zadworzańce, znany poprzednio RK Święcica, od miejsca zamieszkania sekretarza. RK obejmuje gminy Izabelin i Mścibów i zajęty był montowaniem sieci organizacyjnej.

W powiecie wysokomazowieckim żadne ogniwa organizacyjne nie istnieją (...).

Sprawozdanie II nr PB 117/6/1/38 z 16.12.1938 r.

Część I

Ogólna ocena sytuacji w ruchu komunistycznym

Z uwagi na sytuację, jaka wytworzyła się w ruchu komunistycznym w związku z rozwiązaniem partii komunistycznej w Polsce, okres sprawozdawczy należy podzielić na dwa podokresy: pierwszy - od początku 1938 r. do rozwiązania partii i drugi - od rozwiązania do końca 1938 r.

Już w pierwszym podokresie natężenie ruchu komunistycznego na terenie województwa znacznie zmniejszyło się w porównaniu do 1937 roku. Złożyło się na to szereg przyczyn, tak natury wewnętrznej, jak i zewnętrznej.

Z ważniejszych przyczyn wymienić należy: słabe obsługiwanie terenu przez funkcjonariuszy centralnych, z których część w dodatku nie przedstawiała większej wartości dla partii, represje dokonane w grudniu 1937 r. i w ciągu 1938 r. (w 1938 r. przekazano władzom sądowym 80 komunistów, zaś 18 osadzono w MO) i związane z nimi wzajemne podejrzenia o prowokacje i tarcia, brak sprężystego kierownictwa w poszczególnych jednostkach organizacyjnych, dalsze akty terroru w ZSRR i klęski ponoszone przez wojska czerwone w Hiszpanii, co powodowało zniechęcenie do sprawy partyjnej i poderwanie zaufania w siły Kominternu.

W tych warunkach nie tylko nie odbudowano rozbitych jednostek organizacyjnych, lecz szereg istniejących w 1937 r. rozpadło się, co w rezultacie przyniosło straty na odcinku organizacyjnym w postaci zmniejszenia się ogniw o prawie 27% w porównaniu do stanu z końca grudnia 1937 r.

Stąd też działalność istniejących jednostek organizacyjnych była słaba i polegała niemal wyłącznie na opanowywaniu legalnych organizacji, akcji moprowskiej i na rzecz Czerwonej Hiszpanii oraz akcji nabywania radioodbiorników i słuchania audycji sowieckich. Nie dotyczy to okręgu łomżyńskiego, gdzie postępujący z roku na rok upadek ruchu komunistycznego dobiega do końca.

Notowana w 1937 r. w powiecie grodzieńskim akcja przenikania do kół Stronnictwa Ludowego została zahamowana drogą rozwiązania kół SL na terenie białoruskim i zaniechania przez władze SL zakładania dalszych kół wśród Białorusinów w tym powiecie. Natomiast z powodzeniem jest wykorzystywana przez element komunistyczny akcja organizacyjna władz Stronnictwa

Ludowego wśród Białorusinów w powiecie wołkowyskim.

(...)

Rozwiązanie partii komunistycznej wywołało chaos w szeregach komunistycznych, zaś dotychczasowy brak danych i dyrektyw co do przyszłej struktury ruchu komunistycznego - kompletną dezorientację i zdenerwowanie.

Od czasu otrzymania informacji o rozwiązaniu partii wszystkie jednostki organizacyjne, za wyjątkiem odznaczającego się największą żywotnością na terenie województwa RK KPZB Zelwa i podległych mu komórek, zawiesiły swoją działalność.

Pewne nadzieje na zmianę sytuacji wywołał zatarg polsko-czechosłowacki. Spodziewano się wybuchu wojny pomiędzy Polską a Czecho-Słowacją i w tym przypadku liczono na wystąpienie zbrojne ZSRR przeciwko Polsce. Łącznie z tym podjęto agitację za uchylaniem się przed mobilizacją i tworzeniem band dywersyjno-sabotażowych.

W końcu okresu sprawozdawczego szereg aktywistów, zniecierpliwionych przedłużającą się przymusową bezczynnością rozpoczęło pracę na własną rękę, polegającą bądź na działalności organizacyjnej i wewnętrznej, bądź penetrowaniu terenu. Dotychczas stwierdzono następujące tego rodzaju fakty:

1. "Trójka Włókiennicza" w Białymstoku starała się wznowić działalność w mieście i przejąć w swoje ręce całe kierownictwo, lecz po bezskutecznych wysiłkach narazie zaniechała akcji.

2. Przebywająca w Białymstoku b. instruktorka wiejska Daria Czernak penetruje rejon gródecki, odwiedza ten teren i utrzymuje stałe kontakty z kierownictwem rejonu, które wysunęło projekt zorganizowania tymczasowego kierownictwa KPZB, które by pokierowało robotą w terenie i dało by możność ujścia energii dołom partyjnym.

3. Zorganizowanie MK KPZB i dwóch komórek w Wasilkowie, pow. białostockiego.

4. Rozpoczęcie penetracji terenu i typowanie ludzi do roboty na przyszłość przez Aleksandra Matysa w Grodnie.

Ponadto wśród aktywistów KZM ZB w Białymstoku rozważana jest kwestia zorganizowania kółek samokształceniowych, któreby skupiały w sobie członków b. KZM ZB i uchroniły ich od dalszej demoralizacji wywołanej bezczynnością.

Dodać należy, że jakkolwiek z roku na rok słabnie natężenie ruchu komunistycznego na terenie województwa i maleje ilość komunistycznych jednostek organizacyjnych, nie mniej jednak na terenie wschodnich powiatów jest pokaźna ilość komunistów, którzy z różnych względów nie należą formalnie do organizacji komunistycznej oraz sympatyków komunizmu, którzy w sprzyjających ruchowi komunistycznemu okolicznościach, mogą go wydatnie wesprzeć i stać się aktywistami.

Część II

Organizacje komunistyczne i ich kierownicze instancje.

A. Władze centralne

W okresie sprawozdawczym przebywali na terenie województwa następujący funkcjonariusze centralni jako instruktorzy: ps. "Gruby" w okręgu białostockim, ps. "Michał", ps. "Kola", ps. "Łukasz" i ps. "Tania" - w okręgu grodzieńskim (wszyscy nie rozpracowani) oraz Wanda Michalewska, Boruch Peczeniuk - ps. "Saszka" i Daria Czernak - ps. "Warka", ps. "Mała" - w okręgu białostockim.

Z wymienionych osób przebywa nadal w terenie tylko Daria Czernak.

B. Okręgowe Komitety

W 1938 r. istniały OK KPZB i KZM ZB Białystok oraz OK KPZB i KZM ZB Grodno.

OK KPP Łomża, rozbity w 1937 r. nie został odbudowany, co powoduje stałe rozpadanie się jednostek organizacyjnych w tym okręgu.

Nadto sięga swoimi wpływami na teren województwa OK KPZB Słonim, obejmując rejon Zelwiański w pow. wołkowyskim.

OK KPZB i KZM ZB Białystok

Okręg białostocki obejmuje terytorialnie m. Białystok pow. białostocki, bielski i wołkowyski za wyjątkiem gmin Zelwa, Międzyrzec i Tereszki.

Zarówno OK KPZB jak OK KZM ZB nie odznaczały się większą aktywnością. Na akcję organizacyjną zwracano w okręgu mniejszą uwagę i na tym odcinku partia i KZM ponosiły straty, natomiast większa uwaga była skupiona na opanowanie legalnych organizacji co w rezultacie przynosiło nieznaczne sukcesy w poszczególnych organizacjach. Najsłabsze rezultaty osiągnięto w Białymstoku. Z braku odpowiedniego kierownictwa teren zawodowy w Białymstoku był na ogół zaniedbywany, co stało się powodem ostrej krytyki ze strony CK KPZB. Po rozwiązaniu partii sytuację w mieście starała się opanować "trójka na włókno" w składzie Rejzla Gurwicz, Nadzieja Rożko i Jacha Sidrańska, z którymi następnie zaczęła współpracować Fejga Cygielnicka, lecz ostatecznie zaniechały wszelkich akcji.

Poza tym na terenie wiejskim w okręgu białostockim również zwrócono uwagę na opanowanie legalnych organizacji oraz zbierano składki moprowskie i na pomoc Czerwonej Hiszpanii.

Akcja zaopatrywania się w radioodbiorniki doprowadziła do zagęszczenia sieci odbiorczej.

Rozwiązanie partii położyło nieomal całkowity kres tym akcjom za wyjątkiem ostatniej i spowodowało kompletny chaos i dezorientację. Pewne nadzieje na zmianę w sytuacji obudził dopiero zatarg polsko-czechosłowacki. W szeregach komunistycznych powszechnie oczekiwano wybuchu wojny pomiędzy Polską a Czecho-Słowacją. Spodziewano się przy tym wkroczenia wojsk sowieckich do Polski, a nawet wybuchu rewolucji komunistycznej w Polsce i w związku z tym podjęto agitację za uchyleniem się przed ewentualną mobilizacją, tworzeniem

band dywersyjno-sabotażowych i wstępowaniem do szeregów armii sowieckiej.

Zdenerwowanie spowodowane przedłużającym się kryzysem zaczyna stopniowo wywoływać odruch u poszczególnych jednostek i grup b. aktywistów i ich samodzielne poczynania. Zjawisko to zauważono w powiecie białostockim (rejon gródecki i m. Wasilków). Nadto przebywająca w Białymstoku b. instruktorka wiejska Daria Czernak zaczyna na własną rękę penetrować teren.

OK KPZB, OK KZM Grodno

Okręg grodzieński obejmuje terytorialnie pow. grodzieński, gm. Odelsk, Szudziałowo w pow. sokólskim oraz gm. Tereszki w pow. wołkowyskim.

Siedziba OK nie jest znana.

Istniejące w okręgu jednostki organizacyjne wykazały nieznaczną zaledwie żywotność, ograniczając niemal wyłącznie swoją działalność do zbierania składek na rzecz Czerwonej Hiszpanii i więźniów komunistów. Praca na odcinku organizacyjnym była tak dalece zaniedbana, że Rejonowe Komitety, rozbite na skutek aresztowań w grudniu 1937 r. nie zostały odbudowane.

Od czasu rozwiązania partii zaniechano nawet zbierania składek, tym bardziej, iż w wielu przypadkach uzyskane tą drogą pieniądze były trwonione przez poszczególnych działaczy.

C. Rejonowe i Miejskie Komitety wg. powiatów

W Białymstoku istniały MK KPZB, KZM ZB i Mopru, odbudowane po aresztowaniach w październiku 1937 r. MK Mopr działał do końca okresu sprawozdawczego przychodząc z pomocą zwłaszcza dzieciom więźniów komunistów. Otrzymywał m.in. na ten cel drobne kwoty z Ameryki.

MK KPZB i KZM ZB rozwijały słabą i nieudolną działalność wskutek czego teren zawodowy, na który władze centralne zawsze kładły specjalny nacisk, został zaniedbany. Po rozwiązaniu partii inicjatywę w mieście starała się wziąć w swoje ręce trójka na włókno", lecz w końcu nie mając żadnych dyrektyw i kontaktów zrezygnowała z wszelkich akcji. W końcu okresu sprawozdawczego b. aktywiści KZM zaczęli zastanawiać się nad zorganizowaniem kółek samokształceniowych by zapobiec dalszej demoralizacji w szeregach b. członków KZM ZB, płynącej z przymusowej bezczynności.

Miejskim Komitetom KPZB i KZM ZB podlegały dwie komórki KPZB i cztery KZM ZB oraz aktyw w związkach zawodowych.

Sytuacja w powiecie białostockim:

1. RK KPZB Gródek w stadium odbudowy z komórkami KPZB w Gródku, Załukach, Waliłach i Mieleszkach oraz KZM ZB w Załukach i Waliłach. Tam akcji odbudowy położyło kres rozwiązanie partii, lecz miejscowy aktyw zniecierpliwiony długim oczekiwaniem dyrektywy w sprawie przyszłej struktury ruchu komunistycznego wysuwa konieczność powołania tymczasowego kierownictwa KPZB, któreby nastawiło pracę i dało możliwość znalezienia ujścia dla impulsywnych dołów.

RK utrzymuje kontakt z b. instruktorką wiejską Darią Czernak, zam. w Białymstoku.

2. MK KPZB w Michałowie z komórkami KPZB - trzy w Michałowie, jedna w Pienkach i dwie komórki KZM ZB w Michałowie.

MK dąży do przekształcenia się w RK. W tym przypadku weszłaby do niego grupa komórek z pow. wołkowyskiego (odcinek "Łuka"), która ciąży do Michałowa.

3. MK KPZB w Zabłudowie z komórkami w Zabłudowie i Solnikach oraz KZM ZB w Zabłudowie działalności nie przejawiały.

MK KPZB w Wasilkowie znajduje się w stadium rozbudowy. Powstał po rozwiązaniu partii. Dotychczas posiada jedną komórkę KPZB i KZM ZB.

5. RK KPZB Supraśl zdezorganizowany na skutek tarć i nieporozumień wewnętrznych nie przejawia działalności od czasu osadzenia w MO Elego Wajnera w marcu 1938 r. (zwolniony 13 I 1939 r.).

6. RK KPZB Choroszcz z komórkami KPZB w Toplicach, Zaczerlanach, Baciutach i Kosiukach działalności nie przejawiały.

W powiecie bielskim poza mężami zaufania żadne jednostki organizacyjne nie są wykryte.

W powiecie grodzieńskim:

1. MK KPZB i KZM ZB w Grodnie słabo obsługiwane przez instruktorów, którzy wyłącznie operowali na terenie wiejskim, skierował cały swój wysiłek na zachowanie swoich wpływów na gruncie związków zawodowych. Podlegały im cztery komórki KPZB i osiem KZM ZB. Rozwiązanie partii wywołało duży chaos. W końcu roku Aleksander Matys, sekretarz MK KPZB samorzutnie wszczął badanie wartości b. członków partii pod kątem ich przydatności do ewentualnej nowej organizacji komunistycznej.

2. MK KPZB i KZM ZB w Krynkach. Prócz aktywu w Związku Robotników Przemysłu Skórzanego i Pokrewnych podporządkowane im były komórki KPZB i KZM w Krynkach oraz utrzymywały z nimi kontakty komórki KPZB w Harkawiczach i Słoi oraz KZM ZB w Słoi, pow. sokólski. Z uwagi na rozwinięty w Krynkach przemysł garbarski działalność była skierowana na opanowanie związku garbarskiego.

3. RK KPZB i KZM ZB Skidel z komórkami KPZB w Skidlu, Glinianach, Bondarach, Łaknie, Kowszowie, Strzelcach i Mszanowie oraz KZM ZB w Skidlu, Strzelcach, Bondarach, Jeziorach, Koniuchach i Karaszewie nie przejawiały żadnej działalności poza zbieraniem składek na Czerwoną Hiszpanię.

4. RK KPZB i KZM ZB Hornica z komórkami KPZB w Hornicy i Migowie oraz KZM ZB w Migowie, Hornach, Obuchowie, Swikowie, Kołpakach i Nowosiółkach rozwijały poważnie działalność organizacyjną. Nadto zbierały składki moprowskie i na Czerwoną Hiszpanię.

5. RK KPZB Indura z komórkami KZM w Indurze i Baranowie. Wobec nieodbudowania RK KZM ZB podlegały mu nadto komórki KZM ZB w Doroszewiczach, Dekałowiczach, Chomikach, Suchej Dolinie, Kalenikach, Kuncowiszczyźnie, Łaszy, Bobrownikach, Mogilanach, Kozłach i Koniuchach. Największą aktywność przejawiały w masowej akcji moprowskiej i na rzecz Czerwonej Hiszpanii, co spowodowało przypadki obracania tych

pieniędzy przez poszczególnych działaczy na własne potrzeby i w rezultacie zniechęciło członków do tej akcji.

6. RK KPZB Olekszyce z komórkami KPZB w Trzeciakach, Konoszanach i Spudiwłach. Wobec nieodbudowania RK KZM ZB podlegały mu nadto komórki KZM ZB w Trzeciakach, Małych Golniach, Małych Żukiewiczach, Kamionce i Chylakach. RK KPZB i KZM były rozbite w grudniu 1937 r. i w okresie sprawozdawczym rozwijano nieomal wyłącznie działalność organizacyjną.

7. RK KPZB i KZM ZB Brzostowica z komórkami KPZB w Daniłkach, Kalenikach, Ejminowcach, Starzyncach, Leśniewiczach i Brzostowiczanach oraz KZM ZB w Brzostowicy Wielkiej, w Starzyncach, Ejminowicach, Brzostowiczanach (wsi i majątku), Trumpach, Parfimowcach i Dołbiance poza akcją organizacyjną przeprowadzał zbiórki moprowskie i na rzecz Czerwonej Hiszpanii. W ostatnim czasie zauważono dążność do wznowienia akcji moprowskiej, zaniechanej od czasu rozwiązania partii, a nawet założono koło Mopru w Brzostowicy.

8. RK KPZB i KZM ZB Hołynka z komórkami KPZB w Rudkach i Łosinianach oraz KZM ZB w Hołynce, Rudkach, Łosinianach, Sanikach, Kruszynianach i Bobrownikach prowadziły słabą działalność organizacyjną oraz akcję moprowską.

W powiecie łomżyńskim poza mężami zaufania istnienia żadnych jednostek organizacyjnych nie stwierdzono.

W powiecie ostrołęckim OK KPP Ostrołęka z siedzibą we wsi Borawe oraz komórkami KPP w Ostrołęce, Borawem, Goworowie, Opęchowie, Grucelach i Lipnikach z braku kontaktów i dyrektyw nie przejawiał żadnej działalności.

W powiecie sokólskim wykryto tylko dwie komórki KPZB i jedną KZM ZB.

W powiecie suwalskim poza mężami zaufania istnienia żadnych jednostek organizacyjnych nie stwierdzono.

W powiecie szczuczyńskim stwierdzono obecność męża zaufania w Przechodach.

W powiecie wołkowyskim:

1. RK KPZB Zelwa z siedzibą w Iwaszkiewiczach przez cały okres sprawozdawczy był bezsprzecznie najaktywniejszą jednostką w całym województwie. Stale odbudowywany pomimo ustawicznych represji nie zaniechał działalności pomimo rozwiązania partii. Poza akcją organizacyjną prowadzono w większym stopniu akcję moprowską i na rzecz Czerwonej Hiszpanii, opanowywania legalnych organizacji i akcję nabywania radioodbiorników oraz w mniejszym stopniu akcje antypodatkowe i antyszarwarkowe. Rejon jest podzielony na "odcinki". Stwierdzono istnienie następujących "odcinków": Iwaszkiewicze z komórkami KPZB i KZM ZB w Iwaszkiewiczach, Słowatycze z komórkami w Chomiczach (jedna KPZB i jedna KZM ZB) i Piotrowiczach (dwie KPZB i jedna KZM ZB), Pawłowicze z dwiema komórkami KZM ZB i jedną KPZB w Pawłowiczach, Agatów z dwiema komórkami KPZB i jedną KZM ZB w Agatowie. Zblany z komórką KPZB w Zblanach i Karolin z komórką KPZB w Karolinie. Nie ustalono przydziału do "odcinków" komórek: KPZB w Cyganówce, KPZB i dwóch KZM ZB w Zienkowcach, KPZB i dwóch KZM ZB w Zaprudziu, KPZB w Piczukach, KPZB w Konnej i KZM ZB w Borodziczach.

2. RK KPZB w Zadworzance z komórkami KPZB w Zadworzancach, Święcicy, Kryuliczach, Sidorkach i Zarzeczanach prowadził słabą działalność organizacyjną oraz akcję nabywania radioodbiorników.

Poza tym zasługuje na wzmiankowanie "odcinek" KPZB Łuka, ciążący do MK KPZB w Michałowie, z komórkami KPZB w Łuce, Bołtrykach i Starym Lewkowie (dwie), który niemal wyłącznie skupił swoją uwagę na podporządkowaniu oddz. Związku Transportowców w Bołtrykach, oraz komórki w gminie Podorosk i Łysków (rejon podoroski), które w znacznym stopniu opanowały okoliczne koła Stronnictwa Ludowego (...).

Michał GNATOWSKI

Z tajnych radzieckich archiwów

Niedokończony meldunek kpt. Janusza Szulca, Prawdzica-Szlaskiego do komendy Głównej ZWZ.

W opracowanych w 1946 r. we Włoszech wspomnieniach o początkach pracy konspiracyjnej na Białostocczyźnie J. Prawdzic-Szlaski pisze:

„W czasie pracy inspekcyjnej w Grodnie, kontrolując pracę „Kaliksta" [1], zostałem aresztowany przez bolszewików w dniu 21 lutego 1941 r. w samo południe. O kwaterze mojej wiedział tylko „Kalikst", którego bolszewicy wzięli wieczorem 20 lutego i widocznie musiał, mimo woli, wskazać moje miejsce pobytu. Nikt mnie o aresztowaniu „Kaliksta" nie zawiadomił i dlatego też wpadłem.

Pamiętam jak dziś, pisałem meldunek do Komendy Głównej, gdy gospodyni moja, p. Wołejkowa, wpadła nagle do pokoju krzycząc, że bolszewicy idą. Zdążyłem tylko zniszczyć meldunek, gdy wpadło ich trzech z mauserami do pokoju. Dom był obstawiony. Rzucono mnie na tapczan i zaczęto rewidować dokładnie. Jeden z NKWD-zistów widząc moje dość długie wąsy złapał za nie i posiągnął tak mocno, że zawyłem z bólu. Chciał widocznie sprawdzić czy są prawdziwe. Sprężyłem się i wyrżnąłem go z całej siły obiema nogami w klatkę piersiową. Zatoczył się do tyłu i siadł ciężko na ziemi. Zerwał się jednak natychmiast i podbiegł chcąc się ze mną rozprawić ale major powstrzymał go ręką. Jednak zemścił się na mnie za to i w czasie pierwszego badania w NKWD trzepnął mnie rączką nagana w zęby, wybijając

mi ich 7 w górnej szczęce, tak, że mało brakowało abym się własnymi zębami nie zadławił. Przywołał z zewnątrz innego NKWD-zistę, skuli mnie w kajdany i zaprowadzili do samochodu. Zostałem zawieziony do budynku magistrackiego w Grodnie, gdzie mieściła się placówka NKWD, skąd specjalnym wagonem kolejowym (motorowym) odwieziono mnie do Białegostoku."[2]

Pracując w archiwum w Mińsku znalazłem przy meldunku NKWD o aresztowaniu kpt. Jana Szulca-Prawdzica rosyjski przekład wymienionego we wspomnieniu „zniszczonego" meldunku. Prawdopodobnie został on odtworzony ze strzępów brudnopisu. Oto pełny tekst:

W ślad za moim raportem nr 1 z 5.I.(1941 r.)[3] donoszę, że kontynuuję pracę w okręgu „Sukno".[4] Kiedy przybyliśmy to razem z „Maciejem"[5] zastaliśmy już zorganizowaną konspirację w powiatach: Łomża, Wysokie Mazowieckie i częściowo Bielsk (jedno słowo niecztelne). Wprowadziliśmy w nich porządek (nakazany przez) Komendanta Głównego. W pozostałych miejscowościach okręgu i województwa działalności jeszcze nie rozpoczęliśmy.

Praca jest tu ciężka dlatego, że bardzo trudno jest znaleźć kwaterę i środki komunikacji. Nawet same najlepsze dokumenty i alibi nie mają żadnego znaczenia, liczy się tylko szczęście i dokładna znajomość miejscowych stosunków, zdobyte doświadczenie, które mogą zapewnić osobiste bezpieczeństwo na tym specyficznym obszarze oraz pozwolić na swobodne przemieszczanie się. W nadgranicznych wsiach i w 30-kilometrowym obszarze od granicy znajdują się specjalni obserwatorzy, którzy śledzą każdą miejscowość, czy nie znajduje się w niej lub przebywa obca osoba. Chłopi pod groźbą wywózki zobowiązani są do meldownia o pojawieniu się obcych ludzi.

Z więzienia wrócił OBTUŁOWICZ[6], podpisał deklarację o współpracy (z NKWD). Poinformował o tym, że jakoby uciekł i oczekuje rozkazu KG o odwołaniu. W ostatnich dniach aresztowano kilka osób, które kontaktowały się z nim Grodnie. Sprawa bardzo niejasna.

Na obszarze lwowskim na rzecz bolszewików pracuje „Gula"[7]. „Powała"[8] odciął się od naszej organizacji i przeszedł na stronę grupy lwowskiej, która jest przeciwna naszemu obecnemu rządowi. Pieniądze otrzymane z KG przywłaszczył sobie. Grupę tę staram się rozbić.

Przy doborze ludzi dla tych obszarów proszę pamiętać: wszyscy przybywający na te obszary powinni póki co wykonywać wszystkie wskazówki ludzi miejscowych, sprawę pełnomocnictw należy rozstrzygać indywidualnie a także należy dla każdego indywidualnie określać zakres pracy i wszelkie zmiany, które mogą wyniknąć w związku z ubytkiem członków itd.

Ludzie przysyłani powinni być ubrani należycie - różnic żadnych nie ma (bez ekstrawagancji). Brak ludzi na kierownicze stanowiska.

Przewiduję Wilno jako miejsce dla przebywania przyszłego sztabu obszaru, warunki wyśmienite (nie ma granic). Mój pogląd - należy obszar nr 2 dołączyć do Wilna, tworząc tam odpowiedni sztab.

W najbliższych dniach ma powstać podobno radziecka Polska. Stworzenie wojska wziął na siebie - Januszajtis, [9] werbuje oficerów w obozach jenieckich. Obozy - Kozielski i Starobielski podzielone zostały na małe grupy. W Moskwie przebywają generałowie GŁUCHOWSKI[10], ŁANGIER[11] i SPISOWICZ.[12]

Proszę przesłać pieczęć okrągłą do dokumentów i plombownicę, które dałem w Warszawie - CIESLAKOWI (MAKARON) a także zapytać jego co jest z paszportami, które on w porozumieniu ze mną przygotowywał. (...)

Przekład z języka polskiego. Tłumacz [13] Zarządu NKWD obwodu białostockiego (JUCHNOWSKA)

Uwaga: Niniejszy dokument nie został dokończony, ze względu na to, że Szulc został w trakcie jego pisania aresztowany.

Za zgodność z oryginałem: Naczelnik II Oddziału BSRR MT. lejtnant bezpieczeństwa państwowego (SMOLJAHOW)

(podpis)

7 marzec 1941 roku[14]

Obok trójkątna pieczęć z napisami w języku rosyjskim: w środku „UGB" i w otoku - „Narodowy Komisariat Spraw Wewnętrznych BSRR".

Oryginał, maszynopis.

Źródło: Narodowe Archiwum Republiki Białoruś, zesp. 4, spr. 21, t. 2434, k. 36-39.

Przypisy

[1] *„Kalikst" - ppor. Aleksander Polanko.*

[2] *J. Prawdzic-Szlaski, Nowogródczyzna w walce 1940-1945, Londyn 1976, s. 22.*

[3] *Raport ten nie zachował się w polskich archiwach.*

[4] *Kryptonim okręgu białostockiego AK.*

[5] *Ppłk Józef Spychalski - komendant obszaru nr 2 (białostockiego).*

[6] *Ppłk Adam Obtułowicz - organizator okręgu nowogródzkiego ZWZ, skierowany w marcu 1940 r. z Wilna zgodnie z rozkazem KG ZWZ.*

[7] *Powinno być Gola. Por. Edward Gola - szef komórki wywiadowczej II Oddziału WP na Lwów i Białystok a następnie szef wywiadu ZWZ-2 we Lwowie. Występował pod ps. Andrzej, „Antoni Rudy". Skazany 15 XI 1941 r. przez Sąd Kapturowy w Warszawie za współpracę z NKWD na karę śmierci. Wyrok został wykonany na początku grudnia 1941 r.*

[8] *„Powała" - współpracownik ppłk A. Obłutowicza. Nazwisko nie ustalone.*

[9] *Gen. Marian Janszajtis- Żegota (1880-1973).*

[10] *Gen. Janusz Głuchowski (1888-1964).*

[11] *Gen. Władysław Langner (1896-1972). Generał w tym czasie przebywał na Zachodzie.*

[12] *Chodzi zapewne o gen. Mieczysława Borutę-Spiechowicza (1894-1985).*

[13] *Podkreślenia i wielkie litery oryginału.*

[14] *Data meldunku NKWD, przy którym załączony został meldunek kpt. J. Szulca-Prawdzica.*

HISTORIA W SZKOLE

Hanna KONOPKA

Jak uczyć historii metodą portfolio

Metoda *portfolio* od wielu już lat praktykowana jest na wszystkich szczeblach nauczania w Stanach Zjednoczonych. Również i w szkołach polskich z powodzeniem stosowano podobne metody. Ale, jak to nierzadko bywa, dopiero za obcym przykładem odkrywamy ponownie stare, wypróbowane metody.

Portfolio, czyli po prostu **TECZKA**, jest prostą, a zarazem uniwersalną metodą, która może być stosowana na różnych szczeblach nauczania wielu przedmiotów, w tym także historii. Może być także pomocna w procesie oceniania uczniów, a także prezentacji ich zainteresowań (dorobku). Zaletą metody jest nierozłączność tych pól wykorzystania teczki. Warto też zwrócić na przynajmniej jeden wychowawczy aspekt stosowania tej metody - kształtowanie systematyczności, nawyku metodycznego zbierania, porządkowania - a w efekcie - również oceniania (lub poddawania ocenie) własnej pracy. Praca z teczką jest też czynnikiem mogącym rozbudzić, pogłębić i poszerzyć zainteresowania historyczne ucznia.

Istnieje możliwość różnorodnego rozumienia (definiowania) pojęcia **„teczki"** *(portfolio)*:

- zbiór materiałów na określony temat;
- zbiór dokumentów, który dostarcza dowodów czyjejś wiedzy, umiejętności, możliwości;
- zbiór prac ucznia przedstawiający jego wysiłek, postęp lub osiągnięcia;
- dokumentacja pracy ucznia (lub grupy uczniów) wokół wybranego (wyznaczonego) tematu;
- proces odzwierciedlania, selekcji, racjonalizacji i końcowej oceny połączonej z ostatecznym wynikiem wszystkich tych czynników.

Powyższy zestaw skrótowych definicji nie wyczerpuje oczywiście zakresu rozumienia **„teczki"**, jako metody stosowanej w nauczaniu.

Możliwości zastosowania metody *portfolio* są nader szerokie. Jej uniwersalny, elastyczny charakter pozwala stosować ją zarówno w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych. W zależności od potrzeb, możliwości, a także upodobań metodycznych nauczyciela metodę tą wykorzystywać można incydentalnie - w realizacji wybranych tematów (lekcji) lub też systematycznie - posługując się nią podczas całego kursu nauczania historii w danej klasie. Istnieje wreszcie możliwość - i ona wydaje się być optymalna - posiłkowania się metodą *portfolio* we fragmentach poszczególnych lekcji (kwadrans na teczkę). W takim przypadku zaangażować można do kompletowania teczek tak wszystkich, jak i dowolną część uczniów. Zwłaszcza w przypadku nauczycieli o ustabilizowanym statusie zawodowym i wysokich kwalifikacjach posługiwanie się metodą *portfolio* wydaje się dawać szczególnie atrakcyjne perspektywy.

Przeanalizujmy pokrótce wariant maksymalnego zastosowania metody *portfolio*. W przypadku szkoły podstawowej obejmowałby on okres od IV do VIII klasy, a w liceum ogólnokształcącym - cały czas nauki. Ze zrozumiałych względów organizacyjnych proces nauczania z maksymalnym wykorzystaniem metody *portfolio* winien odbywać się stopniowo.

Etap pierwszy. Na pierwszych lekcjach po rozpoczęciu roku szkolnego nauczyciel powinien zapoznać uczniów z istotą tej metody, określić zasady weryfikacji wyników pracy, dokonać podziału zadań lub zaakceptować ich wybór przez poszczególnych uczniów. Zakres tych czynności zwłaszcza w klasie IV, u progu szkolnego nauczania historii, byłby oczywiście ograniczony. W przypadku wprowadzania nowej metody nauczania w wyższych klasach mógłby być odpowiednio bardziej zaawansowany. W zespołach, w których w minionych latach szkolnych posługiwano się już metodą *portfolio*, można poszerzyć jej zakres o nowe elementy, wymagania (bardziej urozmaicone kryteria oceny) lub dopuścić większą swobodę w doborze zakresu tematycznego kompletowanej teczki przedmiotowej. Metoda *portfolio* pozwala także na aktywizację zainteresowań ucznia w czasie kompletowania teczki w zakresie wybiegającym poza wąsko rozumiany temat (okres historyczny). Indywidualna teczka ucznia może także stanowić odpowiednik rozbudowanego notatnika przedmiotowego. Zwłaszcza w klasach najstarszych, zarówno szkół podstawowych i średnich, warto wzbogacić gromadzony materiał o dokumentację pozahistorycznych zainteresowań ucznia. Tak budowana teczka absolwenta szkoły może okazać się

przydatna na przykład w staraniach o przyjęcie do szkoły wyższego szczebla.

Etap drugi. Kompletowanie teczki tematycznej odbywa się pod opieką nauczyciela. Przez cały okres pracy ucznia nauczyciel powinien śledzić jego postępy, wyczulać na niewykorzystane źródła przydatnych wiadomości i materiałów, ukazywać możliwości urozmaicania zarówno treści, jak i formy zbiorów. W miarę zbliżania się terminu lekcji, podczas której wykorzystane mają być materiały zgromadzone w teczce, nauczyciel może też wskazywać uczniowi ich przydatność ze względu na walory dydaktyczne.

Etap trzeci. Wykorzystanie teczki tematycznej skompletowanej przez ucznia odbywa się w czasie jednej lub kilku lekcji poświęconych wybranemu tematowi (cyklowi tematycznemu). W zależności od wieku uczniów oraz ich doświadczenia w uczeniu się z wykorzystaniem metody *portfolio*, bezpośrednie zaangażowanie ucznia w prowadzenie lekcji może być większe (nauczyciel obserwatorem) lub mniejsze (uczeń pomocnikiem, asystentem nauczyciela). Każda lekcja prowadzona metodą *portfolio* stanowić także winna doskonałą okazję do weryfikacji przez uczniów indywidualnych postępów w konstruowaniu własnych teczek. Lekcja taka jest zarówno źródłem poprawek będących wynikiem wniosków pozytywnych (co robię dobrze, co doskonalić), jak i negatywnych (co robię niepoprawnie, co wyeliminować lub poprawić).

Etap czwarty. Zwieńczeniem indywidualnej pracy ucznia nad kompletowaniem teczki jest w zasadzie jego udział w przeprowadzeniu lekcji (cyklu zajęć). Zawartość teczki, gdy jest w miarę wszechstronnie przygotowana, powinna zapewniać barwne, dobrze merytorycznie i metodycznie podbudowane, zilustrowanie tematu lekcji lub wybranego zagadnienia. Stanowi to ważny element zarówno bieżącej, jak i ostatecznej oceny pracy ucznia - nie tylko oszacowania wartości samej teczki, ale także uzyskania oceny semestralnej (końcowej, rocznej). Praca nad teczką nie musi być wszakże jedyną i wystarczającą podstawą oceny (semestralnej lub rocznej) ucznia. W ocenie tej mogą być także uwzględniane inne kryteria systematycznej pracy ucznia: wyniki z bieżących i okresowych sprawdzianów itp. Możliwości w tym względzie są bardzo szerokie.

Zarysowany wyżej proces tworzenia teczki, jej doskonalenia oraz wykorzystania w procesie nauczania, a także oceniania jej twórcy - ucznia nie stanowi zamkniętej całości. Zaproponowana wyżej etapowość pracy metodą *portfolio* nie oznacza, iż nie można jej rozszerzać lub zawężać. Istnieje na przykład możliwość „nabudowywania" na teczkę starą, z poprzedniego roku szkolnego teczki nowej, tworzonej w wyższej klasie przez tego samego ucznia. Uczeń starszy o rok lub dwa na pewno zauważy odmienność swego podejścia do tego samego tematu (problemu). Obserwacja taka wydaje się szczególnie ważna i wartościowa w nauczaniu historii, nauki o dziejach podlegającej wszakże weryfikacji wraz z upływem czasu, gromadzeniem nowych informacji, nabywaniem doświadczeń pozwalających na nowo, inaczej spojrzeć na dzieje.

Wykorzystanie przez ucznia indywidualnej teczki tematycznej w lekcji nie musi zamykać procesu jej budowania. W przypadku, gdy nauczyciel systematycznie i w szerokim zakresie stosuje w nauczaniu historii metodę *portfolio*, uczeń, bogatszy o doświadczenie wyniesione z prowadzonej lekcji, może nadal kontynuować swą długofalową pracę nad dalszą rozbudową teczki. W miarę rozwoju zainteresowań, pogłębiania wiedzy oraz nabierania doświadczenia, teczka, stając się narzędziem bieżącej nauki historii, stać się może - o czym wspominano wyżej - rozbudowaną wersją notatnika przedmiotowego. Wydaje się, że w końcowym okresie nauki w danym roku szkolnym dojść powinno do ostatecznej prezentacji kompletnej teczki nauczycielowi. Prezentacja ta, połączona z omówieniem jej zawartości, powinna być zakończona oceną. Kryteria tej oceny, a raczej jej wariant przedstawia tabela (*patrz: Tabela ocen teczki - wariant*). Również i w tym miejscu podkreślić należy, że nadmierne formalizowanie pracy metodą *portfolio*, w tym i zasad oceniania pracy ucznia, może nie służyć optymalizacji osiąganych wyników nauczania. Kompletowanie teczki, jest w jakiejś mierze procesem tworzenia, a więc czynnością nie do końca mierzalną. W omówieniu, jak i uzgodnieniu oceny uczestniczyć powinien zarówno nauczyciel, jak i uczeń.

Ocena, oszacowanie *(assessment)* teczki przez nauczyciela towarzyszy jednak całemu procesowi jej powstawania: zbieraniu i tworzeniu materiałów, a nie tylko po jej zamknięciu. Teczka jest więc skumulowanym zapisem postępu, odzwierciedla tok myślenia jej autora. Służy także do ewentualnej korekty przyjętego kierunku pracy i zaangażowania w nią. Nauczyciel, mając stały wgląd do teczki, jest w stanie wskazać uczniowi, jak uwypuklić pozytywne strony jego pracy, pomóc przezwyciężyć słabości. Obserwacja rozbudowy teczki pozwala więc oszacować wyniki pracy w toku jej trwania. Daje także możliwość indywidualizowania oceny ze względu na sprawność rozwiązywania pojawiających się problemów, szukania dróg ich rozwiązywania, pomysłowości i dociekliwości w dążeniu do celu. Zwracamy uwagę na tą stronę procesu oceniania teczki, gdyż zwłaszcza wzrost sprawności ucznia w procesie dochodzenia do celu, a więc dynamiczna strona jego pracy, wydaje się być najwartościowszym fragmentem i dominującym efektem całego procesu uczenia się. Budowanie teczki, zbieranie materiałów uczy ponadto nie tyle systematyczności w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, ale przede wszystkim twórczego podejścia do stałych, rozłożonych w czasie miesięcy a nawet lat, obowiązków.

Stosowanie metody *portfolio* jest wyrazem dążenia do zwiększenia trafności oceny stopnia przygotowania i postępów. Oszacowanie „bystrości" uczniów wymaga zastosowania nowych metod dydaktycznych. Standardowe sprawdziany stanowią istotną blokadę na drodze reformowania szkolnictwa. *Portfolio* - jako efektywna alternatywa tradycyjnego nauczania, a zarazem prezentacji wykonanej pracy, zwrócić winna uwagę zwłaszcza bezpośrednich zainteresowanych - nauczycieli i uczniów. Przeprowadzone w USA badania dotyczące zastosowania metody *portfolio* wykazały, iż ponad połowa badanych miała świadomość, że kompletowanie teczki wymaga większej pracy i wysiłku niż tradycyjne zajęcia teoretyczne i praktyczne. Równocześnie jednak 87% preferowało tą, bardziej uciążliwą, metodę. Podobny odsetek badanych

(85%) wskazywał, że metoda ta daje uczniom więcej swobody w doborze materiałów do teczki. Świadomość swobody w działaniu (uczeniu się), prawo, a nawet obowiązek dokonywania wyboru w ramach określonego problemu (zagadnienia), skłaniać powinno i rzeczywiście dopinguje do efektywniejszego działania.

Po latach stosowania **„teczki"** w edukacji metoda ta jest nadal doskonalona - bardziej przejrzysta staje się jej definicja, zwiększa świadomość celów oraz osiągane korzyści. Doświadczenia wskazują, że doskonalenie metody teczki powinny być skierowane na dopracowanie następujących zagadnień: cele, korzyści, ćwiczenie, oszacowanie (ocenianie) oraz oryginalność. Stosowanie metody *portfolio* możliwe jest także w polskich warunkach. Teczka stanowić może interesujące uzupełnienie dotychczasowych, tradycyjnych metod nauczania historii.

Wstępny *projekt portfolio* stanowi zbiór różnorodnych zamiarów: kształtowanie krytycyzmu, łączenie teorii z praktyką, swoistej antycypacji celów przez ucznia oraz dokumentowanie dróg docierania do nich. Istnieją spore możliwości modyfikowania szczegółowych celów (zamiarów). Należy jednak podkreślić, iż należy unikać mnożenia celów pomocniczych, gdyż prowadzić to może do rozproszenia wysiłków. Jasne określenie celów jest niezbędne dla precyzyjnego porozumiewania się z uczniem i wzajemnego rozumienia się nauczyciela i ucznia. Dążenie do najpełniejszej komunikatywności jest jednym z zasadniczych warunków powodzenia nie tylko samej metody teczki, ale w gruncie rzeczy pracy nauczycielskiej jako takiej.

Właściwe funkcjonowanie *portfolio* uzależnione jest w dużej mierze od dobrego przygotowania do pracy z wykorzystaniem tej metody, zwłaszcza nauczyciela, ale też i uczniów. Proces kompletowania teczki, stała analiza pojawiających się problemów, poszukiwanie dróg ich rozwiązywania, pozwala na coraz precyzyjniejsze określenie istoty, zawartości, układu formalnego oraz czasu przygotowania się do pracy tą metodą. Stałe doskonalenie (ćwiczenie) pracy z teczką znacznie poszerza zakres jej możliwości dydaktycznych. Atrakcyjność metody, zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli, skłania do szerszego jej stosowania. Nie ukrywajmy jednak, że metoda *portfolio* z samej swej istoty stawia wysokie wymagania nie tylko przed uczniami. Rzetelne, a więc przede wszystkim **„otwarte"** jej stosowanie, stawia nie mniej wysokie wymagania również przed nauczycielem. Warto o tym pamiętać.

Otwartość *portfolio* jest czynnikiem, który wymaga głębokiego przewartościowania tradycyjnego myślenia o ocenianiu, a także samego procesu oceny. Teczka, będąc zbiorem prac ucznia, jest równocześnie narzędziem szacowania pracy ucznia i osiąganych tą drogą efektów dydaktycznych. Obok oceny końcowej, wieńczącej całość pracy nad kompletowaniem teczki, nader obiecujące są szanse bieżącej i cyklicznej weryfikacji postępów w kompletowaniu teczki. Praktyka wskazuje, że oszacowanie teczki, jako narzędzia oceny budzi mieszane uczucia. Wynika to co najmniej z kilku powodów. Stosunkowo trudny do określenia jest stosunek oceny (wartości) teczki do długofalowych celów nauczania. W praktyce istnieje również możliwość wywierania nacisku na autora teczki przez nauczyciela. Wpływ ten może powodować, że teczka utraci autentycznie autorski charakter, stanie się nie tylko odbiciem własnej i samodzielnej pracy ucznia, ale zawierać też będzie ślady wpływu nauczyciela. W takim przypadku oszacowanie teczki, mającej stanowić efekt pracy ucznia, obarczone będzie błędem wynikającym z ingerencji nauczyciela w ostateczny kształt teczki.

Oryginalność (własność, indywidualność) teczki jest zagadnieniem kluczowym w stosowaniu metody *portfolio*. Założenie metody jasno określa, że to właśnie uczniowie odpowiedzialni są za rozbudowę własnej teczki, i że jest ona w rzeczywistym, nie tylko fizycznym posiadaniu ucznia przez cały okres nauki, z wyłączeniem czasu przeznaczonego na jej ocenę.

Wydaje się, że wątpliwości wokół **„własności"** teczki są stosunkowo łatwe do uniknięcia. Po pierwsze, przewodniki metodyczne dla nauczycieli i zajęcia przygotowujące uczniów (instruktaż) do posługiwania się metodą *portfolio* powinny precyzyjnie określać zakres **samodzielnej pracy ucznia w obowiązkowych ramach** formalnej strony teczki. Można również przyjąć zasadę (uzgodnić z uczniem), że po przygotowaniu i wykorzystaniu teczki tematycznej, pozostanie ona - jako autorskie dzieło ucznia - do wykorzystania w dalszej pracy przez nauczyciela. Po drugie, obok klarownych kryteriów oceniania wyników obligatoryjnych zadań wynikających z tworzenia teczki, powinna być dopuszczona dobrowolna i dowolna sfera indywidualnej twórczości ucznia, wybiegająca poza sztywne ramy „znormalizowanej" teczki. Po trzecie, nauczyciele winni mieć świadomość, że teczki tworzone są nie **dla nich**, ale **przy nich**. Inaczej rzecz ujmując uczniowie winni mieć pewność, że tworząc **samodzielnie** teczkę, przestrzegając określonych zasad obowiązujących w metodzie *portfolio*, nie muszą pracować **„pod nauczyciela"**: kierować się wskazaniami, a nie ich gustami. Stawia to przed nauczycielem szczególne wymagania.

Istotnym walorem metody *portfolio* jest to, że efekty pracy nad skompletowaniem teczki są zdecydowanie większe, gdy proces tworzenie jest samodzielny, niż gdy jest „zinstytucjonalizowany". Gdy uczniowie tracą samodzielność, kontrolę nad procesem kompletowania teczki, staje się ona jeszcze jednym, uciążliwym obowiązkiem, kolejnym zadaniem narzuconym przez nauczyciela.

Doświadczenia wskazują, że **fizyczna własność** teczki przez ucznia nie wystarcza do pełnej, autentycznej realizacji metody *portfolio*. Dlatego zakres współpracy ucznia z nauczycielem nie powinien przekraczać granicy, poza którą zatracona zostałaby **oryginalność** teczki. Formalistyczne dokumentowanie wymagań programowych oraz konieczne i nieuniknione relacje: nauczyciel - uczeń, nie mogą przysłonić istoty osobistej pracy ucznia. Można w tym miejscu mnożyć kolejne wątpliwości, których rozwianie zbliżyć może efekty realizacji programu nauczania z wykorzystaniem metody *portfolio* do stanu nie budzącego istotniejszych zastrzeżeń. Sądzę, że uczniowie są w stanie rzetelnie dokumentować wyniki swojej pracy, odzwierciedlać wzrost swej wiedzy i doświadczenia w miarę upływu czasu nauki. Uważam, że można ograniczyć też ryzyko nadmiernego podobieństwa poszczególnych teczek (efektu **„kalki"**) drogą indywidualizacji zadań cząstkowych i premiowania oryginal-

nych sposobów ich rozwiązywania. Sposobem na uniknięcie efektu „kalki" jest znacząco wyższe oceniania swoistości pracy ucznia.. Otwartość metody *portfolio* rokuje jej powodzenie, z jednym wszakże zastrzeżeniem: różnice w skłonności nauczycieli i uczniów do nowatorstwa i niezależności działania nie mogą być zbyt rażące. W przeciwnym przypadku trudno byłoby ustrzec się nieporozumień na styku psychologicznie zrozumiałych skłonności do korzystania z utartych szlaków (by nie powiedzieć: konserwatyzmu) przez nauczycieli i młodzieńczego entuzjazmu w poszukiwaniu nowych dróg przez uczniów.

Doświadczenia płynące ze stosowania metody *portfolio* wskazują, że uatrakcyjnia ona proces nauczania i oceniania postępów w nauce uczniów. Dalsze doskonalenie stosowania tej metody, tworzenie swoistego systemu opartego na niej, stanowić może w konkretnych przypadkach podstawę zaliczenia całego rocznego kursu (semestru) historii. Będzie to jednak wymagało adaptacji tej metody do specyfiki poszczególnych szkół.

Przedstawione wyżej tezy stanowią propozycję nie tylko do dyskusji, ale przede wszystkim do poszerzenia zakresu stosowania w praktyce szkolnej nieszablonowych metod nauczania. Metoda *portfolio* zapewnia nie tylko interesujące efekty dydaktyczne, ale i trudną do oszacowania satysfakcję z przygody twórczego podejścia do codziennej pracy.

Literatura (wybór):

Tierney R. J., Carter M. A., Desai L. E., *Portfolio Assessment in the Reading - Writing Classroom*, Christopher - 1991 by Gordon Publishers, Inc., Norwood, MA;

Mokhtari K., Yellin D., Bull K., *Portfolio Assessment in Teacher Education: Impact on Preservice Teachers' Knowledge and Attitudes*, „Journal of Teacher Education", VIII-IX 1996, Vol. 47, No 4, s. 245-252;

Carrol J. A., Potthoff D., Huber T., *Learning From Tree Years of Portfolio Use in Teacher Education*, „Journal of Teacher Education", VIII-IX 1996, Vol. 47, No 4, s. 253-262;

Barton J., Collins A., *Portfolios in teacher education*, „Journal of Teacher Education", 1992, Vol. 44, No 3, s. 200-210;

Collins A., *Portfolios in science education: Issues in purpose, structure, and authenticity*, „Journal of Teacher Education", 1992, Vol. 76, No 4, s. 451-463.

TABELA OCEN TECZKI
(wariant)

Wyszczególnienia kryteriów	Miesiąc - semestr										Ocena
	IX	X	XI	XII	I	II	III	IV	V	VI	końcowa
Wartość merytoryczna (kompetencje ucznia)											
trafność doboru faktów (wydarzeń historycznych)											
trafność doboru postaci pierwszoplanowych i drugoplanowych											
realność tła historycznego (epoki)											
trafność doboru źródeł											
stopień wykorzystania dostępnych opracowań											
Inne kryteria											
										Ocena za dział:	
Wartość metodyczna (umiejętności ucznia)											
umiejętność określania przyczyn wydarzeń historycznych											
umiejętność określania skutków wydarzeń historycznych											
umiejętność hierarchizacji wydarzeń pod względem ważności											
umiejętność szeregowania wydarzeń ze względu na ich kolejność											
umiejętność ukazania wzajemnych związków między wydarzeniami											
umiejętność ukazania miejsca i roli postaci w wydarzeniach historycznych											
umiejętność prezentacji zebranego materiału											
Inne kryteria											
										Ocena za dział:	
Oryginalność (pomysłowość ucznia)											
nieszablonowość w doborze materiału											
różnorodność materiału ilustracyjnego											
poglądowość materiału ilustracyjnego											
możliwość prezentacji w warunkach szkolnych											
ogólna estetyka teczki											
Inne kryteria											
										Ocena za dział:	
										Ocena ogólna:	

Uwaga: skala ocen i zasady punktacji - obowiązujące w szkole lub według innych reguł, przyjętych indywidualnie do realizacji zadań metodą portfolio.

Małgorzata MOROZ

Uczymy historii. Poradnik. V klasa.

Jestem osobą z długoletnim stażem pracy zawodowej. Część życia zawodowego spędziłam w szkole, część w instytucjach zajmujących się doskonaleniem i kształceniem nauczycieli. Wiem, jaką rolę w doskonaleniu warsztatu nauczycielskiego odgrywają przewodniki i poradniki metodyczne. Gdy byłam młodą, niedoświadczoną nauczycielką prawie nie rozstawałam się z książką, do której i później sięgałam i nadal powracam, a mianowicie **»Poradnikiem dla nauczyciela historii«** *Wandy Zwolskiej (...). Mając później różnorodne kontakty z nauczycielami historii, zdołałam się przekonać, jak bardzo potrzebne są materiały metodyczne o pewnej randze naukowej, mogące służyć praktyce szkolnej.*

Powyższy cytat to słowa Janiny Mazurowej, autorki poradnika do nauczania historii w klasie V szkoły podstawowej, zamieszczone we wstępie do książki. Czy może istnieć lepsza rekomendacja, aby podjąć i kontynuować dzieło Wandy Zwolskiej? Chyba każdy, kto bliżej zapozna się z treścią publikacji, stwierdzi, że wybór Janiny Mazurowej jako autorki owego nauczycielskiego vademecum był trafny.

Omawiana książka stanowi fragment serii wydawniczej WSiP z 1997 roku, reprezentowanej już wcześniej na łamach „Gryfity" i znanej pod wspólnym tytułem „Uczymy historii". Poradnik J. Mazurowej zachowuje układ treści podobny do pozostałych części serii i składa się z czterech zasadniczych rozdziałów:

1. Nauczanie i uczenie się historii w klasie V
2. Podręcznik historii dla klasy V i jego obudowa dydaktyczna
3. Utrwalenie, kontrola i ocena w klasie V
4. Warsztat pracy nauczyciela historii.

Na początek autorka w przystępny sposób dokonała analizy rozwoju psychicznego uczniów klas V, wzbogacając rozważania teoretyczne przykładami z procesu nauczania historii na tym właśnie etapie szkolnej edukacji. W tym kontekście sporo miejsca poświęcono zagadnieniom dotyczącym kształcenia rozumienia pojęć charakterystycznych dla procesu dziejowego (s. 11-13). Szczególne uznanie należy się J. Mazurowej za znakomitą analizę programu nauczania klas V, z uwzględnieniem minimum programowego. Pomimo, iż - jak pisze J. Mazurowa - „minimum programowe formalnie już nie obowiązuje" (s. 15), to może być nadal przydatne dla tych wszystkich nauczycieli, którym w siatce godzin szkoły na nauczanie historii w klasie V przeznaczono tylko 1 godzinę tygodniowo. W związku z tym w poradniku zaproponowano dwie wersje planów dydaktyczno-wychowawczych (na 2 godz. tyg. oraz na 1 godz. tyg.) ze szczegółowym wyodrębnieniem działów programowych, wykazami tematów lekcyjnych, zakresu treści i celów dydaktyczno-wychowawczych w formie celów operacyjnych, z wyszczególnieniem pojęć, proponowanych metod i środków realizacji, a nawet z uwagami dotyczącymi korelacji z innymi przedmiotami.

Wspomnianej korelacji przedmiotowej poświęcono oddzielny rozdział, w którym - oprócz uwag o zazębianiu się treści programowych historii i języka polskiego w klasie V - znalazły się tabelaryczne zestawienia historii z geografią i plastyką.

Podkreślając wagę uzupełniania kursu historii powszechnej i ojczystej wiedzą o regionie ucznia, autorka na doskonale znanym sobie przykładzie Krakowa (można tylko pozazdrościć krakowskim uczniom i nauczycielom możliwości, jakie stwarza zamieszkiwanie w tym mieście) pokazała, jak wprowadzać i praktycznie wykorzystywać w nauczaniu elementy historii regionalnej.

Podobną rzetelnością, co analiza programowa, cechuje się rozdział poświęcony charakterystyce podręcznika do klasy V pióra Marii Koczerskiej i Ewy Wipszyckiej (M. Koczerska, E. Wipszycka, Historia 5. Świat przed wiekami. Wyd. VIII, Warszawa 1996). Omówiono zatem korelację podręcznika z programem nauczania w klasie V, z niemal benedyktyńską cierpliwością i dokładnością dokonano przeglądu i wyczerpującej analizy bloku ćwiczeniowego, wyodrębniając m.in. pytania przydatne w kształceniu myślenia historycznego („Dlaczego...?"), pytania odwołujące się do współczesności, nawiązujące w bezpośredni sposób do doświadczeń uczniów, odtwórcze, porównawcze i wiele innych.

Oddzielne miejsce poświęcono omówieniu materiału ilustracyjnego, który - według E. Wipszyckiej - stanowił główną oś dla powstającej dopiero później części narracyjnej podręcznika. Rekomendując przydatne w nauczaniu historii w klasie V zeszyty ćwiczeń, słusznie zwrócono uwagę na ich duży stopień trudności (M. Sobańska-Bobdaruk, *Historia 5. Z dziejów Polski i świata. Zeszyt ćwiczeń*, Warszawa 1995).

W części przeznaczonej na prezentację rozwiązań metodycznych z zakresu utrwalania, kontroli i oceny wyników nauczania na uznanie zasługuje wzbogacenie ogólnych rozważań teoretycznych konkretnymi rozwiązaniami z praktyki szkolnej. I tak, gdy autorka omawia najtrudniejszy typ szkolnych lekcji - lekcje powtórzeniowe - ilustruje swoje uwagi przykładowymi konspektami takich właśnie zajęć. Pisząc o zasadach konstruowania testów jako specyficznej grupy sprawdzianów pisemnych - przytacza ich wzorce warte wykorzystania, zwłaszcza przez początkujących nauczycieli. Liczne, przykładowe konspekty zajęć znajdujemy także w części poświęconej regułom sporządzania planów lekcji.

Spośród literatury polecanej nauczycielom i uczniom z pewnością przydatna okaże się tabela autorstwa Iwony Filar, dotycząca możliwości wykorzystania tekstów literackich w nauczaniu historii w klasie V (s. 158-160). Na marginesie należy zauważyć, że nieco dziwnie brzmi jedno z jej haseł tematycznych („Bolesław Chrobry zwycięża cesarza niemieckiego Ottona" - ?).

Jednakże poradnik Janiny Mazurowej to wartościowa publikacja, która w przystępny sposób przybliża nauczycielowi metodykę nauczania historii w klasie V szkoły podstawowej. Niniejsza recenzja zamyka na łamach naszego pisma prezentację pięcioczęściowej serii

wydawniczej opublikowanej przez WSiP pod redakcją prof. Adama Suchońskiego. Należy tylko ubolewać, iż te wielce przydatne dla nauczycieli szkół podstawowych książki, pojawiły się tak późno w stosunku do okresu funkcjonowania założeń programowych, na których zostały oparte. Zapowiadane od września 1999 r. reforma oświatowa, zmieniając radykalnie kształt ustroju szkolnego, spowoduje dezaktualizację dotychczasowych podręczników oraz dostosowanych do nich dotychczasowych opracowań metodycznych. Wielka szkoda, że wysiłek grona osób zaangażowanych w przygotowanie tak wartościowej serii, pójdzie wkrótce w zapomnienie...

Janina Mazur, *Uczymy historii. Poradnik. Klasa 5*, WSiP, wyd. I, Warszawa 1997.

Alina CZAPIUK, Anna KOŁOSOWSKA

Nieporadny poradnik

Barbara Bleja jest autorką wielu publikacji związanych z nauczaniem historii w szkole podstawowej. Publikacje te mają głównie charakter materiałów pomocniczych służących doskonaleniu warsztatu pracy nauczycieli tego przedmiotu i - w swoim założeniu - powinny ułatwiać organizację procesu dydaktycznego. Wymaga to jednak szczególnie starannego przygotowania, zarówno pod względem merytorycznym jak i edytorskim.

Przedmiotem naszych uwag jest poradnik przeznaczony dla nauczycieli historii uczących w klasie piątej szkoły podstawowej.[1] Oprócz przykładowego rozkładu materiału nauczania zawiera on również propozycje tematów lekcji oraz materiały pomocnicze - przykłady lekcji kontrolnych, fragmenty tekstów źródłowych, wykaz literatury metodycznej i pomocniczej.

Już bardzo pobieżne przejrzenie powyższej pracy wskazuje na liczne usterki techniczne, błędy korektorskie, które pojawiają się stanowczo zbyt często. Ograniczymy się jedynie do wymienienia niektórych z nich, gdyż nie jest naszym zadaniem dokonywanie pełnej korekty.

Na s. 3, gdzie znajduje się spis treści czytamy: „Przykładowy rozkład materiału nauczania historii w klasie ósmej szkoły podstawowej". Błędnie podane są także strony: propozycje tematów lekcji znajdują się na stronie 14-83, a nie 13-86, test-sprawdzian wiadomości całorocznych - na stronach 84-85, a nie 86-91, zaś strony 103-105 w ogóle nie występują.

Tzw. „literówki" znaleźć można i w dalszych częściach poradnika, np. „rzut oszczepen" zamiast „oszczepem" (s. 27); „Teatr grecki osiągnął szczyt rozwoju (...) dzięki poetom: Ajschyloswi (...)" (s. 33); Bolesław Krzywousty „był odpowiedzialny za śmieć brata (...)" (s. 59). Tym uchybieniom towarzyszą błędy gramatyczne lub niekonsekwencje w sposobie zapisu, np. na stronie 31: „Jakich materiałów używali Grecy do budowy: * świątyń - pięknie obrobionego kamienia; * posągów - odlewów z brązu, kamień, marmur, złoto; * domów mieszkalnych - kamień, cegła (...)"

Na s. 79 czytamy, iż „kancelaria - główny urząd państwowy, z kanclerzem i podkanclerzami na czele (...)". Usterka to czy błąd ciężkiego kalibru? O to trzeba spytać autorkę. Podobnie na s. 75: „Przemysł II, książę wielkopolski (...) koronował się w 1295 r."; na s. 82 i s. 83 spotkamy natomiast Przemysława II.

Opole - to nie wczesnośredniowieczna organizacja państwowa (s. 62), a terytorialno-sąsiedzka, przy czym do przyjęcia jest dalsze wyjaśnienie tego pojęcia. Trudno utożsamiać ród panujący, dynastię z rodowodem (s. 55). Niezręcznie brzmi sformułowanie: „papirus - papier egipski" (strony 35, 85). Sołtys i wójt uznani zostali za zarządców - odpowiednio - wsi lokacyjnej i miasta lokacyjnego (s. 83).

Rozkładowi materiału nauczania towarzyszy określenie celów, metod i środków dydaktycznych stosowanych na poszczególnych lekcjach. Nasze wątpliwości budzi tradycyjny podział celów nauczania na: kształcące, poznawcze, wychowawcze. Wydaje się, że w przypadku klasy piątej szkoły podstawowej lepsze byłoby stwierdzenie co uczeń powinien: umieć, rozumieć, pamiętać.

Wątpliwości budzi również samo sformułowanie wielu celów, chaotyczne, niejednorodne pod względem zapisu. Raz autorka pisze: „kształcenie wyobraźni historycznej" (s. 6, temat 1), „zrozumienie przyczyn wybuchu powstania niewolników" (s. 8, temat 22), „rozwijanie samodzielnego spostrzegania, szukania wyjaśnień i porównywania" (s. 9, temat 29), z kolei innym razem: „umiejętność czytania mapy" (s. 6, temat 8), „umiejętność wykorzystania rycin w podręczniku jako źródła informacji" (s. 9, temat 24-25), „umiejętność porównania osiągnięć kultury starożytnej Grecji i Egiptu" (s. 8, temat 18). Nieporozumienie polega na tym, że umiejętności nie są cechami wrodzonymi, a nabytymi, niejako wyćwiczonymi. Należałoby więc w tych ostatnich przypadkach dodać wyraz „kształcenie" zwracający uwagę na długotrwały i żmudny proces, w wyniku którego uczeń ma określone nawyki i umiejętności najpierw posiąść, a następnie utrwalić.

Niektóre cele sformułowane są, nazwijmy to oględnie, dość niejasno. Oto kilka wybranych przykładów: „umiejętność wartościowania, selekcji treści ważnych" (s. 8, temat 24-25), „zrozumienie wartości uprawiania sportu w życiu każdego człowieka na przykładzie Greków-Maratończyków" (s. 7, temat 13).

Inne zawierają po prostu błędy językowe i stylistyczne: „umiejętność przygotowania opowiadania na temat charakterystyki postaci króla" (s. 12, temat 53), „umiejętność wybiórczej pracy z podręcznikiem" (s. 12, temat 50), „poznanie umiejętności polityki zagranicznej Kazimierza Wielkiego" (s. 12, temat 52), „zrozumienie myślenia Hellenów polegające na realizacji szczęścia poprzez dbałość o harmonijny rozwój ciała" (s. 7, temat 12).

Nie wiemy jak należy rozwijać myślenie historyczne na przykładzie mądrej i dalekowzrocznej polityki króla Kazimierza (s. 13, temat 53). Negujemy przy tym samo sformułowanie, zgadzając się co do meritum sprawy. Zresztą oprócz wspomnianego władcy autorka zdaje się mieć jeszcze kilka ulubionych postaci historycznych. Poznanie ich działalności ma służyć realizacji celu wychowawczego: „ukazanie szacunku dla Henryków śląskich i ich starań o zjednoczenie Polski" (s. 12, temat 50), „wyrabianie szacunku do osoby Władysława Łokietka za wytrwałość i troskę o scalanie ziem polskich" (s. 12, temat 51). My również darzymy ich wszystkich szacunkiem, wolałybyśmy jednak, aby został on wyrażony w poprawnej polszczyźnie. W pierwszym przypadku wystarczy stwierdzić: ukazanie starań Henryków śląskich o zjednoczenie ziem polskich, a w drugim zrezygnować ze słowa „wyrabianie", gdyż wedle naszej wiedzy szacunku nie wyrabia się, można natomiast postawę taką kształcić.

Odrębną kwestię stanowi zaproponowany przez autorkę dobór metod nauczania. Są to zarówno metody klasyczne, konwencjonalne (opowiadanie, pogadanka, pokaz) jak i niekonwencjonalne (inscenizacja, drama).

Szczególnie często występuje praca z podręcznikiem, mapą, słownikiem, ilustracjami. Należałoby jednak w tym przypadku użyć prawidłowej nazwy - praca pod kierunkiem nauczyciela w oparciu o wymienione wyżej środki dydaktyczne. Równie często występuje dyskusja oraz jej odmiana - dyskusja panelowa. Metoda ta wymaga ze strony uczniów sporej dojrzałości intelektualnej. Mają oni samodzielnie formułować własne opinie, spostrzeżenia i poddawać je grupowej ocenie. Warunkiem skutecznego posługiwania się tą metodą jest więc uprzednie przygotowanie uczniów do wymiany poglądów zarówno w sensie merytorycznym, jak i formalnym.[2] Czy nie przekracza to możliwości dzieci w wieku lat jedenastu czy dwunastu?

Wydaje się, iż na tym etapie kształcenia szczególną rolę odgrywa słowo nauczyciela. Słusznie zwraca na to uwagę B. Bleja, chociaż określenie „barwne opowiadanie nauczyciela" (s. 6, temat 6) nieco dziwi. Opowiadanie musi być barwne i ciekawe, musi odwoływać się do sfery emocjonalnej uczniów, musi być dynamiczne, w przeciwieństwie do statycznego, suchego opisu.

Wymiennie używany jest termin „pogadanka" i „rozmowa nauczająca". W literaturze dydaktycznej podlegają one zwykle rozróżnieniu. Pogadanka - to określenie rozmowy nauczającej w klasach IV-VI.[3]

Proces nauczania - uczenia się na poziomie szkoły podstawowej cechuje się tym, że w trakcie pojedynczej jednostki lekcyjnej wykorzystuje się na ogół kilka różnorodnych metod. Określa się to pojęciem „nauczanie polimetodyczne", które autorka stosuje niekonsekwentnie, przy czym sam sposób zapisu jest nieco mylący: (s. 9, temat 28)

„ (...)
- nauczanie polimetodyczne: pogadanka
- test
- dyskusja. (...)"

Naszym zdaniem powinno to wyglądać następująco:

„-nauczanie polimetodyczne: pogadanka, test, dyskusja."

Można było także ograniczyć się do wymienienia proponowanych metod, ponieważ owo nauczanie polimetodyczne występuje niemal na każdej lekcji. Poza tym poradnikowy charakter pracy zwalnia B Bleję od wyjaśniania kwestii powszechnie znanych i podstawowych dla nauczyciela-praktyka.

Należy podkreślić, iż stosunkowo szeroki wachlarz metod, do których odwołuje się autorka, umożliwia realizację nie tylko celów poznawczych i wychowawczych, ale i kształcących - tak niezwykle istotnych w szkole podstawowej. Dotyczy to rozwoju takich umiejętności jak: selekcja materiału, poprawne formułowanie wypowiedzi ustnej i pisemnej, dostrzeganie związków przyczynowo-skutkowych, praca z mapą, rozumienie pojęć historycznych oraz posługiwanie się nimi w praktyce, itd. Sądzimy, że pojęcia te powinny zostać wymienione, jak w przypadku tematu „Palestyna i jej mieszkańcy" (s. 6).

Metody niekonwencjonalne - drama i inscenizacja - ułatwiają przybliżenie przeszłości, rozwijają wyobraźnię, uczą i wychowują przez przeżywanie.

Bardzo wiele ciekawych elementów zawiera część poradnika z propozycjami poszczególnych lekcji. Zwracają uwagę interesujące, niestereotypowe formy zapisu. Pojawiają się rebusy, krzyżówki, rozsypanki. Pomocne okazać się mogą scenariusze krótkich scenek dramowych, przykłady stop-klatki, zadania polegające na połączeniu kreską określonych wyrazów z ich znaczeniami.

W ćwiczeniach autorka odwołuje się do wiedzy pozapodręcznikowej uczniów, ich doświadczeń i - co ważne - do współczesności. Ćwiczenia te mają zróżnicowany stopień trudności, co ułatwia pracę zarówno z uczniem uzdolnionym, jak i słabszym. Można jedynie pokusić się o oznaczenie graficzne zadań trudniejszych.

W prezentowanym poradniku oddzielną część stanowią scenariusze lekcji powtórzeniowych. Są one bardzo różnorodne, pozwalają nie tylko na odtwórcze zreplikowanie zdobytej wiedzy, ale wymagają od uczniów posługiwania się ową wiedzą w praktyce, umożliwiają wykazanie się wieloma umiejętnościami.

Na zasadzie przypadku skonstruowany został wykaz literatury metodycznej, a jeszcze więcej przypadku widać w spisie literatury pomocniczej. Trudno zgadnąć jakimi kryteriami posługiwała się autorka przygotowując je i pojawia się pytanie, czy w ogóle są one potrzebne w pracy tego typu.

Słowo „poradnik" wiąże się ściśle z czasownikiem „radzić". Jeśli jednak decydujemy się na udzielanie komuś porad, to należy czynić to dobrze. Poradnik Barbary Bleji budzi w tym względzie mieszane uczucia. Zawiera on wiele ciekawych pomysłów, możliwych do wykorzystania w praktyce szkolnej, ale dyskredytują go zbyt liczne niedociągnięcia i błędy. Obniża jego wartość niechlujstwo edytorskie, kompletny brak korekty a przede wszystkim - niedoskonałości językowe.

Nasz rynek wydawniczy zalewają wszelkiego rodzaju poradniki, ściągi, kompendia. Korzystają z nich studenci, uczniowie, nauczyciele. Radzimy serdecznie: przyjrzyjcie się im Państwo dokładnie, zanim postawicie je na swoich półkach wydając przedtem wcale niemałą sumę pieniędzy.

Przypisy:

1. B. Bleja, *Poradnik dydaktyczny. Historia V. Materiały pomocnicze dla nauczycieli szkoły podstawowej*, Toruń 1998.
2. T.J. Pióro, *Dyskusja - metoda aktywizacji uczniów w nauczaniu i uczeniu się historii*, Wiadomości Historyczne, 5-6/1974, s. 265.
3. A. Paner, M. Kosznicki, *Metody wprowadzania, utrwalania i kontroli nowego materiału na lekcjach historii*, Gdańsk 1994, s. 25.

Artur PASKO

Czy warto uczestniczyć w programie Socrates-Comenius Akcja 1?

Współczesna szkoła nie jest miejscem lubianym przez uczniów. Według wielu z nich jest nudna. Ogrom materiału, który muszą opanować zniechęca do nauki. Entuzjazm młodych nauczycieli wyczerpuje się, z różnych powodów, z każdym rokiem. Rodzice i wychowawcy mają problemy z mobilizowaniem uczniów do działania. Wprowadzanie nowych metod nauczania nie wystarczy, by uczynić szkołę atrakcyjną. Młodzi ludzie potrzebują czegoś więcej. Rozmowy o przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej otwierają nowe możliwości przed uczniami i nauczycielami. Pojawiła się szansa wyjścia poza sprawy własnego środowiska, nawiązania kontaktów z rówieśnikami z innych krajów. Takie możliwości stwarza program Socrates Comenius Akcja 1. Do nawiązania współpracy potrzebne jest utworzenie grupy składającej się z co najmniej trzech szkół z różnych krajów Unii Europejskiej i maksymalnie dwóch szkół z różnych krajów stowarzyszonych (kraje Europy Środkowej i Wschodniej, które podpisały układ o stowarzyszeniu z Unią Europejską: Bułgaria, Czechy, Polska, Rumunia, Słowacja, Węgry oraz Litwa, Łotwa, Estonia i Słowenia) Zadaniem każdego z partnerów jest współpraca w ramach Europejskich Programów Edukacyjnych, koncentrująca się na tematach, które interesują większość, np. dziedzictwo kulturowe, ekologia, tradycje literackie. Celem programu jest podniesienie edukacji poprzez umocnienie współpracy europejskiej.

Program Socrates Comenius Akcja 1 zainteresował nauczycieli Szkoły Podstawowej Nr 12 w Białymstoku. Wykorzystując prywatne kontakty nawiązali współpracę ze szkołami w Anglii i Holandii. Pierwszym etapem w drodze do realizacji celu było zorganizowanie wizyty przygotowawczej w dniach 20-27 września 1998 roku. Okazało się, że jest to pierwsza wizyta przygotowawcza, która odbyła się w Polsce. Przebiegała tym sprawniej, że wsparcia finansowego udzielił Urząd Miasta w Białymstoku. Program wizyty zakładał pracę nad projektem, hospitowanie lekcji, spotkanie z samorządem uczniowskim, wspólne ognisko z nauczycielami, wycieczki po Białymstoku i wyjazdy do Augustowa i Białowieży. Szkołę angielską reprezentowały panie Lisa Balderstone i Elizabeth Williams zaś holenderską panowie Frans Bruinsma i Ad van den Broek. Pierwsze spotkanie i dyskusja pozwoliły przyjąć proponowany wcześniej temat projektu: „ Nasz region jest ciekawym miejscem we wspólnej Europie" Nauczyciele w ciągu kilku dni musieli znaleźć podobieństwa i różnice między swoimi regionami, przygotować pomysły do pracy dla uczniów. Wspólnie zdecydowali o nauczaniu interdyscyplinarnym. Nauczyciel będzie przewodnikiem, zaś uczeń oprócz wiedzy zdobędzie umiejętności. Poruszane tematy powinny zainteresować uczniów, ponieważ będą poruszać problemy bezpośrednio ich dotyczące, związane z regionem. Projekt dotyczy dzieci w wieku 10-15 lat, będzie realizowany od 1 marca 1999 do końca lutego 2002. Wcześniej jednak musi być zatwierdzony przez Krajowe Biura w Anglii, Holandii i Polsce. Pierwszym krokiem mającym na celu zaangażowanie uczniów była wymiana korespondencji między nimi. Reakcja dzieci, jest pierwszym objawem wróżącym ich zaangażowanie. Projekt podzielono na działy: Opracowanie zagadnień dotyczących przeszłości regionu, Atrakcyjność regionu pod względem kulturowym, etnicznym, religijnym, Ochrona przyrody w regionie, Rozwój regionu jako ośrodka turystycznego, Udział regionu w gospodarce krajowej i zagranicznej, Problem zanieczyszczenia regionu, miasta, Charakterystyka geograficzno-przyrodnicza regionu, Obóz integracyjno-edukacyjny młodzieży.. Uczniowie sami będą określali sposób w jaki przedstawią dany problem. Będzie to działanie długotrwałe, zmuszające do poszukiwań i do wykorzystania nowych środków komunikowania się. Efektem pracy będą albumy, zdjęcia, filmy, ankiety itp. Naturalnym bodźcem motywującym uczniów do działania będzie chęć pokazania rówieśnikom z innego kraju swojego miasta, regionu w jak najlepszym świetle. Zdobywając wiadomości o najbliższej okolicy, mając możliwość porównania z innym regionem rozbudzą swoją tożsamość narodową , a jednocześnie nauczą się tolerancji dla innych. Ważnym elementem tego projektu będzie konieczność komunikowania się w języku angielskim. Chęć prawidłowego porozumienia zmusi uczniów do poświęcenia odpowiedniej ilości czasu na naukę języka. Plusem tego programu, szczególnie istotnym dla polskiej szkoły, jest możliwość uzyskania grantów. Można je będzie wykorzystać na koszty materiałów biurowych, fotokopii, telefonów i opłat pocztowych, koszty przygotowania pomocy dydaktycznych związanych bezpośrednio z projektem, korzystania z technik informatycznych i komunikacyjnych, np. faks, internet . Pozwoli to osiągnąć nauczycielom pewną swobodę działania, której najczęściej brakuje im obecnie. Pieniądze, to bariera której szkoła samodzielnie nie jest w stanie pokonać. W czasie trwania projektu nauczyciele będą wyjeżdżać do szkół partnerskich. Będzie to okazja do wymiany doświadczeń i kontroli kolejnych etapów projektu. Oczywiście koszty podróży i pobytu będą pokryte z grantów. Wymieniłem zalety programu, których możemy oczekiwać w trakcie jego realizacji. Sądzę, że już wizyta przygotowawcza przyniosła wiele korzyści. Przede wszystkim stworzyła możliwość wymiany doświadczeń, ale ponadto podczas lekcji pokazowych nauczyciele mogli usłyszeć, że ich praca wzbudza podziw gości, a metody pracy niewiele różnią się od metod stosowanych w holenderskich czy angielskich szkołach. W sytuacji, gdy atmosfera wokół szkolnictwa nie jest najlepsza takie głosy sprawiają przyjemność. Szczerze zaś przyznali, że nie podoba się im przeładowany program w polskich szkołach. Także uczniowie mogli porozmawiać z gośćmi i przekonać się, że „u nas" wcale nie jest tak źle. Podczas zebrania samorządu szczegółowo wypytywali o problemy uczniów angielskich i holenderskich. Pochwalili się efektami swojej pracy i byli ciekawi czym zajmują się ich rówieśnicy w Anglii i Holandii .

Ważnym elementem tej wizyty było oficjalne spotkanie z władzami oświatowymi. Goście przekonali się, że są poważnie traktowani. Elizabeth Williams przekazała propozycję od władz miasta Barrow w Anglii nawiązania współpracy z Białymstokiem. Wygląda na to, że nauczyciele białostockiej podstawówki okazali się promotorami miasta zanim przystąpili do programu.

Zupełnie inne znaczenie miało wspólne spotkanie przy ognisku z nauczycielami i personelem szkoły. Pieczenie kiełbasek, gra w siatkówkę, śpiewy przy dźwiękach gitary, był to doskonały sposób na integrację grupy. Podczas tego wieczoru wiele osób postanowiło „wziąć się" za angielski. Być może w przyszłości zostanie zorganizowany kurs języka angielskiego. Wolny czas goście poświęcali na spacery po Białymstoku. Byli zachwyceni Pałacem Branickich, kościołem Świętego Rocha, kościołem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i ogólną atmosferą miasta. Angielki dziwiły się dlaczego w ich przewodniku wydanym w latach osiemdziesiątych napisano, że Białystok jest miastem nie wartym uwagi. Nie mniejsze wrażenie wywarły na nich Augustów i Białowieża, zresztą o to, czy zobaczą rezerwat żubrów pytali już na lotnisku.

Tygodniowy pobyt gości bardzo ożywił szkołę. Nauczyciele z zagranicy byli swojego rodzaju sensacją. Klasy, które wcześniej stwarzały najwięcej kłopotów chciały ich zaprosić na swoją lekcję, uczniowie którzy dotychczas nie korespondowali pytali kiedy dostaną adres rówieśnika. Po wyjeździe Angielek i Holendrów sytuacja pozornie wróciła do normy. Jedynie częstsze rozmowy nauczycielki języka angielskiego z uczniami podczas przerw i powtarzające się pytania uczniów o szanse współpracy zmieniły poprzedni obraz szkoły. Wymierną korzyścią wizyty była obietnica pomocy w podłączeniu internetu w szkole, złożona przez rodziców i władze miasta. Sądzę, że w tym momencie najważniejsza jest jednak świadomość, że w szkole może być ciekawie. Niewątpliwie wszyscy, którzy przygotowywali spotkanie mogą czuć ogromną satysfakcję i nadzieję, że projekt zostanie przyjęty. Z perspektywy czasu przyjemnie brzmią słowa Elizabeth Williams, która w liście pisze, że nigdy nie spotkała się z tak miłym przyjęciem. W zakłopotanie zaś wprowadza jej stwierdzenie, iż nie sądziła, że polscy nauczyciele wykonują tak dobrą pracę za tak małe pieniądze.

Violetta OLESIUK

Zagrożenia i błędy w nauczaniu o Holocauście

W jakim celu należy uczyć historii Holocaustu?

Historia Holocausty jest jednym z najbardziej efektownych i najobszerniejszych udokumentowanych przedmiotów pozwalających na pedagogiczne zbadanie podstawowych moralnych kwesti. Ustrukturyzowane badania nad historią Holocaustu dostarczają krytycznych lekcji pozwalających badać ludzkie zachowania. Studia nad Holokaustem wskazują również na jeden z głównych dogmatów edukacji, którego zadaniem jest wyjaśnienie, co znaczy odpowiedzialny obywatel.

Podczas nauki o Holocauście uczniowie powinni zrozumieć, że:

1. demokratyczne instytucje i wartości nie są utrzymywane automatycznie, ale muszą być uznawane, wykształcane i chronione

2. Holocaust nie był wypadkiem w historii - pojawił się, ponieważ pojedynczy ludzi, organizacje i rządy dokonały wyboru, który nie tylko dopuścił do legalnego stosowania dyskryminacji, ale również zezwolił na pojawienie się uprzedzeń, nienawiści i automatycznie - masowych morderstw.

Uwzględniając powyższe spostrzeżenia i mając na uwadze, że celem nauczania jakiegokolwiek przedmiotu jest zaangażowanie intelektualnej ciekawości ucznia, aby inspirować jego krytyczne myślenie i dojrzałość osobową spoczywa na nas wielka odpowiedzialność w nauczaniu tak szczególnych wydarzeń jakim był Holocaust.

Z tego powodu ważnym jest, abyśmy popełniali jak najmniej błędów i unikali zagrożeń w przekazywaniu swojej wiedzy i umiejętności naszym uczniom.

1. Unikaj porównywania bólu. Studia nad Holocaustem pokażą różnego rodzaju polityki stosowane przez nazistowski reżim w stosunku do różnych rodzajów grup ludzi, jednakże porównanie ich cierpień nie może być podstawą porównań tych grup.

2. Unikaj prostych odpowiedzi, aby złożyć historię. Studia nad Holocaustem wywołują wiele pytań dotyczących ludzkiego zachowania i często prowadzą do skomplikowanych odpowiedzi, wyjaśniających dlaczego doszło do tych wydarzeń. Unikaj upraszczania. Pozwól uczniom na analizę różnych czynników i wydarzeń poprzedzających Holocaust, które później wpłynęły na przebieg historii.

3. Zbyt często nauczyciele i uczniowie uważają, że Holocaust był nieunikniony. Fakt, że doszło do tego historycznego wydarzenia nie oznacza, że musiało do niego dojść. Było ono efektem poczynań ludzi, grup i narodów i należy pozwolić uczniom na krytyczną ocenę owych poczynań.

4. Dokonaj podziału poszczególnych źródeł informacji. Uczniowie ucząc się powinni umieć rozróżniać fakty, opinie i fikcję; główne źródła i źródła drugorzędne; historię opowiadaną i udokumentowaną. Powinni przeanalizować, dlaczego historia przekazana jest akurat w ten sposób i jakie to miało odzwierciedlenie w przyszłości.

5. Spróbuj unikać stereotypowych opisów. Pomimo, że Żydzi cierpieli z powodu nazistowskich prześladowań, to ich doświadczenia nie były takie same. Proste i stereotypowe opisy mogą pojawić się wtedy, gdy występuje grupa jednolita pod względem przekonań i postępowania. Sposób, w jaki zostaną podzielone i scharakteryzowane grupy etniczne i zbiorowości w społeczeństwie będzie miał odzwierciedlenie w postrzeganiu przez uczniów pewnych grup w ich życiu codziennym.

6. Nie nadawaj historii charakteru romantycznego aby zainteresować uczniów. Jednym z największych niebezpieczeństw pojawiających się w nauczaniu o Holocauście jest wywołanie cynizmu w uczniach przez pokazanie im najgorszych stron człowieka.

7. Nauczaj historii w kontekstach. Wydarzenia Holocaustu, postępowanie ludzi czy organizacji powinny być przedstawione w kontekście historycznym, aby umożliwić uczniom analizę okoliczności, które wpłynęły na nie pozytywnie lub negatywnie. Chodzi to przede wszystkim o ukazanie specyficznych wydarzeń i aktów postępowania z uwzględnieniem miejsca i czasu ich występowania, ich konsekwencji w relacji do ofiar, rodzin tych ofiar, dalszych wydarzeń, sytuacji w społeczeństwie i narodzie. Zachęcaj uczniów do tego, aby nie dzielili ludzi na grupy jedynie na podstawie ich doświadczeń z Holocaustu. Pomimo, że Żydzi byli głównymi ofiarami nazistowskiego reżimu, mieli oni bardzo rozwiniętą kulturę i długą historię w Europie, poprzedzającą znacznie erę nazizmu. Pokazując uczniom kulturalny wkład i osiągnięcia z dwóch tysięcy lat życia europejskiego Żydów, pomożesz dostrzec Żydów jako ofiary i zniszczenie ich kultury przez Holocaust.

8. Postaraj się używać pisemnych i audiowizualnych dokumentów. Uczniowie mogą różnie interpretować zachowania ludzkie, jedni mogą zauważać jedynie brutalne zachowanie i morderstwo, inni - głód, cierpienia i śmierć. Ważne jest zaangażowanie ucznia od strony emocjonalnej.

9. Staraj się dążyć do ustalenia równowagi w perspektywie, z której prowadzisz zajęcia o Holocauście. Często zbyt dużą wagę skupia się na ofiarach nazistowskiej agresji, pomijając oprawców, którzy zmuszali ludzi do dokonywania nierealnych wyborów lub też pozostawiali ich bez wyboru. Studia nad Holocaustem powinny obejmować zarówno ofiary jak i przestępców, traktowanych jako istoty ludzkie, które są zdolne do osądów moralnych i podejmowania niezależnych decyzji, ale pod wpływem zaistniałych okoliczności ich tok myślenia zmienił się i ukierunkował na śmierć.

10. Wybierz odpowiednie metody nauczania. Tylko dlatego, że uczniowie preferują pewne sposoby nauczania nie oznacza, że musisz je też zastosować w przypadku lekcji o Holokauście. Im bardziej uaktywnisz swoich uczniów, tym większe będą efekty twojej pracy. Należy prowokować uczniów do pewnych symulacji, są one potrzebne przede wszystkim po to, aby pomóc im „doświadczyć" tych nieznanych im okoliczności. Problem w próbie symulacji leży w tym, że pewnych sytuacji z Holokaustu nie można uprościć do pojedynczych symulacji, gdyż są one zbyt skomplikowane. Wykład zabije całą inwencję uczniów.

Z praktyki prowadzenia zajęć o Holokauście w szkole podstawowej.

Największe efekty mojej pracy uzyskałam prowadząc zajęcia metodami aktywnymi, wykorzystując możliwość uczestnictwa w wystawach organizowanych przez muzea. Wyjście uczniów poza teren szkoły i dobre przygotowanie ich do nietypowej lekcji (wyznaczenie konkretnych zadań do realizacji) oraz późniejsze dokładne omówienie a przede wszystkim emocjonalne uczestnictwo uczniów przyniosło oczekiwane przeze mnie efkty naoczania o Holocauście. Uczniowie nie tylko poznali te wydarzenia ale również przybliżyli sobie kulturę narodu żydowskiego i w tej chwili odnoszą się z większym szacunkiem i troską o zachowanie najcenniejszych wartości kulturowych.

Dobre przygotowanie zajęć, a w szczególności umiejętne rozpoczęcie i zakończenie lekcji, to sukces w nauczaniu. Konkretny początek, który rozwieje złe informacje będzie dobrą podstawą do nauczania o Holokauście. Powinien wywoływać refleksyjny ton, zmienić uczestnictwo uczniów z pasywnego na aktywny, wskazać uczniom, że ich pomysły i opinie mają znaczenie i założyć, że historia jest złożona z wielu gałęzi, biorąc pod uwagę uczniów jako pojedyncze osoby, jak i członków społeczeństwa jako całości. Dobre zakończenie powinno umożliwić wyciągnięcie wniosków, że ta historia łączy się z innymi wydarzeniami na świecie, jak również łączy się za światem, w którym my żyjemy taraz.

Jak często zapominamy o właściwym zakończeniu zajęć!

A właśnie w tym momencie uczniowie powinni wyciągnąć pewne refleksje z tego, czego się nauczyli i jakie to ma znaczenie dla nich osobiście i jako obywatela w demokracji. Co najważniejsze, lekcja, czy lekcje te powinny zachęcić do dalszych analiz historii, literatury i sztuki Holocaustu.

Hanna KONOPKA

Amerykańska edukacja o Holocauście

Nie powtarzając zdań oczywistych podkreślić należy, że w stanach Zjednoczonych do nauczania o Holocauście przywiązywana jest ogromna waga. Dzieje się tak z wielu powodów, które dla mieszkańców naszego kraju mogą się wydawać się nader odległe od zagłady narodu żydowskiego w czasie II wojny światowej. Okazuje się jednak, że społeczeństwo amerykańskie zaznało okrucieństw tej wojny nie tylko za pośrednictwem uczestniczących w niej własnych żołnierzy. Po wojnie dotarła tam fala ocalałych z pogromu Żydów oraz wielu innych europejskich emigrantów. Jest jeszcze jeden aspekt tego splotu problemów. Wielu Amerykanów, w tym i amerykańskich Żydów chciałoby trwać w komfortowym wewnętrznym przekonaniu, że w czasie wojny, w czasie rzeczywistego trwania Holocaustu, nic, a nic o nim nie wiedzieli. Z czego wynika więc waga, jaką od lat przywiązuje się w USA do nauczania o Holocauście? Wydaje się, że stanowi ono jakąś postać kompensacji za brak reakcji na dokonywaną przez hitlerowców zagładę narodu żydowskiego. Jest to jednak problem odbiegający daleko od dydaktyczno-wychowawczych zagadnień, jakie pragniemy tu zasygnalizować. Przykład Holocaustu daje szansę drążenia wielorakich zagadnień moralnych - ale nie tylko. Nauczanie to pozwala także ukazywać przenikanie się, wzajemną zależność kwestii moralnych, kulturalnych, religijnych, historycznych, gospodarczych, politycznych, wojskowych itp., itd. Podkreślić należy, iż nauczanie o Holocauście daje możliwość ukazania nie tylko negatywnych stron tego procesu, przykładów ludzkich zachowań, których nie należy, nie wolno powielać, ale przede wszystkim wskazuje na konieczność kształtowania indywidualnych cech, które są niezbędne godnemu zaufania obywatelowi amerykańskiemu.

Nauczanie o Holocauście pozwala także podejmować - niejako przy okazji - inne ważne tematy, np.: uprzedzenia rasowe (w tym antysemityzm), totalitaryzm (w tym faszyzm), to jest zagadnienia znajdujące się w skryptach i przewodnikach metodycznych dla nauczycieli.

Dodajmy na zasadzie dygresji, że nauczanie o Holocauście w szkołach amerykańskich - uwzględniając powyższe uwagi, ma wiele niezaprzeczalnych walorów. Odnosi się bowiem do procesu dziejącego się w niedalekiej przyszłości, poza terytorium USA, w Europie, w hitlerowskich Niemczech. Holocaust to temat nieobojętny - dotyczył wszakże pobratymców wielu Żydów amerykańskich, grupy narodowościowej zajmującej nader ważne miejsce w strukturze ludnościowej USA - w tym, o czym należy pamiętać, także w szeroko rozumianych środkach masowej komunikacji.

Nauczanie o Holocauście prowadzone jest wariantowo w szkołach wszystkich szczebli nauczania. Zakres tego nauczania uzależniony jest od wyboru dokonanego w danej

społeczności - przez uczniów (studentów) i nauczyciela. Specyfika organizacji nauczania w szkołach amerykańskich pozwala na dość swobodne programowanie nauczania. Sprzyja temu spory zakres fakultatywności - możliwości wyboru poszczególnych przedmiotów i tematów przez samych studentów. Również praca nauczycieli - w systemie znacznej fakultatywności nauczania - jest ułatwiona. Spora liczba przewodników metodycznych, podręczników oraz innych materiałów pomocniczych pozwala na dopasowanie zakresu nauczania do potrzeb i możliwości uczniów. Uwagę zwraca zwłaszcza coraz szersza możliwość korzystania z technicznych, zwłaszcza elektronicznych źródeł różnorodnej informacji merytorycznej i metodycznej.

W zależności od przyjętego zakresu nauczania o Holocauście nauczyciel przyjąć może odpowiednią - nazwijmy ją umownie - ścieżką dydaktyczną. W ujęciu najszerszym punktem wyjaśnia - wprowadzeniem - stać się może na przykład temat: „Kto to są Żydzi?" Uczniowie poznawać wówczas powinni zagadnienia związane z historią, kulturą, zasadami wiary i obrzędami Żydów, warunków ich życia w różnych krajach i okresach historycznych (np. dzieje gett). Możliwe jest także rozwinięcie powyższej problematyki o zagadnienia szczegółowe (Talmud i tory) oraz pokrewne (np. monoteizm i politeizm).

Interesującym rozwinięciem zakresu nauczania o Holocauście może być temat: „Wszyscy ludzie są równi." Celem tak sformułowanego tematu jest porównanie przebiegu procesów historycznych na podstawie wypowiedzi znanych osób, np. mów Abrahama Lincolna, dzieł Szekspira, Marka Twaina, przemówień Ghandiego, Martina Lutera Kinga, dzieł filozofów greckich, itp. Przygotowując się do zajęć uczniowie zestawić powinni tablicę cytatów związanych z tematem „równość". W innym wariancie studenci mogą być autorami multimedialnej prezentacji wypowiedzi dotyczących problemu: „Wszyscy ludzie są równi." Warto tu podkreślić, że najważniejszym kryterium oceny jest nie tyle to, czego studenci się nauczyli, lecz to co zrozumieli z zakresu odbytych zajęć i czy sami potrafią dokonać oceny poszczególnych wypowiedzi i dokumentów z punktu widzenia ich kontekstu i odniesienia do tezy wyjściowej, iż „Wszyscy ludzie są równi".

W innym wariancie zajęć „Wszyscy są równi" studenci podczas lektury książek o Holocauście zwracać powinni uwagę na zawarte w nich relacje, porównywać je z innymi relacjami oraz wymieniać spostrzeżenia (również korespondować) z innymi osobami czytającymi te same książki. W materiałach metodycznych zwraca się także uwagę na celowość porównywania relacji ustnych i zawartych w opublikowanych pamiętnikach oraz opracowaniach i bieżącej publicystyce. Zaleca się, aby werbalna strona przekazu była wzbogacana materiałami fotograficznymi i filmowymi.

Wydaje się, że interesującym rozwinięciem tego cyklu tematycznego jest propozycja wykonania przez studentów Pomnika Holocaustu. Cele tego przedsięwzięcia zmierzają ku zwiększeniu ekspresyjnej strony zajęć o użycie różnych form i kształtów do zobrazowania i zrozumienia wielu znaczeń Holocaustu.

W zajęciach o Holocauście zwraca uwagę silne wyeksponowanie kilku miejsc szczególnie związanych z zagładą Żydów: getta warszawskiego i w Terezinie. Wyjaśnienie tego specyficznego doboru może być dla współczesnego Polaka nie do końca zrozumiałe. Getto w Warszawie kojarzy się nam zazwyczaj z ewenementem zbrojnego oporu przeciwko zagładzie. Mniej znany jest przykład Terezina, getta mogącego sprawiać wrażenia pozornie wzorcowego, w którym Żydzi mieli jakoby przetrwać, „spopularyzowany" - o ile można użyć takiego określenia - przez wyświetlany w telewizji polskiej amerykański serial „Wichry wojny".

Wróćmy jednak do wyjściowego pytania, dlaczego w Stanach Zjednoczonych stosunkowo dużą uwagę przywiązuje się do nauczania o Holocauście. Należy stwierdzić, że pozwala to osiągnąć nader różnorodne cele - nie tyle poznawcze, ale zwłaszcza szeroko rozumiane cele wychowawcze. Holocaust jest dogodnym kontekstem ukazywania zagrożeń płynących z ignorowania zagrożeń wynikających z obojętności na krzywdę innych ludzi. Holocaust ilustruje jak nowoczesny, kulturalny naród może swoje możliwości administracyjne, organizacyjne i technologiczne obrócić w nieludzkie narzędzie ludobójstwa. Holocaust ukazuje ponadto nader istotny kontekst indywidualnych, osobniczych zachowań zwykłych, „porządnych" ludzi wmieszanych przez historię w zbrodniczą machinę eksterminacji. Holocaust może być wskazówką, jak w demokracji rozpoznawać sygnały zagrożenia, jak i kiedy reagować na nie. Wydaje się to szczególnie istotne, gdyż płynna i cienka może być granica dzieląca zachowania i wartości mogące prowadzić do wynaturzenia Holocaustu.

Analizując niektóre elementy rozważań metodologicznych związanych z nauczaniem o Holocauście, nasuwa się ponadto szereg praktycznych wskazówek. Holocaust, dotycząc Żydów, dotknął także Polaków, Cyganów, Rosjan i innych, ale również przedstawicieli innych mniejszości (homoseksualistów, psychicznie i nieuleczalnie chorych, jeńców i więźniów, itp.). W nowoczesnym, otwartym społeczeństwie nie powinno być miejsca dla żadnych form dyskryminacji i nietolerancji. Ofiary (dyskryminacji, nietolerancji, itp.) cierpią niezależnie od powodu spotykającej ich niesprawiedliwości. Bardziej należy szukać przyczyn, korzeni zła, niż rozpamiętywać jego skutki. Znając przesłanki wydarzeń prowadzących do tragedii należy je eliminować w zarodku. Należy umieć precyzyjnie odróżniać uprzedzenia i dyskryminację, współpracowników i świadków wydarzeń, odpowiedzialność i karę za doprowadzenie do zła. Należy indywidualizować doświadczenia i oceny zachowań uczestników (obserwatorów, sprawców i ofiar) rozpatrywanych na lekcjach zdarzeń. Katalog podobnych wskazówek można mnożyć.

Przedstawione wyżej uwagi nie wyczerpują oczywiście wszystkich okoliczności związanych z nauczaniem o Holocauście w Stanach Zjednoczonych. Skala nauczania o tym problemie może powodować w naszym społeczeństwie pewne zaskoczenie. Sami jednak również przywiązujemy wiele uwagi do martyrologii własnego narodu. Stąd też, będąc świadkiem eksponowania problemu Holocaustu w szkolnictwie amerykańskim, uwzględnić należy wszystkie tamtejsze uwarunkowania.

RECENZJE, SPRAWOZDANIA

Wojciech ŚLESZYŃSKI

Adam Sudoł, Początki sowietyzacji Kresów Wschodnich (Jesień 1939 roku). Wybrane problemy polityczne i organizacyjne. Bydgoszcz - Toruń 1997, ss. 456

Radziecka okupacja ziem wschodnich II Rzeczpospolitej w latach 1939-1941, pomimo trwających już od kilku lat intensywnych badań naukowych, w dalszym ciągu pozostaje problemem mało znanym. Jedną z pierwszych prób badawczych, zmierzających do wyjaśnienia niektórych zagadnień związanych z sowiecką okupacją Kresów, podjął Adam Sudoł w swojej pracy "Początki sowietyzacji Kresów Wschodnich (Jesień 1939 roku)".

Książka Adama Sudoła składa się z dwóch zasadniczych części. W pierwszej autor omawia sytuację na Kresach w pierwszych miesiącach okupacji. Możemy się tu zapoznać z historią paktu Ribbentrop - Mołotow, z agresją zbrojną 17 września 1939 roku czy z pierwszymi próbami wprowadzania w życie sowieckich praw. Najwięcej jednak miejsca w dwóch pierwszych rozdziałach poświęcono przygotowaniom i przeprowadzeniu "wyborów" 22 października 1939 roku do Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Białorusi i Ukrainy, jak i samym obradom obu Zgromadzeń (szczegółowo omówiono poszczególne posiedzenia).

W drugiej części książki (Aneksie) na prawie 200 stronach, autor zamieścił 85 różnego rodzaju dokumentów (spośród których na największą uwagę zasługuje *"Decyzja Biura Centralnego WKP(b) z 1 X 1939 roku w sprawie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi"*), mających stanowić dopełnienie omawianych problemów. Zamieszczony został tu przede wszystkim materiał z Centralnego Państwowego Archiwum Ukrainy we Lwowie (fond 859) jak i tłumaczenie stenogramów posiedzenia Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Białorusi (28-30 X 1939 r.), wydanych drukiem w Mińsku w 1946 roku. Powyższe dokumenty stanowiły główny materiał, w oparciu o który napisano "Początki sowietyzacji...".

Wykorzystane w omawianym opracowaniu źródła, choć tak licznie prezentowane w książce, wydawać się mogą najsłabszą jej stroną. Autor, badając polityczne i społeczne problemy sowietyzacji Kresów Wschodnich, oparł się - zdaniem piszącego te słowa - na zbyt skromnej bazie źródłowej. Nie uwzględnił w pełni dokumentów znajdujących się w archiwach polskich, np. w Archiwum Akt Nowych, zespół Delegatury Rządu RP na Kraj czy w Archiwum Wschodnim - relacji i wspomnień oraz z pewnością jednego z najważniejszych zespołów dotyczących tego tematu - zbioru materiałów z Instytutu Hoovera (kopie w Archiwum Wschodnim). Zapoznając się z zespołem akt Delegatury RP na Kraj sygn. 202/XVIII, autor mógłby zorientować się, iż część materiałów przedstawianych w książce jako nowość a dotyczących obrad Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy, znajduje się w wyżej wymienionym archiwum. Przy opracowywaniu tak szerokiego tematu jak "Początki sowietyzacji Kresów Wschodnich" należało, nawet jeżeli w podtytule zastrzeżone zostało, iż są to jedynie "Wybrane problemy polityczne i organizacyjne", oprzeć się na dużo szerszej bazie źródłowej. Wyjście z założenia (poniekąd słusznego), że na całym okupowanym terenie proces sowietyzacji przebiegał podobnie nie może zastąpić solidnych badań archiwalnych. Wyjaśnienie, iż powodem słabego opracowania wydarzeń zachodzących na obszarach tzw. Białorusi Zachodniej jest "(...) *brak wystarczająco kompletnych i wiarygodnych źródeł, które rzucałyby nowe światło na wydarzenia w tym regionie II Rzeczypospolitej*" (s. 10) należy uznać za mało wiarygodne. Materiały dla całej Białorusi Zachodniej, o czym z pewnością autor omawianej pozycji wiedział, znajdują się w Narodowym Archiwum Republiki Białorusi w Mińsku, a na przykład dla obwodu białostockiego w Państwowym Archiwum Organizacji Społecznych Obwodu Grodzieńskiego w Grodnie.

Książka Adama Sudoła "Początki sowietyzacji ..." mimo wszystkich wyżej przedstawionych zastrzeżeń ma niezaprzeczalną wartość poznawczą. Jest ona przede wszystkim jedną z pierwszych prób przedstawienia złożonego problemu przygotowań i przeprowadzenia "wyborów" do Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Białorusi i Ukrainy. Przybliża mechanizmy funkcjonowania sy-

stemu sowieckiego, wzbogacając naszą wiedzę o procesach i wydarzeniach zachodzących po 17 września na Kresach. Z kart książki możemy dowiedzieć się m.in., iż już w pierwszych dniach okupacji *"Do każdego województwa został skierowany specjalny zespół działaczy, którzy zajęli się tam formowaniem biur organizacyjnych Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy i Komunistycznej Partii (bolszewików) Białorusi. Ponadto przystąpiono do kompletowania biur organizacyjnych Prezydium Rady Najwyższej USRR, a także BSRR. Po to, by przejąć i opanować wszystkie banki wraz z całym ich stanem posiadania, wyznaczono w imieniu zarządów tymczasowych specjalnych komisarzy, którzy roztoczyli ścisły nadzór nad bankami na podbitym terytorium Kresów Wschodnich"* (s. 54-55). A wszystko to miało miejsce jeszcze przed oficjalnym podjęciem decyzji Zgromadzeń Ludowych o nacjonalizacji fabryk, banków oraz o konfiskacie wielkich majątków ziemskich.

W pracy Adama Sudoła zostały zamieszczone unikalne zdjęcia z "wyborów" i obrad Zgromadzeń Ludowych znajdujące się w Centralnym Archiwum Państwowej Dokumentacji Filmowej i Fotograficznej w Krasnogorsku koło Moskwy. Jest to materiał szczególnie cenny ze względu na historię naszego miasta, gdyż spora część fotografii zamieszczonych w książce bezpośrednio dotyczy Białegostoku[1]. Z pewnością zasługują one na większą popularyzację, tak jak i zresztą cała książka, którą należy traktować jako dobrą (choć z pewnością nie pozbawioną błędów) pracę badawczą.

[1] Autor, obok zdjęć przedstawiających Białystok w pierwszych miesiącach okupacji sowieckiej zamieścił również ich obecne odpowiedniki. Przy tej okazji nie uniknął jednego błędu, współczesne zdjęcie przedstawiające ulicę Lipową zostało podpisane: *"Ulica Sienkiewicza w Białymstoku. Widok obecny (21.07.1992 r.)"* (s. 149).

Andrzej MOĆKO

Josep Ignasi Saranyana, Jose Luis Illianes, Historia teologii, tł. P. Rak, red. naukowa ks. dr T. Dzidek, Kraków 1997, ss. 558.

„Historia teologii" dwóch hiszpańskich naukowców jest pozycją nie tylko dla księży, alumnów seminariów czy studentów teologii. Jest to cenna rzecz także dla historyków. Trudno jest zrozumieć zmiany zachodzące w procesie historycznym, bez częściowej przynajmniej znajomości historii Kościoła i jego teologii. Podstawy, interpretacje i wykładnie teologiczne miały niejednokrotnie duże znaczenie jako czynniki kształtujące światopogląd całego ówczesnego świata.

Obaj są w swoim kraju znanymi teologami i twórcami wielu naukowych pozycji. Josep Ignasi Saranyana jest profesorem historii teologii na Uniwersytecie Nawarry w Pampelunie. Specjalizuje się on w historii średniowiecza i renesansu. Drugi z nich, Jose Luis Illianes, jest profesorem teologii fundamentalnej i teologii duchowości na tej samej uczelni. W pracach swych zajmuje się przede wszystkim refleksją nad naturą teologii oraz relacjami pomiędzy wiarą, chrześcijaństwem i światem.

Autorzy tej pozycji starają się odpowiedzieć na pytanie, które wywołuje tytuł tej książki, czy dyscyplina, do której się odnosi, jest zasadniczo historyczna, czy raczej teologiczna? Czy jest ona rodzajem historii, której specyfikę określa teologia, czy może rodzajem teologii, której specyfikę określa historia?

W ostatnich dekadach niektórzy autorzy odpowiadali na powyższe pytanie skłaniając się ku pierwszej części alternatywy i kładąc w ten sposób nacisk na aspekty dokumentalne, chronologiczne i historyczno-pozytywne. Jednakże większość zajmujących się tym tematem badaczy, skłania się ku drugiej ze wspomnianych opcji. Trudno jest bowiem zarysować rozwój idei filozoficznych czy teologicznych na zajmując się kwestiami, które teologia czy filozofia stawiają, a co za tym idzie nie uprawiając filozofii i teologii.

Opisując historię myśli filozoficznej należy oczywiście przedstawić konkretne wypadki i zdarzenia, określić daty i fakty, przeanalizować konkretne twierdzenia poszczególnych autorów. chcąc zrozumieć to, o czym opowiada historia teologii, to znaczy zrozumieć konkretne doktryny teologiczne ich wzajemne powiązania, to ostateczny zamysł winien być teologiczny. Czyste następstwo wydarzeń albo tylko opisanie poglądów tych czy innych autorów, oddzielone od fundamentu, który tłumaczy i utwierdza teologię, byłoby samo w sobie bardzo mało znaczące.

Relacjonując wysiłki spekulatywne najważniejszych mistrzów, a także opisując procesy i drogi rozwoju, na których teologia kształtowała się i ewoluowała, celem Illianesa i Saranyany w tej pozycji nie było przedstawienie

faktów albo erudycyjnych opisów, lecz ukazanie jak słowo Boże, czyli objawienie zawarte w Piśmie Świętym i przekazywane przez Tradycję, w każdej epoce domagało się od teologów refleksji. Jaką postawę owi teologowie zajmowali wobec słowa objawionego, w jaki sposób doprowadzali swój rozum do dialogu z wiarą, jakimi drogami starali się zgłębiać odkrywane treści prawdy chrześcijańskiej, czyniąc je żywymi dla swego rozumu oraz rozważając je na tle kultury i społeczeństwa swoich czasów.

Autorzy w periodyzacji historii teologii dzielą ją na trzy części. Pierwszym jest okres patrystyczny obejmujący przede wszystkim Ojców Kościoła, okres scholastyczny związany ze średniowieczem i ostatni okres nowożytny i współczesny. Podobna w konstrukcji jest ta pozycja. „Historia teologii" pomija ten pierwszy okres skupiając się na dwóch następnych. Część pierwsza nosi tytuł „Okres scholastyczny", druga natomiast „Teologia w epokach nowożytnej i współczesnej". Te natomiast podzielone są na rozdziały.

Pierwsza część przygotowana przez Josepa Ignasi Saranyano opisuje ewolucję teologii scholastycznej od jej początków w teologii monastycznej i w dziełach pierwszych mistrzów szkół katedralnych, aż do teologii barokowej wieku XVI. Część druga, która wyszła spod pióra Jose Luisa Illianesa, podejmuje rozważania poczynając od wieku XVII i opisuje ewolucję teologii nowożytnej i współczesnej aż do naszych dni. Rozdział VI poświęcony teologii okresu Soboru Trydenckiego zamykają dwa paragrafy zredagowane odpowiednio przez dr Carmen J. Alejos-Grau współpracującą z Instytutem Historii Kościoła Uniwersytetu Nawarry i przez dr Javiera Sese, profesora teologii duchowości na Wydziale Teologicznym tejże uczelni. Alejos-Grau opisuje teologię uprawianą w Colegio Maximo de San Pedro y San Pablo w Meksyku, uzupełniając panoramę akademickiej teologii latynoamerykańskiej. natomiast Sese Przedstawia zwięzły opis hiszpańskiej teologii mistycznej XVI wieku.

Książkę otwierają zagadnienia charakteryzujące teologię monastyczną. Dużo miejsca zajmują kontrowersje teologiczne okresu karolińskiego, jak kult obrazów, adopcjanizm „Filioque", kontrowersja eucharystyczna, a szczególnie predestynacja (s. 37-38). Mnich benedyktyński Gotszalk studiując św. Augustyna doszedł do daleko idącego wniosku, że istnieją dwa rodzaje predestynacji similiter omnino, całkowicie równoważne. Predestynacja dobrych do wiecznego życia oraz predestynacja złych do wiecznej śmierci. Zanegował w ten sposób powszechną wolę zbawczą Boga, a nawet samą wolność człowieka w udzielaniu odpowiedzi łasce, przyjmując ją lub odrzucając.

Dalej przechodzimy do głównych teologów średniowiecza, a mianowicie św. Anzelma z Canterbury (s. 44-53) i jego tez o istnieniu Boga, Nauce o Trójcy Świętej, soterologii, mariologii, wolności i łasce. Drugim i chyba najważniejszym teologiem średniowiecza był św. Tomasz z Akwinu (s. 104-113). Podjął on kwestię istnienia Boga wychodząc od stworzenia, według kryterium św. Pawła w Rz 1,20. Nie uważał istnienia Boga za coś oczywistego, odrzucając argument Anzelma. Wypracował dowód a posteriori, który opiera się na pięciu drogach: ruchu, przyczynie sprawczej, możliwości i konieczności, stopniach doskonałości rzeczy oraz porządku i celowości świata. Wykazuje na wszystkich tych drogach, że zdanie „Bóg istnieje" jest prawdziwe. Okres ten zamyka Mikołaj z Kuzy.

W okresie renesansu najwięcej miejsca zajmują sprawy związane z wystąpieniami Marcina Lutra, Jana Kalwina, tezami przez nich głoszonymi i ich rewolucją (s. 172-184), a przede wszystkim z wielką reformą Kościoła powszechnego zapoczątkowaną na Soborze Trydenckim.

Część drugą otwiera racjonalizm i negacja objawienia jako prawdy, a także empiryzm i krytyka religii. W tym czasie działają także osoby takiego formatu jak chociażby św. Franciszek Salezy czy św. Alfons Maria Liguori. W kwestiach teologicznych zabrał głos także Blaise Pascal (s. 299-301).

Ważne miejsce w filozofii oświecenia zajmuje Immanuel Kant i jego tzw. „przewrót kopernikański" w historii myśli (s. 330-337). W „krytyce czystego rozumu" stwierdził on, iż należy porzucić wszelkie roszczenie wyjaśnienia poznania jako aktywność, która tworzy swój przedmiot. Jego myśli, chociaż on sam nie był teologiem, wpłynęły na rozwój nauki teologicznej.

Po okresie oświeceniowym, w którym panował zastój w rozwoju teologii w wieku XIX następuje odnowa i dynamiczny rozwój tej dziedziny nauki. Rewolucja francuska i późniejsze wojny napoleońskie zmieniły pod wieloma względami struktury polityczne i sposób życia. Chociaż ten konkretny proces historyczny został zamknięty w 1815 r. w raz z klęską Napoleona, polityczne ideały liberalne nadal wywierały niezmienny wpływ, jasno pokazując, że rywalizacja między ustrojem absolutystycznym a parlamentarnym ciążyła ku rozwiązaniu na korzyść tego ostatniego. W świecie protestanckim ruch ortodoksji jest nadal dotknięty krańcowym scholatycyzmem i chronicznym brakiem poszukiwań twórczych. W katolicyzmie trwa teologia scholastyczna pogrążona w głębokiej dekadencji, podczas gdy w różnych kręgach intelektualnych pojawia się krytyka kantowska i ruch romantyczny. Jest to okres przejściowy, gdyż następują duże zmiany w sposobach myślenia.

W tamtym okresie tworzą tacy jak: Johann Adam Mohler, Antonio Rosmini, Matthias Joseph Scheeben. Jest to także czas Johna Henry'ego Newmana, jednej z największych postaci teologii w tamtym okresie i ruchu oksfordzkiego (s. 390-392). Jako anglikański duchowny prowadził studia teologiczne i biblijne. Podczas tych badań doszedł on do ostatecznego przekonania, że prawdziwym kontynuatorem Kościoła apostolskiego jest tylko Kościół katolicki. Jest to także czas Soboru Watykańskiego I, działań Leona XIII i encykliki „Aeterni Patris".

Teologia wieku XX rozpoczyna się kryzysem modernistycznym, ale lekarstwo na to znajduje św. Pius X. Tworzą się szkoły teologiczne: dominikanów w Le Saulchoir i jezuitów w Fourviere (s. 441-450). Rozpoczynają działalność m.in. Marie-Dominique Chenu, Yves Congar, Henri de Lubac. Karl Rahner ogłasza „przewrót antropologiczny". Sprowadza się to do tego, że trzeba wychodzić nie od objawiającego się Boga, lecz od podmio-

tu, do którego skierowane jest objawienie (s. 457). W teologii protestanta Rudolfa Bultmana Chrystus zostaje zredukowany do pewnego skrótu, zwykłego punktu odniesienia; konkretne życie Jezusa zaciera się i pozostaje tylko pewne przesłanie. Wszelka dogmatyka i etyka zostają wykluczone (s. 469).

W drugiej połowie tego wieku pojawia się „teologia sekularyzacji", a następnie „teologia śmierci Boga", to znaczy, teologia dla świata, w którym umarła idea Boga (s. 494). Do głównych przedstawicieli tego ruchu należy zaliczyć anglikańskiego biskupa Johna Robinsona, episkopalianina prof. Paula van Burena, baptystę prof. Harvey'a Coxa. W Kościele powszechnym pojawia się natomiast „teologia wyzwolenia" (s. 503-510). „Historię teologii" zamyka problematyka Soboru Watykańskiego II i teologii z nim związanej.

Oprócz samych spraw związanych z zagadnieniami teologicznymi książka przedstawia także atmosferę i sytuację społeczno-polityczną w jakiej tworzyły się konkretne doktryny. Przy okazji omawiania poszczególnych teologów prezentowane są zazwyczaj ich krótkie biografie oraz informacje o ich najważniejszych dziełach, a często także zestawienia podstawowych tez teologicznych przez nich głoszonych. W książce tej opisane są również główne nurty teologii protestanckiej i prawosławnej na przestrzeni wieków. Książkę zamyka indeks autorów oraz zestawienie polskiej bibliografii dotyczącej omawianych teologów, szkół i idei.

Piotr GUZOWSKI

Wykład dr. Andrzeja Krzysztofa Kunerta

Dnia 2.12.1998 w auli wydziału Humanistycznego zainaugrowana została praca Wydziałowego Zespołu Dydaktyków w roku akademickim 1998/99.

W obecności prof.dr hab. Adama Dobrońskiego i prof.dr hab. Hanny Konopki zgromadzeni pracownicy naukowi wydziału, nauczyciele historii oraz studenci zapoznani zostali z koncepcją nowej matury z historii oraz nowościami książkowymi z zakresu historii najnowszej (źródła i monografie), które ukazały się nakładem Oficyny Wydawniczej „Rytm".

Rozpoczęcie pracy Wydziałowego Zespołu Dydaktyków uświetnił też swoim wykładem dr Andrzej Krzysztof Kunert koncentrując swoje wystąpienie wokół tematu „Dokument - kanwą opowiadania historycznego".

Przede wszystkim podkreślił nowe możliwości jakie stają przed historykami w związku z otwieraniem się kolejnych archiwów i publikacją nowych źródeł. Zwrócił też jednak uwagę, że naukowcy koncentrując się na nowościach (udostępnianych w atmosferze sensacji), zapominają o źródłach dostępnych dosyć powszechnie jeszcze w czasach komunistycznych, ale nie wykorzystanych w pełni. Przykładem tego rodzaju źródeł jest prasa wydawana w okresie komunistycznym , która nie jest doceniana w należytym stopniu jako źródło historyczne.

Dalej A.K. Kunert skupił się na pewnych rodzajach źródeł, mogących odgrywać ważną rolę w procesie dydaktycznym. Referując spostrzeżenia twórców wystawy zorganizowanej w Bibliotece Narodowej z okazji 80-tej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę, zwrócił uwagę, że wśród młodzieży odwiedzającej ekspozycję największe zainteresowanie wzbudziła poezja okolicznościowa oraz źródła obrazujące polsko-bolszewicką wojnę propagandową z okresu walk 1920 roku. Poezja jak również humor, satyra , karykatura powinny być częściej wykorzystywane jako źródło na lekcjach historii.

Ostatnia część wykładu poświęcona została wpływowi jaki, stan badań nad historią najnowszą może mieć na aktualną sytuację polityczną i społeczną.Wyniki prac historyków w ogóle, a badaczy dziejów najnowszych w szczególności są często wykorzystywane w celach politycznych. Z drugiej zaś strony mimo upływu 9 lat od momentu zmiany ustroju, ze względów politycznych wciąż stawia się naukowcom ograniczenia, próbuje wpływać na sposób publikacji, czasem uniemożliwia upowszechnienie wyników ich pracy , nie wspominając już o przeszkodach w dotarciu do niektórych zbiorów archiwalnych.

Wykład dr A.K. Kunerta odbył się podczas jego pierwszego pobytu w naszym mieście. Zainteresowanie jakie wzbudziło jego wystąpienie pozwala wyrazić nadzieje, że także w przyszłości przyjmie on zaproszenie prof. dr hab Hanny Konopki i zaszczyci nas swoją obecnością , wiedzą i doświadczeniem.

Marek DAWIDZIUK

Motyw niepodległościowy w medalierstwie polskim - sprawozdanie z wystawy

Okrągłe rocznice poświęcone świętom narodowym zawsze obfitują w dużą ilość przeróżnych „imprez okolicznościowych". Nie inaczej było i tym razem, gdy 11 listopada obchodziliśmy 80 rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Wiele było form uczczenia tego szczególnego dla Rzeczypospolitej święta; jedną z nich wybrało Muzeum Historyczne w Białymstoku, które zorganizowało wystawę pt. „Motyw niepodległościowy w medalierstwie polskim".

Medalierstwo, które w Polsce ma niemal pięćsetletnią tradycję (pierwszy medal wybito w 1508 r.), posłużyło w doskonały sposób do zobrazowania tematyki narodowo-niepodległościowej. Za podstawę wystawy posłużyły zbiory numizmatyczne Muzeum Historycznego w Białymstoku, w którym niemała część zajmują medale i medaliony. Resztę (a owa „reszta" stanowi większość medali zgromadzonych na wystawie) wypożyczono od innych muzeów i osób prywatnych. Po zabytki sztuki medaliarskiej sięgnięto do Wrocławia, gdzie znajduje się Muzeum Sztuki Medalierskiej i Muzeum Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie; wykorzystano także zbiory innych muzeów znajdujących się w Białymstoku oraz kolekcje Jana Adamskiego, Ryszarda Bieńko, Barbary i Franciszka Kamińskich, Janusza Lewkowicza, Romualda Sokołowskiego i Józefa Waczyńskiego. Osoby prywatne - jak twierdzi komisarz wystawy pani Lucyna Lesisz - chętnie udostępniły swoje zbiory w myśl zasady „mam, aby innym również pokazać". Nie jest więc także przypadkiem, iż to właśnie kolekcjonerzy okazują szczególne zainteresowanie wystawą, przychodzą, porównują. Jednak nie tylko oni. Również laicy - nie mający „zawodowego" kontaktu z medalami - odwiedzają nierzadko muzeum. I nie zawodzą się, gdyż wystawa ukazuje w pełni bogactwo polskiego medalierstwa. Można zobaczyć tu medale wykonane w brązie, srebrze i posrebrzane, ukazujące dzieje Rzeczypospolitej od uchwalenia Konstytucji 3 Maja przez insurekcję kościuszkowską, powstania narodowe, po odzyskanie niepodległości i wojnę polsko-bolszewicką. Jak widać motyw niepodległościowy został potraktowany bardzo szeroko, zresztą z korzyścią dla zwiedzającego. Medale zgromadzone na wystawie pochodzą z XIX i XX wieku i były wybijane (przeważnie) z okazji różnych rocznic poświęconych wielkim wydarzeniom historycznym. I chociaż jest sporo tych, które zostały wybite w drugiej połowie XX wieku, to nie zabrakło także i takich szczególnych, wyjątkowych. Do nich należą z pewnością medale autorstwa Jana Raszki, które zostały specjalnie sprowadzone z Wrocławia. O ich wyjątkowości (pomijając to, iż nikt w Białymstoku ich nie posiada) świadczy fakt, że Raszka w czasie I wojny światowej pracował przy Komendzie Głównej Legionów jako medalier, portretując niejako „na żywo" żołnierzy walczących na froncie. Obok Raszki szczególną pozycję zajmują dwie najstarsze prace znajdujące się na tej wystawie: są to medale dziewiętnastowieczne autorstwa francuskiego medaliera, poruszającego wątki polskie. Pierwszy z nich to medal srebrny z 1818 roku wybity pośmiertnie Tadeuszowi Kościuszce, drugi natomiast pochodzi z 1820 roku i poświęcony jest księciu Józefowi Poniatowskiemu.

Jest rzeczą oczywistą, iż wystawa zainteresuje zarówno znawcę przedmiotu, jak i laika. Istnieje więc doskonała okazja do zapoznania się z motywem niepodległościowym w medalierstwie polskim, gdyż Muzeum Historyczne w Białymstoku wciąż jeszcze świętuje 80 rocznicę odzyskania niepodległości, a zamierza zakończyć te uroczyste obchody dopiero w lutym 1999 roku.

Jan MACKIEWICZ

Prusowie w Białymstoku?

Państwowe Muzeum w Białymstoku od października 1998 r. do lutego 1999 r. gościło wystawę Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie i Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku zatytułowaną „Prusowie. Dzieje i kultura ludu bałtyjskiego." Składa się ona z eksponatów pochodzących ze zbiorów Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, Muzeum w Elblągu, Muzeum w Grudziądzu, Muzeum Zamkowego w Malborku, Muzeum Archeologicznego w Gdańsku, Instytutu Arche-

ologii Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Archeologii i Etnologii PAN, Muzeum Okręgowego w Białymstoku oraz osób prywatnych.

Ideą, która skłoniła organizatorów do zgromadzenia około 650 zabytków archeologicznych, były obchody w 1997 r. tysięcznej rocznicy istnienia najstarszego zapisu dotyczącego Gdańska, grodu, który zapewne utrzymywał kontakty handlowe z Prusami oraz millennium misji chrystianizacyjnej św. Wojciecha (łac. Adalbertus) zakończonej, jak wiadomo, śmiercią zadaną mu z rąk Prusów. Komisarzem wystawy była Grażyna Iwanowska z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, konsultację naukową sprawowali Danuta Jaskanis i Marian Kaczyński (PMA), scenariusz ekspozycji był dziełem Anny Bitner-Wróblewskiej, Grażyny Iwanowskiej i Andrzeja Piotrowskiego (wszyscy PMA), za modele dioram odpowiadali Wojciech Borkowski i Witold Migaj (PMA); rekonstrukcje Anna Gręzak, Jolanta Kosińska, Jarosław Strobin, Katarzyna Zielińska, a projekt plastyczny - Jan Żabko-Potopowicz.

W zielone tło *„panneaux"* symbolizujące niekończącą się puszczańską gęstwinę drzew zostały wkomponowane 24 gabloty pełne archeologicznych eksponatów. Niezbędne uzupełnienie zbiorów stanowiły słowne ilustracje w postaci plansz z wypisanymi półuncjałą[1] informacjami o charakterystycznych cechach kultury Prusów. Przestrzenie między gablotami wypełniały fotografie pozostałości grodów i mazurskich krajobrazów. Pełniły one rolę współczesnego punktu odniesienia dla przedstawianej tematyki, jak również wzmacniały przyrodniczy aspekt kultury bałtyjskiego ludu. Niewątpliwym godłem białostockiej wystawy była, znajdująca się przy wejściu na sale wystawiennicze, metaloplastyka, która przedstawiała wojów pruskich z Drzwi Katedry w Gnieźnie (ok. 1180 r.).

Plemiona określane mianem Prusów to ludy należące do zachodniobałtyckiej grupy językowej języków indoeuropejskich. Wiele przesłanek archeologicznych mówi, że pierwsze ich grupy przywędrowały na wybrzeże bałtyckie w międzyrzecze dolnej Wisły i Niemna u schyłku VI w. p.n.e.[2] z górnego dorzecza Dniepru[3], gdzie znajdowały się ich dotychczasowe siedziby. Z drugiej strony kres ich samodzielnego istnienia wyznacza rok 1283, kiedy Zakon Krzyżacki, po trwającej około 50 lat ekspansji militarnej, ostatecznie podbił Prusów.

Ponad tysiącosiemsetletnie istnienie plemion pruskich na tych terytoriach pozostawiło po sobie przede wszystkim zabytki materialne, które odkrywa „łopata" archeologa. Źródeł pisanych sami Prusowie nie stworzyli, lecz jako społeczność byli częstym obiektem opisów podróżników, kupców a także rycerzy - konkwistadorów z XIII w. Eksponaty zgromadzone na wystawie nie oferowały nam pełnego obrazu życia Prusów, jednak pokazywały bardzo istotne jego sfery. Gros z nich to elementy wyposażenia grodów. Przedmioty, którymi zmarły posługiwał się za życia, a umieszczone obok niego w miejscu pochówku, przenoszą nas do innego „świata", który chociaż nie namacalny, jak ten doczesny, był tak samo ważny.

Całopalne pozostałości człowieka umieszczano w glinianych popielnicach, z których kilka, w tym te z otworami w kształcie okienek, mogliśmy podziwiać w gablotach. Naczynia z prochami i liczne sprzęty, np. brązowe i żelazne zapinki i sprzączki, elementy pasów, broń w postaci mieczy, ostrza włóczni, groty strzał, ozdoby (szczególnie liczne w grobach kobiet) oraz inne bardziej specjalistyczne wyposażenie, umieszczano w jamie grobowej. Rekonstrukcję podobnego, acz skromnego, jeśli chodzi o zawartość, grobu mogliśmy zobaczyć w Państwowym Muzeum w Białymstoku.

Spośród przedstawionych eksponatów na uwagę zasługiwał pochówek konia pruskiego. Zwierzę to bez wątpienia było bliskim towarzyszem ówczesnych mieszkańców. Jego grób znajdował się w pobliżu ludzkiego i, tak jak ten odtworzony na wystawienniczym podeście, składał się z niespopielonego ciała zwierzęcia i uprzęży (z której pozostały tylko jej metalowe części). Inny grób zawierał sprzęty służące Prusom do pielęgnacji konia: grzebienie rogowe, żelazne nożyce, bezapelacyjnie świadczące o troskliwości, jaką otaczane były te zwierzęta.

Równorzędność istnienia światów: nadprzyrodzonego i doczesnego, przejawiała się w silnie rozwiniętym kulcie sił przyrody. Dowodem dbałości o przychylność mocy natury był, udostępniony tutaj dzięki zbiorom Muzeum Warmii i Mazur, niewielki rozmiarami kościany amulet znaleziony w jednym z grobów.

Szeroko została zaprezentowana na białostockiej wystawie ceramika. Wyrabiana początkowo bez użycia koła garncarskiego charakteryzuje się oryginalnymi motywami zdobniczymi. Cechą wyróżniającą ją spośród innych jest stosowana, m.in. w niewielkich pucharkach, forma tzw. „pustej nóżki".

Na prezentującą uzbrojenie część ekspozycji składały się eksponaty najbardziej znaczące pod względem rozmiarów. Wrażenie tajemniczych sprawiają milczące postacie tzw. „bab". Kopie kamiennych posągów znalezionych w Bartoszycach, Barcianach, Mózgowie ukazują najprawdopodobniej najznamienitszych przedstawicieli stanu „rycerskiego" Prusów. Wiele miejsca na wystawie zajmowała broń i sprzęty używane zarówno na wyprawach wojenno-łupieskich jak i łowach, np.: kopie mieczy, noże, topory, żelazne groty do strzał, ostrza włóczni, żelazne strzemiona, a także - raki, służące ludziom do chodzenia po lodzie zamarzniętych jezior.

Wyprawy, w jakich brali udział Prusowie, nie miały wyłącznie celu militarnego. Jak pokazywała wystawa, istotną rolę w prawidłowym funkcjonowaniu społeczności pruskich odgrywały kontakty handlowe z sąsiadującymi, jak i oddalonymi od siedzib Bałtów, ludami. Liczne importy na tereny Prusów docierały drogą wymiany handlowej. Była to broń różnego typu, ozdoby , takie jak te umieszczone w gablotach: równoramienne krzyżyki posrebrzane lub emaliowane, medalio z popiersiem św. Jerzego, krzyż grecki tzw. enkolpion. Rolą centrów wymiany stanowiły emporia położone u zbiegu wodnych i lądowych szlaków handlowych (np. Truso). Do wyobraźni każdego zwiedzającego przemówią zapewne dwie precyzyjnie wykonane dioramy (makiety). Jedna z nich, to rekonstrukcja portu i osady w Janowie Pomorskim (pruskie Truso), druga prezentuje typowy gród pruski. Zaś

misternie wykonany model łodzi z Fromborka dobitnie ilustruje aktywność żeglarską mieszkańców znad Zatoki Gdańskiej. Niewiele miejsca na oszklonych półkach gablot zajmowały zabytki rolnictwa. Jako przykład mogę tu jedynie wymienić dwa żelazne sierpy i kopaczki (gablota 22 i 23).

Ostatnia część wystawy została poświęcona osobie św. Wojciecha. Jego działalności misyjnej zawdzięczamy to, że hagiografowie spisując żywoty męczennika, względnie dużo uwagi poświęcili opisowi plemion pruskich. Do rozpowszechnienia barbarzyńskiego wizerunku mieszkańców międzyrzecza dolnej Wisły i Niemna przyczyniły się również wydatnie odlane na Drzwiach Katedry w Gnieźnie sceny dokumentujące męczeńską drogę św. Wojciecha. Wiele informacji źródłowych zawdzięczamy także Zakonowi Krzyżackiemu. Kronikarze jego misji - dwuznacznej w wymowie a jednoznacznej w działaniu, pokazali pośrednio „łabędzi śpiew" kultury Prusów.

Wystawie w Ratuszu Miejskim towarzyszył kolorowy, wydany przez Centralne Muzeum w Gdańsku przewodnik. Autorzy znajdujących się w nim artykułów: Anna Bitner-Wróblewska, Grażyna Iwanowska, Andrzej Piotrowski zwięźle i przystępnie wprowadzają zwiedzających w świat kultury Prusów omawiając najistotniejsze przejawy ich życia. Moje zdziwienie wzbudził jedynie ten fragment wprowadzenia Andrzeja Zbierskiego, w którym autor za pierwszą wzmiankę o plemionach Prusów uznał tę Ibrahima-ibn Jakuba z 995/996 r. Kilkadziesiąt stron dalej Grażyna Iwanowska podała wcześniejszą i adekwatną do aktualnego stanu wiedzy informację od tzw. Geografa Bawarskiego z IX w. Wymieniony błąd jest chyba jedyną, niemniej widoczną rysą na tle całego przewodnika. Całość ekspozycji sprawiała wrażenie wykonanej solidnie i zgodnie ze znawstwem przedmiotu. Uważam ją za godną polecenia tym wszystkim, którzy chcą poznać dzieje ludu stanowiącego o historii północno-wschodniej części naszego kraju.

W tym miejscu chciałbym podziękować kierownikowi działu archeologii w Państwowym Muzeum w Białymstoku i zarazem konserwatorowi zabytków archeologicznych mgr. Krystynie Bieńkowskiej za udostępnienie katalogu zabytków wystawy, który przyczynił się do powstania tego sprawozdania.

Przypisy:

[1] Rodzaj pisma kursywnego powstającego od IV w. n.e., podstawa dla późniejszego pisma irlandzkiego – W. Semkowicz, *Paleologia łacińska*, Kraków 1951, s. 241-244.

[2] L. Okulicz-Kozaryn, *Dzieje Prusów*, Wrocław 1997, s. 52.

[3] Ibidem, s. 45.

[4] Patrz hasło: Drużno, *Słownik starożytności słowiańskich*, pod. red. W. Kowalskiego, G. Labudy, T. Lehra-Spławińskiego, Wrocław-Warszawa-Kraków 1962, t. 1, cz. 2, s. 389-391.

[5] Jest to rodzaj krzyża występującego we wschodnim kościele chrześcijańskim noszonego przez dygnitarzy kościelnych. *Słownik terminologiczny sztuk pięknych*, pod. red. S. Kozakiewicza, Warszawa 1969, s. 103.